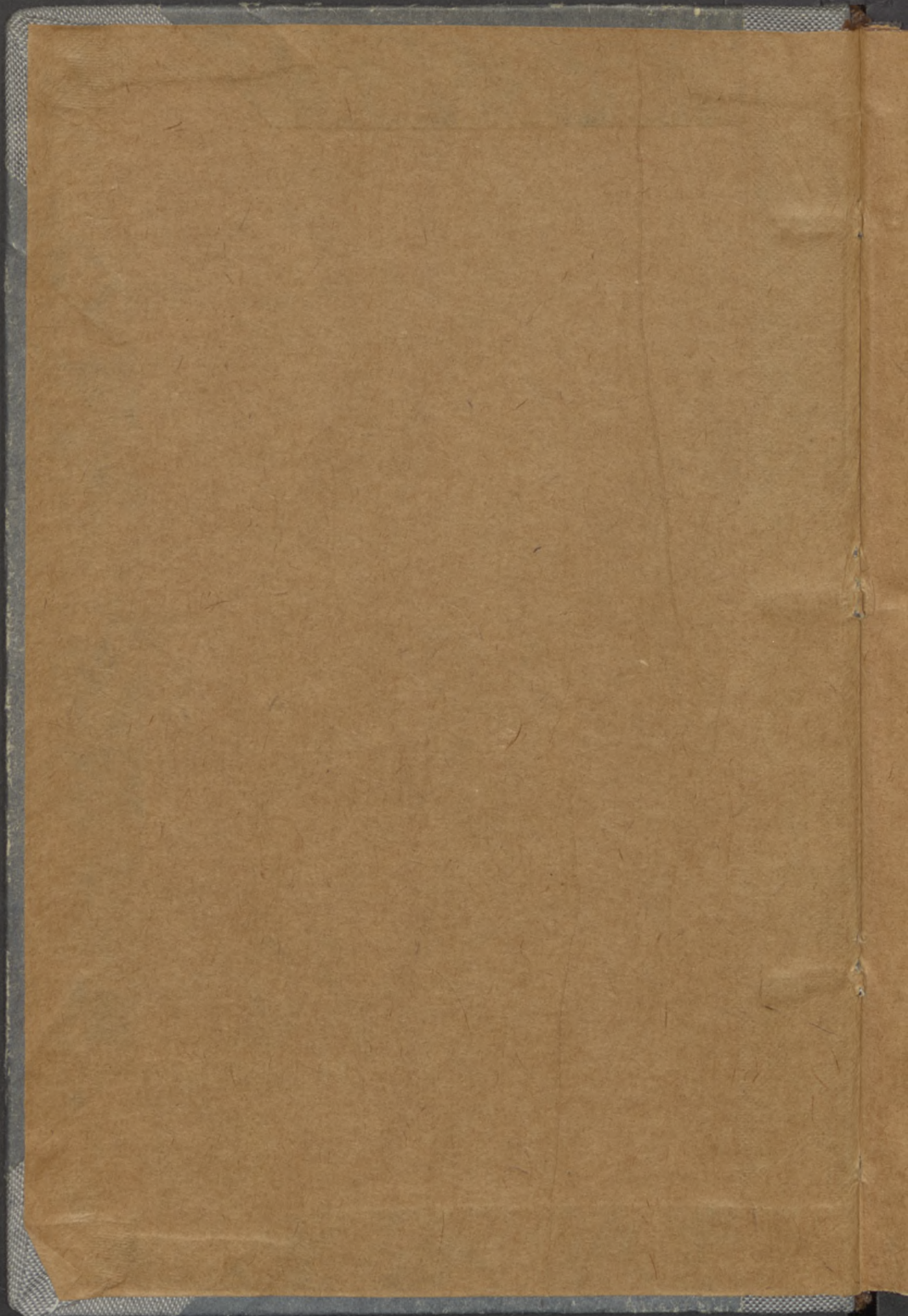
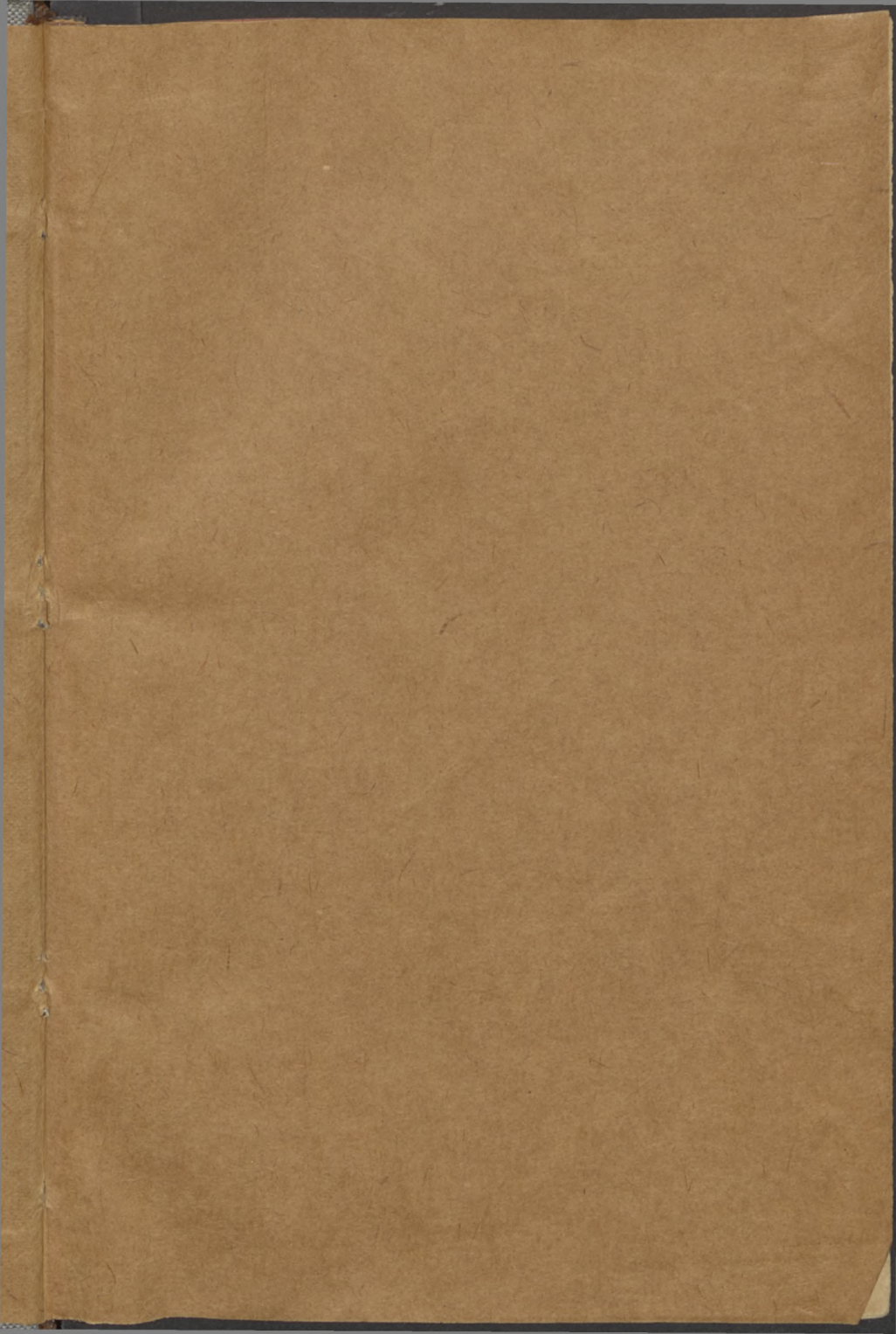
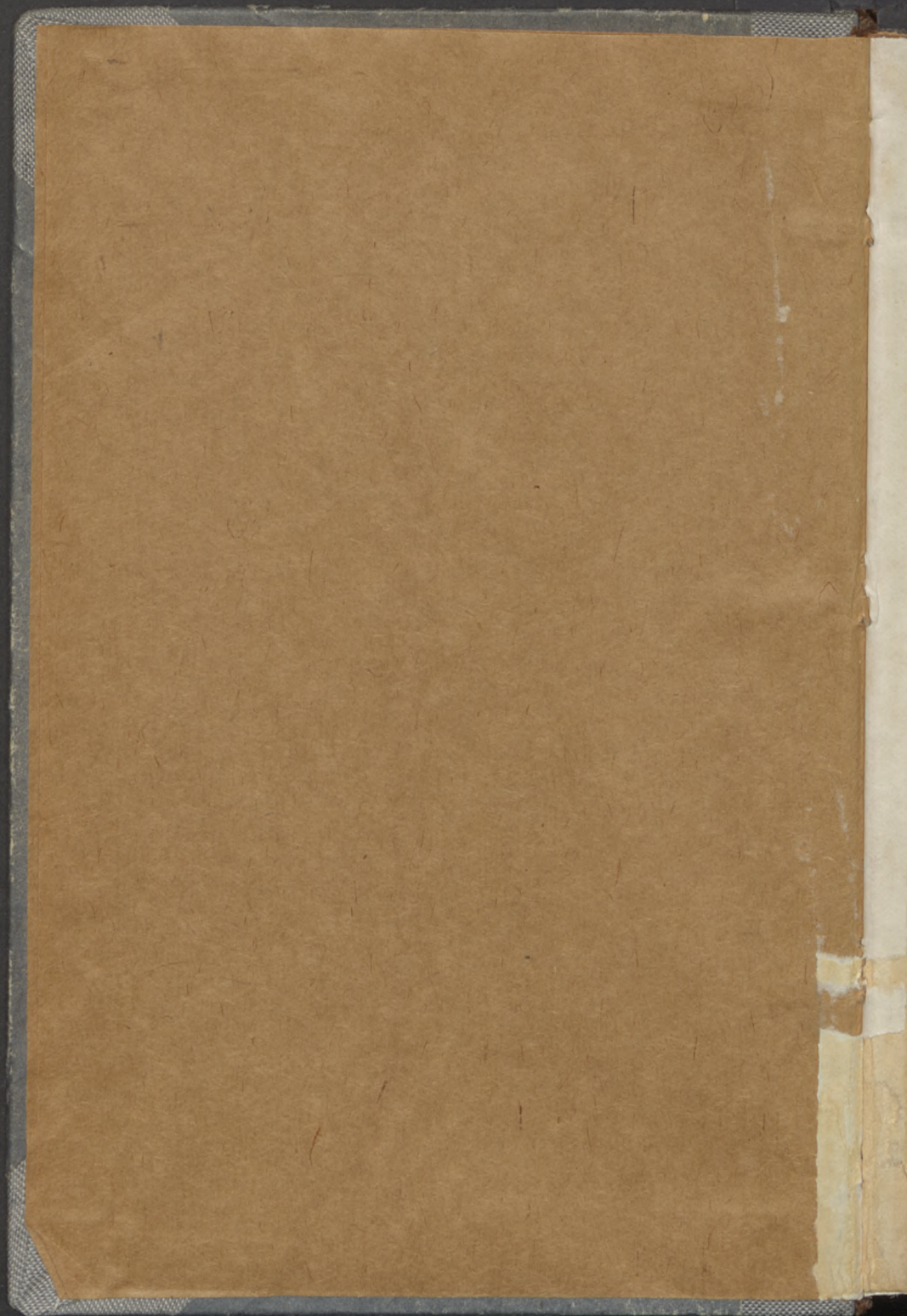


590450

Przyborowski ADJUTANT NACZELNEGO WODZA







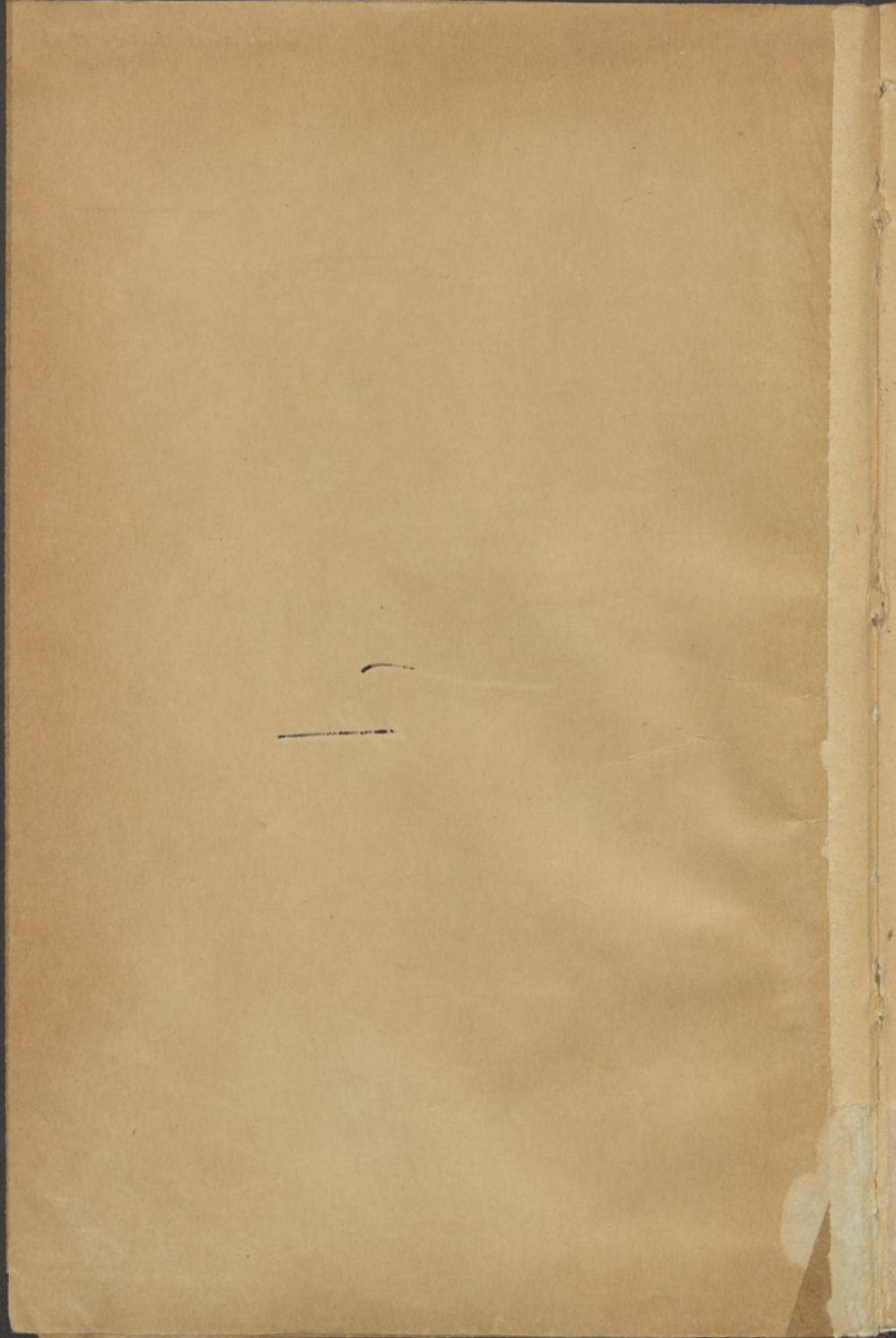
~~N^o 1847.~~

Tom 3.

~~5/
XI 1942.~~

~~Leszek Glejner~~

Zjednoczenie Przemysłu Cynkowego
Górnictwo Hutnicze Zakłady
„Nowy Orzeł Biały”
w Bytomiu



336973

WALERY PRZYBOROWSKI

ADJUTANT NACZELNEGO WODZA

POWIEŚĆ OSNUTA NA TLE 1831 R.

Wydanie nowe
z przedmową prof. Henryka Mościckiego

~~Lezak Gleixner~~

Gleixner
Zjednoczenie Przemysłu Cynkowego
Górnictwa i Hutniczych Zakładów
„Nowy Orzeł Biały”
w Bytomiu



WARSZAWA 1930
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

4.000—8.000 egz.

ODBITO 4200 EGZEMPL. NUMEROWANYCH
Z RYCINAMI LUDOMIRA ŁUNIEWSKIEGO

N^o 1847 *



396 456

Prawa przedruków i przekładów zastrzeżone

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA
Hurtownia dla księgarzy i wydawców pod zarządem E. W. Szelażka.
Warszawa, Plac Trzech Krzyży 8.

Drukarnia Narodowa w Krakowie, Wolska 19

W. 1965/68

PRZEDMOWA.

Powieść Przyborowskiego o „Adjutancie Naczelnego Wodza“ wprowadza czytelnika w działania wojenne roku 1831-go. Nie była to bezładna ruchawka powstańcza, rozpaczliwe zmagania partyzanckie, lecz wojna regularna, prowadzona według wszelkich zasad sztuki wojkowej, oparta na zgóry przewidzianym planie strategicznym, przez żołnierzy opatrzonych nietylko w broń i rynsztunek, lecz i w odpowiednią wiedzę fachową. Dając obraz przygód i przeżyć bohatera swej opowieści, spełniającego trudne i odpowiedzialne polecenie wodza, Przyborowski podkreśla zarazem te wartości owoczesnego żołnierza polskiego, który pomny na świetne tradycje naszego oręża, uderzał na wroga z impetem i junacką brawurą.

W rycerskich postaciach wojaków r. 1831-go oglądamy cały zasób tej siły moralnej i ofiarnej miłości ojczyzny, którą wy dobyła z siebie i w blask nieśmiertelnej chwały ubrała szara brać żołnierska, spełniająca swój obowiązek „wbrew rozkazom wodzów, naprzekór ich zaniedbaniom“. Stwierdzeniem takich właśnie cech żołnierza w wojnie listopadowej jest opis nieszczęsnej, lecz wysoką skalą poświęcenia znaczonej, bitwy pod Ostrołęką, dany przez Przyborowskiego na ostatnich kartach powieści. Na polach ostrołęckich, 26 maja 1831 r., okazały się bowiem dobitnie błędy i winy dowództwa przy równoczesnem samozaparciu i ślepem oddaniu się przegranej już sprawie polskiego oficera i szeregowca.

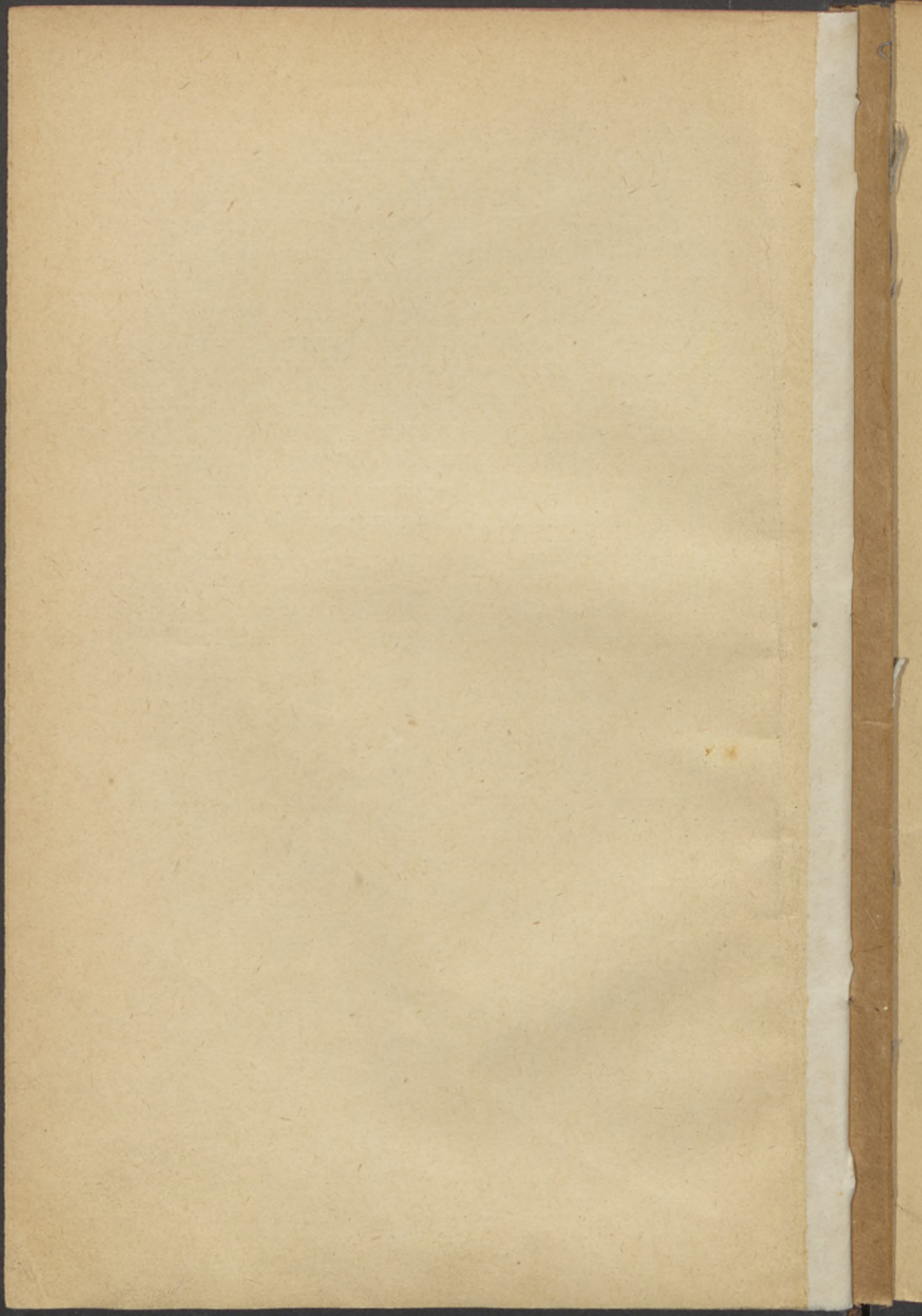
Umieszczone w fatalnej pozycji, prowadzone przez Skrzyneckiego bez woli, bez myśli masy polskiej armji nie zdziałać nie mogły; „ataki wznawiane jeden za drugim, zawsze bez związku... skoro jeden oddział wracał rozbity, wysyłał drugi. Rozbite hufce kazał zbierać, jak się dało i znowu do ataku prowadzić...“ Tak *siedemnaście* tysięcy polskiej piechoty najcięższą otrzymało klęskę od *dziesięciu* tysięcy rosyjskiej. Tak ginęła owa twarda, groźna, nieustępna polska broń, kwiat narodu, młodość i świetność krajowej sprawy. „Było poprostu szaleństwem, osądza świadek naoczny, pojedynczemi brygadami pchać się naprzód po mokradłach przeciw oszańcowaniu, poza którem, pięknie kryte, artylerją polską wcale nie niepokojone siedemnaście bataljonów rosyjskich z czworgiem dział stało, z flanku dwiema jeszcze baterjami bronione. Albowiem każdej chwili 66 armat rosyjskich brało od skrzydła każdy taki atak na cel i ani jedna polska armata nie przysposobiła ataku“.

W podobny sposób zniszczył Skrzynecki jazdę, rzucając ją „szarżami nie na nieprzyjaciela, lecz na kule nieprzyjacielskie“. Bitwę trzynastogodzinną zakończyła słynna przedwieczorna „szarża“ artylerji Bema. Skrzynecki już był widocznie utracił równowagę umysłu; „nie wiedział gdzie, ani jakie ma wojsko, unosił się niecierpliwością, działał, jak go popchnęły momentalne wrażenia“. Sam, w obliczu przepaści, wszystko w nią strącał, sam stawał na czele i prowadził kupy ludzi, bezimienne resztki wspañiałych regimentów w odmęt chłonna z osleplem męstwem. „Kilka razy — pisze gen. Kruszewski — znalazł się wśród nieprzyjaciół tak, że my, jego adjutanci, dobyliśmy pałaszy, zasłaniając go od bagnatów. Jednego razu bataljon z 16-go pułku ustępował przed kolumną nieprzyjacielską, która szła na niego na bagnety, Skrzynecki posunął się na koniu naprzód, zamiast pałasza wznosił czapkę do góry

i tak zaimponował tem Rosjanom, że się zwrócili wtył, a nasza młoda piechota, nabrawszy odwagi, poszła na nich“. Takim energicznym odporem przeszkodził zagładzie wojska. Szaleństwo przy końcu bitwy uratowało szczątki armji. Ale skutki przegranej były, zwłaszcza w dziedzinie moralnej, fatalne. Odebrała ona dowódcom resztę wiary w siebie; odtąd inicjatywa, którą dotychczas górowaliśmy nad przeciwnikiem, odbierając mu nieraz całkowicie swobodę działania, przeszła w jego ręce, udziałem zaś naszym stała się bierność. Odczuł to i zrozumiał każdy żołnierz; stracił poczucie wyższości własnej i przewagi nad wrogiem, które poprzednio sprawiało, że ważył się na wszystko. Do szeregów przeniknęło teraz poczucie bezcelowości dalszej walki, dusze napelniło rezygnacją i pragnieniem śmierci żołnierskiej...

Jednym z takich, co czuł w swej szabli jedynie ojczyzny ocalenie, a obowiązek swój spełnił do końca, był „adjutant Naczelnego Wodza“, bohater tej opowieści, książę Tadeusz Sołomerecki.

Henryk Mościcki



I

Dnia 8 maja, w samą uroczystość św. Stanisława, ja, książę Tadeusz Sołomerecki, adjutant Naczelnego Wodza, generała Skrzyneckiego, zostałem wieczorem wezwany do niego. Kwatera główna mieściła się wówczas we wsi Jędrzejowie, leżącej tuż przy trakcie bitym, prowadzącym z Warszawy do Siedlec. Najbliższe miasteczka były z jednej strony, Mińsk Mazowiecki, z drugiej Kałuszyn, do którego my, oficerowie, dość często jeździliśmy, bo głośny w naszych obozach, żyd Mordka Parasol, miał tam handel z wybornym winem węgierskim.

Wódz naczelny mieszkał w dość obszernym, starym dworze Jędrzejowskim, wzniesionym tuż przy szosie, i oddzielonym od niej cienistym parkiem i sadem. Właścicielami tej wioski było dwoje starszuchów, blisko dziewięćdziesięcioletnich, państwo Bogusławscy. On zwany pułkownikiem, niegdyś konfederat barski i oficer Kościuszkowski, pomimo podeszłego wieku, trzymał się krzepko, nawet codziennie konno jeździł, a wieczorami opowiadał nam przy lampce starego trojniaku, o panu Pułaskim i o naczelniku Kościuszcze. Mieszkali oboje w trzech pokojach oficyny bocznej, bo dwór główny odstąpili Naczelnemu wodzowi i jego sztabowi. W tejże samej oficynie, podzielonej starym obyczajem sienią na dwie połowy, mieściliśmy się także w dwu izbach, my adjutanci, to jest ja, pan Roman Sanguszko, pan Tomasz Potocki, pan Władysław Zamoyski i paru innych. Ciasno nam było, ale na wojnie,

jak na wojnie, trzeba się nieraz byle czem kontentować i dziękować Bogu, że się miało dach nad głową, łóżko i poduszkę, bo nie zawsze takie wygody znaleźć można było. Sama pani Bogusławska, staruszka biała jak gołębek, cicha, łagodna, lubiła mię bardzo, bo znajdowała we mnie podobieństwo do swego syna jedynaka, który zginął w przeprawie przez Berezynę 1812 roku, i którego nigdy zapomnieć nie mogła. Prawie codziem wieczorem, gdy nie było nic do roboty, a w tym czasie, po zwycięstwach naszych pod Dębem Wielkim i Iganiami, spoczywaliśmy bezczynnie, na co wojsko sarkano, chodziłem na drugą stronę do państwa Bogusławskich, i zawsze pani przyjmowała mnie ucałowaniem w czoło i łzami, mówiąc:

— Ach, robaczkę, jak ty mi przypominasz mego Stasia, którego Pan Bóg zabrał do swej chwały.

I zwykle głosem stłumionym dodawała:

— Boże, nie moja lecz Twoja niech się stanie wola.

Owóz owego d. 8 maja, ponieważ to były imieniny nie szczęśliwego syna państwa Bogusławskich i jak mi mówili, zawsze uroczyście przez nich obchodzone, choć kości biedaka Bóg jeden wie, gdzie spoczywały, poszedłem do nich wieczorem i razem płakaliśmy i wspominaliśmy dawne dzieje. Pan Pułkownik kazał przynieść przedniego miodu i piliśmy małemi lampeczkami pyszny, złocisty i gęsty napój, a staruszek powoli rozgadał się i prawił o panu Pułaskim, o Częstochowie i Lanckoronie, i o tem jak go generał Dumorieuz wysłał w dwadzieścia koni z pod Czersztyna aż na Litwę do Słonima, do pana Ogińskiego, hetmana wielkiego litewskiego. Opowieść była bardzo ciekawa i słuchałem z zajęciem przygód, jakich pan Bogusławski doznał w tej wyprawie, gdy roztworzyły się drzwi i pan Tomasz Potocki wpadł z trzaskiem i brzękiem do pokoju, pytając głośno:

— Jest tu Tadzik Sołomerecki?

Nazywano mię powszechnie Tadzikiem, bo byłem młodszy od innych adjutantów (liczyłem wtedy zaledwie dwudziesty rok życia) i miałem podobno wygląd i twarz bardzo chłopięcą.

— Jestem! odrzekłem.

— Wódz naczelny wzywa cię natychmiast.

Przypasałem więc co żywo palasz do boku, mundur zapiąłem na wszystkie guziki, i pobiegłem za p. Tomaszem Potockim.

— Czy nie wiesz, panie Tomaszu, pytałem idąc przez dziedziniec do dworu, po co mię wzywa wódz naczelny?

— Nie wiem, skądże mam wiedzieć? Czy myślisz, że wódz naczelny zwierza mi się ze swych zamiarów?

Nic nie odrzekłem na te szydzące nieco pytanie, zwłaszcza że pan Tomasz znany był między nami, adjutantami, ze swego kostycznego nieco języka, i wszedłem do dworu, gdzie mię zaraz zameldowano i wpuszczono do pokoju wódza naczelnego.

Pokój ten był jasno oświetlony kilku jarzącymi świecami woskowymi, umieszczonemi w wieloramiennym świeczniku srebrnym i ustawionym na dużym stole, pełnym papierów, założonym głównie przez wielką mapę, na której widać było wbitych kilkanaście szpilek z różnobarwnymi chorągiewkami, zapewne oznaczającemi stanowiska naszych i nieprzyjacielskich wojsk. Wódz naczelny w mundurze rozpiętym siedział za stołem, wpatrując się w mapę, na której kwatermistrz jeneralny, pan jenerał Prądzyński coś wskazywał. W pokoju nikogo nie było więcej.

Gdym wszedł, drzwi za sobą zamknął i wyprostowany jak struna, zatrzymał się u progu, wódz naczelny podniósł na mnie swe rozumne, ukośne nieco oczy, na pół powiekami przysłonione, i spytał:

— Adjutant Sołomerecki?

— Tak, wodzu naczelny!

— Zbliż się książę i siądź tutaj!

Wskazał mi krzesło obok siebie, co było oznaką wielkiej łaskawości, a ja, zmieszany nieco, bo generał Skrzynecki swą dumną, pyszną, marsową postawą, wzbudzał w nas młodych wielkie dla siebie uszanowanie, siadłem na brzeżku krzesła i czekałem dalszych pytań. Po chwilo-wym milczeniu wódz naczelny wolno, z pewnym namysłem, rzekł:

— Mówiono mi, że książę posiadasz majątek gdzieś w okolicach Łomży. Czy to prawda?

— Majątek, nie majątek odrzekłem, właściwie jedną wioskę i nie pod Łomżą, ale pod Śniadowem.

W rzeczy samej, po mych rodzicach, którzy mnie w dzieciństwie odumarli, wskutek nieuczciwego zarządu opiekunów, została mi się z pięciu wsi, zaledwie jedna nędzna wioska, z dwudziestu poddanymi, położona w bagnach i moczarach, w głębi ogromnych lasów, zwana Mokre, o parę mil oddalona od miasteczka Śniadowa. Gdym więc wyrzekł powyżej przytoczone słowa, wódz naczelny zwrócił się do generała Prądyńskiego i spytał:

— A gdzież to jest ten Śniadow?

Generał Prądyński wskazał na mapie, a wódz naczelny pochyliwszy głowę przez chwilę przypatrywał się, poczem nagle zawołał:

— Ależ to jest w samym prawie środku ich pozycji?

— Tak! — odrzekł Prądyński i zwracając się do mnie zapytał:

— Jak się nazywa wieś pana porucznika?

— Mokre — odrzekłem.

Znów począł szukać na mapie, a znalazłszy nazwę mej ubogiej wioszczyny, rzekł:

— To tutaj. Od Śniadowa jest zaledwie jakieś półtory a od Łomży około trzech mil, czy tak?

— Mniej więcej tak — odparłem.

— Do koła wioski pana porucznika — mówił dalej Prądyński — widzę bagna i lasy.

— Istotnie — odrzekłem — są tam duże lasy i bagna.

— Czy pan porucznik zna dobrze tę miejscowość?

— Znam. Wychowałem się tam i w promieniu kilku mil od Mokrego i Śniadowa znam każdą ścieżkę nieomal.

— Czy można zapytać, jakim sposobem pan porucznik doszedł do tak dokładnej znajomości tych okolic?

— Jestem zapalonym myśliwym i całą moją młodość spędziłem brodząc ze strzelbą po lasach i trzęsawiskach tamtejszych.

Jenerał Prądyński nic już nie rzekł, tylko zrobił znak ręką, jakgdyby mi wskazywał, że on skończył, a mam teraz odpowiadać na pytania wodza naczelnego. Jakoż ten ostatni przez chwilę przypatrywał się pilnie mapie, a potem zwracając się do mnie, rzekł:

— W okolicach Łomży rozłożoną jest na szerokich kwaterach gwardja rosyjska pod wodzą W. księcia Michała. Zależy mi bardzo wiele na tem, bym wiedział jak najdokładniej, gdzie, w jakim miejscu stoją pojedyncze oddziały tej gwardji. Rozkazuję ci zatem, książę, ażebyś wzięwszy ze sobą parę szwadronów jazdy, dotarł na ich czele aż pod samą Łomżę i jak najszczegółowsze zebrał wiadomości o zajmowanej przez gwardję pozycji i o sile każdego jej oddziału. Masz wyruszyć natychmiast, jak tylko otrzymasz od obecnego tu jenerała kwatermistrza instrukcję piśmienną. Ponieważ znasz, jak sam powiadasz, okolicę, przyjdzie ci to łatwo. Daję ci na zebranie tych wiadomości sześć do siedmiu dni czasu. Dziś mamy ósmego, wrócisz więc 14 lub najpóźniej 15 maja. Rekonesans ten ma ważne dla mnie znaczenie. Czy rozumiesz książę jego doniosłość?

— Tak dalece, wodzu naczelny, rozumiem, że zamiast

dwu szwadronów, wolałbym mieć pod sobą cały pułk jazdy.

— Całego pułku jazdy — wtrącił generał Prądyński — nie możemy dać panu porucznikowi. Sądzę nawet, że dwa szwadrony jest za dużo. Dość by było pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, sto zresztą koni. Widzę ze słów pana porucznika, że nie bardzo pojmuje o co nam idzie.

— Może pan generał wyjaśni księciu rzecz tę bliżej — rzekł wódz naczelny.

Więc generał Prądyński dotąd siedzący, powstał, zbliżył się do mnie ze swą figurą szczupłą i nędzną, i wlepiając we mnie swe duże, szare, wylupiate oczy, w których nikt by się nie domyślił lotnego genjuszu, jaki niewątpliwie oficer ten posiadał, począł mówić:

— Tu nie idzie o to byś pan porucznik bił się, napadał lub alarmował oddziały nieprzyjacielskie. Przeciwnie masz pan maszerować chyłkiem, bocznymi drogami, bagnami i lasami, przemykać się niepostrzeżenie, unikać widoku nieprzyjaciela a jednak widzieć go wszędzie własnymi oczami, dotrzeć jak najbliżej do niego, by zebrać o jego stanowisku i sile jak najdokładniejsze wiadomości, działać jednym słowem jak nieśmiertelny Stefan Czarniecki, bić się zaś chyba w ostateczności, niewolnika zaś nigdzie nie dawać. Czy pan porucznik rozumie, czego od niego wymagamy?

— Rozumiem.

— Właśnie dlatego, że pan porucznik jest w tamtych okolicach osiadły i ma zapewne znajomości, konneksje i koligacje, wódz naczelny powierza mu tę ważną misję. Jestem zdania, że instrukcja piśmienna jest tu niepotrzebna. Pan porucznik może być pobity, może dostać się do niewoli, a wtedy instrukcja mogłaby nasze zamiary zdradzić.

Słowa ostatnie były nie do mnie, ale do wodza naczelnego zwrócone, który po krótkim namyśle, rzekł:

— W rzeczy samej, ma pan generał rację. Instrukcja piśmienna zgoła jest niepotrzebna. Wszak książę wie już po co go posyłamy?

— Wiem.

— I spełnisz to, co ci polecam?

— Spełnię, tak mi Boże dopomóż! zawolałem w uniesieniu podnosząc rękę jakby do przysięgi — albo wróczę z żądanymi wiadomościami, albo polegnę.

Wyprawa, którą mi powierzano, była dowodem wielkiej do mnie ufności wodza naczelnego i pochlebiała mi bardzo i budziła we mnie entuzjazm. Przysięgałem sobie w duszy, że ją spełnię lub zginę, i dumny byłem z tego, że mnie na jej wodza wybrano.

— Wobec tego cośmy tu powiedzieli — ciągnął dalej generał Prądyński — sam pan porucznik przyzna, że przy gęsto rozstawionych oddziałach gwardji, łatwiej się będzie panu przemknąć w kilkadziesiąt niż w parę set koni. Dla tego też radziłbym wziąć ze sobą nie dwa szwadrony, ale co najwyżej dwa plutony.

— Zastosuję się do rozkazu.

Tu generał Prądyński zwrócił się do wodza naczelnego i rzekł:

— Sądzę, że można będzie te dwa plutony wziąć z pułku krakusów sandomierskich?

— Zapewne — odrzekł wódz naczelny — niech pan generał wyda odpowiednie rozkazy. Do widzenia książę. Niech cię Bóg ma w swej opiece. Wracaj nam szczęśliwie, a nadewszystko z dobrymi wiadomościami.

Był to znak pożegnania. Skłoniłem się i wyszedłem, ale zaledwie przez sąsiedni pokój, zupełnie pusty, zrobiłem parę kroków, gdy wybiegł za mną generał Prądyński, i trzymając w ręku jakiś papier, wołał:

— Panie poruczniku, jeszcze słówko!

Zatrzymałem się a on wręczając mi papier rzekł:

— Rozkaz do dowódcy krakusów sandomierskich. Dwoma plutonami, z którymi pan porucznik ma zaraz wyruszyć, dowodzić będzie porucznik Turski, zapewne znajomy pański?

— Znam go, panie jenerale.

— Tym lepiej. Porucznik Turski nie wie i nie ma wiedzy po co i dokąd pan jedziesz, jak również względem wszystkich masz zachować najzupełniejszą tajemnicę. Porucznik Turski ma dowodzić plutonami, wydawać im rozkazy, ale kierownictwo marszów, podjazdów, wycieczek do pana należy. A teraz do widzenia i życzę powodzenia.

Uszedł parę kroków, lecz zawrócił zaraz i mówił:

— Ostrzegam pana, że od wiadomości, jakie nam przywieziesz, od ich dokładności, zależeć będzie los wojny a może kraju całego. Śmiało więc poruczniku, a ojczyzna kiedyś wdzięczną ci będzie.

Nie potrzebował mi tego mówić i w ten sposób mię zachęcać. Czyż Polska nie była także moją ukochaną ojczyzną i czyż nie było moim obowiązkiem umrzeć za nią, jeżeli tego okaże się potrzeba? A przytem misja, którą mi powierzano, przejmowała mię słuszną dumą i zapalem, zwłaszcza jeżeli od niej zależnym jest los wojny, a z nią los kraju.

— Niech pan jenerał będzie spokojny — odrzekłem — na śmiałości mi nie zbraknie i wszystko zrobię, co tylko w mocy człowieka będzie zrobić.

— Nie wątpię o tem. Niech pan porucznik notuje sobie wszelkie wiadomości na papierze, ale tak, że jeżeliby papier ten dostał się w ręce nieprzyjaciół, aby nic z niego nie zrozumieli. Sądę.. przychodzi mi taka myśl... (tu jenerał Prądyński spuścił głowę i ręką dotknął się czoła) że najlepiej będzie nadać tym wiadomościom charakter gospodarski. Napisze pan porucznik np. żyta korcy 1200, co będzie znaczyło, że w takiej a takiej miejscowości znaj-

duże się 1200 piechoty. Owies będzie oznaczał jazdę, pszenica artylerję lub coś podobnego... Pan porucznik mię przecież rozumie?

— Rozumiem.

— Idzie głównie oto, że w razie gdyby tak spisane wiadomości wpadły w ręce nieprzyjaciela, żeby on z nich nic nie zrozumiał. No... dowidzenia, życzę powodzenia.

Skłonił się ręką i głową i ze swą małą, biedną, mierną figurką, zniknął za drzwiami gabinetu wodza naczelnego. Zostałem sam i przez chwilę oszołomiony tem wszystkim, pogrążyłem się w głęboką zadumę i rzecz dziwna, myślałem głównie o tem, czy będzie dobrze, jeżeli posłucham rady jenerała Prądzyńskiego i zapisywać będę liczbę nieprzyjaciół, jako korce żyta, owsa lub pszenicy. Nie wydało mi się to praktycznem, a nawet mądrzem. Nuż, bowiem, w tem lub owem miejscu zastanę jakieś kilkanaście tysięcy ludzi, to któż uwierzy temu, żeby na przednówku, w czasie wojny, kiedy obie strony ściągały skąd mogły wszelkie zapasy żywności, aby powtarzam, znajdowało się w jakiejś miejscowości kilkanaście tysięcy korcy żyta lub pszenicy i to jeszcze na Mazurach, gdzie własność ziemska jest bardzo rozdrobniona, i krestencja liczy się zaledwie na setki korcy a nigdy na tysiące. Wydawało mi się więc tego rodzaju zapisywanie sił nieprzyjacielskich bardzo zdradliwem, i stałem na środku pokoju z rozkazem do komendanta krakusów w rękę, łamiąc głowę nad wynalezieniem innego sposobu notowania zebranych wiadomości, gdy nagle cichutko otworzyły się drzwi i w nich ukazała się twarz mego kolegi adjutanta, pana Tomasza Potockiego. Obrzucił on pokój swemi bystreimi oczami i choć było w niem ciemno, dostrzegł mię jednak i syknął:

— Tadzik! a chodźże do paralusza! czegoż stoisz, jakbyś kij polknął?

Ocknąłem się z zadumy i ruszyłem do sąsiedniego pokoju, gdzie zwykle gromadzili się adjutanci i sztabowcy wodza naczelnego. Obstąpili mię zaraz do koła i nuż pytać:

— Czego chciał od ciebie wódz naczelny? po co cię wzywał? coś robił tak długo w jego gabinecie? o czym z tobą mówił generał Prądyński?

— Moi panowie — odrzekłem — przypomnijcie sobie czego was uczono w młodości. Żeby cię pieczono i smażono w smole, nie powiadaj co się dzieje w szkole, a cóż dopiero w obozie, w czasie wojny. Nic wam zatem powiedzieć nie mogę.

— Patrzajcie go! — zawołał Potocki — ktoby to przypuszczał, że ten Tadzik Sołomerecki tak zmańdrzeje.

— Ba! — zauważył pan Leon Rzewuski — już Szekspir powiedział, że są cuda na ziemi i niebie, o których nie śniło się filozofom.

— Kpijcie sobie — odrzekłem — a ja wam nic nie powiem, bo mi mówić nie wolno. Tymczasem do widzenia, nieprędko się zobaczymy.

— Jakto? na prawdę jedziesz gdzie? — spytał Roman Sanguszko.

— Jadę.

— Dokąd?

— Sam nie wiem. Do widzenia!

Skłoniłem się otaczającym po wojskowemu, śmiejąc się głośno z ich min zabawnych, i wyszedłem. Na dworze, po dniu dość ładnym i ciepłym, zrobiła się noc ciemna i chłodna. Wielkie, ponure chmurzyska przewalały się po niebie, kłębiły i ścigały wzajemnie, a mocny wiatr świszczwał wśród drzew i miotał gałęzmi ogromnej lipy na środku dziedzińca. Suchy odgłos jej bezlistnych jeszcze konarów, rozlegał się dokoła. Od ognisk obozowych, rozłożonych poza ogrodem i we wsi, padała na obłoki czerwona luna

i posepnemu obrazowi ciemnej nocy, bardziej jeszcze posepny nadawała charakter.

Pułk krakusów sandomierskich, stanowiący eskortę wodza naczelnego, zajmował stajnie i zabudowania dworskie, nie potrzebowałem więc długo szukać jego komentanta. Wziął odemnie rozkaz, przeczytał go i spytał:

— Czy pan adjutant ma jechać gdzie z memi plutonami?

— Tak, panie pułkowniku.

— Czy zaraz?

— Tak.

— Czy to wyprawa daleka?

— Zdaje się.

Spojrzał na mnie i rzekł:

— Pytam dlatego, że chcę wiedzieć czy ludzie mają wziąć ze sobą obrok dla koni.

— Sądzę, że lepiej będzie gdy wezmą.

— Więc dobrze. Gdzie mają stanąć plutony?

— Przed moją kwaterą.

— Zaraz wydam rozkaz.

Ukloniłem się i wyszedłem.

II

Porucznik Wincenty Turski, który miał dowodzić dwoma plutonami krakusów, danych mi jako eskorta, pochodził z Sandomierskiego, ze wsi Kluczewska pod miasteczkiem Włoszczową, i był nawet moim dalekim krewnym. Stąd znałem się z nim dobrze. Był to młody, dwudziestoletni chłopiec, mniej więcej w moim wieku, dobry, poczciwy, osobiście bardzo mężny, ale słabego charakteru i nierozgarnięty mocno. Właśnie dla tych jego wad czy przymiotów, rad byłem, że mi go dano jako towarzysza trudnej i niebezpiecznej wyprawy. Z nim bowiem nie mogłem mieć żadnych kłopotów i pewny byłem że zupełnie ulegać mi i robić będzie to, co ja mu powiem. Taki stosunek wzajemny zapewniał do pewnego stopnia powodzenie przedsięwzięciu całemu.

Stosownie do przyrzeczenia pułkownika krakusów, w pół godziny oba plutony stanęły przed moją kwaterą. Było ich około siedemdziesiąt koni, chłopcy młodzi, dzielni, ubrani w brunatne burki, w czerwone krakuski z pawimi piórami, uzbrojeni w szable, pistolety i lance z trójbarwistemi chorągiewkami. Plutony w milczeniu uszykowały się przed moją kwaterą, a Wicusz Turski zszedł z konia i wszedł do mnie. Ja też byłem gotów. Wsunąłem w trzos skórzaną cztery tysiące złotych polskich, które z rozkazu wodza naczelnego wypłacono mi z kasy obozowej, dołączyłem do tej sumy kilkadziesiąt mych własnych dukatów w złocie, trzosem tym opasałem się starannie, a mój ordy-

nans zapakował w troki trochę bielizny i innych potrzebnych mi rzeczy.

Po Turskim weszli do mnie jeszcze dwaj podchorążowie pp. Laskowski i Budzilis, oraz porucznik drugiego plutonu p. Chocimski, wszystko młodzi, dzielni chłopcy. Tym sposobem było nas pięciu oficerów, którzy mieliśmy dokonać tej niewątpliwie niebezpiecznej wyprawy. Dopytywali się oni natarczywie, dokąd się udajemy, ale oczywiście rzecz, tajemnicy zdradzić nie mogłem i nie zdradziłem.

— To tylko mogę panom powiedzieć, rzekłem, że wyprawa jest daleka i niebezpieczna. Powierzenie jej nam, dowodzi, ze strony zwierzchności wielkiego do nas zaufania, gdyż od jej powodzenia zależą bardzo ważne rzeczy. Nie wątpię też ani na chwilę, że dołożymy wszystkich sił, ażeby wyprawa ta powiodła się w zupełności i że gdy będzie potrzeba życia naszego szczerzyć nie będziemy. Oto co panom powiedzieć mogę.

Poprzestali na tem i niebawem wyruszyliśmy w drogę. Dodać tu muszę, że kazano mi maszerować na Jabłonnę i Modlin i w tej ostatniej twierdzy zgłosić się do jej komendanta pułkownika Ledóchowskiego i zasięgnąć wiadomości, jeżeli jakie ma, o stanowiskach gwardji nieprzyjacielskiej, a następnie kierować się już według okoliczności i własnego rozumu.

W drodze moi towarzysze, a zwłaszcza Turski, który był ogromnie ciekawy, nie przestali rozmyślać nad tem, dokąd my się udajemy i z kierunku pierwszych naszych marszów snuć różnych wniosków. Rozprawy swoje toczyli głośno i zwykle w mojej obecności, nie śmieli mi się jednak więcej pytać o nic, ja też uparcie milczałem. W końcu po długich rozprawach i sporach przyszli do przekonania, że udajemy się na Litwę, gdzie właśnie w tej chwili wybuchło powstanie i domagano się od wodza naczelnego nie

tyle pomocy, ile zdolnych instruktorów, którzyby mogli zbierającą się po lasach ruchawkę, wyćwiczyć i uorganizować wojskowo. Otóż Turski i jego koledzy z kierunku naszych pierwszych marszów wywnioskowali, że my właśnie jesteśmy takimi instruktorami, którzy mają powstaniu litewskiemu nadać pożądaną spójność i tęgosc militarną. Nie potwierdzałem, ale też i nie zaprzeczałem temu, a wynikiem mego zachowania się w tym względzie było to, że towarzysze moi jak najmocniej byli przekonani, iż odgadli cel naszej ekspedycji. Zauważyłem przytem, że nabywszy tej pewności, nie smucili się tem wcale; uznawali niebezpieczeństwo wyprawy, ale to właśnie niebezpieczeństwo uśmiechało się ich dzielnym duszom. Podporucznik pierwszego plutonu Laskowski, Mazur zatracony, zawadajaka, wyborny jeździec i mistrz w robieniu szabłą i lancą, wołał:

— Ha, kiedy na Litwę, to na Litwę! Raz kozie śmierć. Choć pewny jestem, że cali i zdrowi nie wrócimy stamtąd, jednakże cieszę się bardzo i za nic nie odstąpiłbym od zaszczytu niesienia naszym braciom Litwinom pomocy. Hej! hej! przebijemy naszymi lancami na wskrós wszystkie puszcze litewskie, prawda Boćwinkarzu?

Najbardziej jednak cieszył się z tego podchorąży Polikarp Piesgajło Budzilis, którego nazywano „Boćwinkarzem“, rodem Litwin, a raczej Żmudzin, ze wsi Skuryski i rad był, że może zbrojno do swej ojczyzny wrócić. Wyglądał dość zabawnie. Wysoki, chudy, cienki jak tyczka, o nieproporcjonalnie długich nogach, bez zarostu, rumiany jak panienka, a w mowie swej przeciągał z litewska.

— Taj duszeńko, nie łatwo to zbrodzić puszcze litewskie — odpowiedział Laskowskiemu. Już to nijak, braciszku nie przebijesz ich lancą, bo powiadam tobie złamałbyś ją sobie o pierwsze lepsze drzewo. Jakże ty chcesz całą puszcę przebić? ot, nie wiedzieć co!

— Ach jak ty Polikarpku, boćwinkarzu, nic nie rozu-

miesz — odzywał się na to Laskowski. Czyż ty nie widzisz, zakuta głowo żmudzka, że moje słowa o przebiciu lancą puszc litewskich, są tylko poetycznem określeniem, figurą retoryczną!

— Figurą retoryczną? nijak tego pojąć nie mogący duszeńko. Ale wy Koroniarze straszne śmieszki. Ot, co jest.

I wyciągał swą długą, cienką szyję, na której osadzona była małeńka główka, z twarzą bardziej czerwoną niż krakuska, która na tym chudym Litwinie wyglądała cudacznie i czyniła zeń istnego stracha na wróble. Śmieliśmy się z poczciwego chłopca, o co on się nie gniewał wcale, tylko gdy mu już zanadto dokuczano, mówił:

— Nie wiedzieć co! Koroniarze straszne śmieszki!

Porucznik drugiego plutonu, Hrehory Huryło Chocimski, Ukrainiec gdzieś z poza Dniepru, jeden z tych, którzy pierwsi wszyli się w jęgrów rosyjskich pod Stoczkiem i kanonierów na armatach rąbać poczęli, ozdobiony zato krzyżem *Virtuti Militari*, nieco mruk, oczajdusza, ale waleczny i dobry kolega, odezwał się na to swym grubym basem i akcentem nieco śpiewnym, ukraińskim.

— Taki ja powiem, że skoro nas już wysłano, to lepiej by było, żebyśmy poszli na Ukrainę.

— Dlaczego? — pytał Laskowski.

— A dlatego, że jakby tam obaczono nasze spisy, toby wszystko co żyje siadło na koń i narobiliśmy takiej kasy, że *ne daj Boh!*

— A ty braciaszku myślisz, co na świętej Żmudzi, nie powstaną wszyscy jak nas obaczą? — pytał Budzilis.

— Ja myślę, że nie. Nie wierzę ja wam boćwinkarzom.

— At! nie wiedzieć co!

Takie rozmowy i takie spory toczono w czasie marszu, a w nich odbijało się stare współzawodnictwo różnych prowincyj dawnej Rzeczypospolitej. Szczególnym bowiem zbiegiem okoliczności, wśród nas, pięciu oficerów, znajdo-

wali się przedstawiciele nieomal wszystkich części wielkiej niegdyś Polski. Ja i Laskowski byliśmy Mazurami (choć moja rodzina pochodziła właściwie z Wołynia), Turski był Krakowiakiem, Budzilis Żmudzinem, a Chocimski Ukraińcem. Żartowano z siebie nawzajem, Laskowskiego nazywano „ślepy mazurem“, Budzilis „boćwinkarzem“, a Chocimskiego „kozakiem“, ale żarty te nie obrażały nikogo i jak najlepsza między nami panowała harmonja, co mię bardzo cieszyło, bo od tej hármonji niewątpliwie w części zależało powodzenie naszej niebezpiecznej wyprawy.

O świcie, dobiliśmy się do Modlina, gdzie miałem zobaczyć się z jego komendantem, pułkownikiem Ledóchowskim i zasięgnąć od niego języka o rozlokowaniu gwardji. Trzeba też było nakarmić konie i dać im parę godzin odpoczynku, bo już poza Narwią i Bugiem musiałem chyłkiem się przemykać i niewiadomem było, czy znajdę gdzie dłuższy a nadewszystko bezpieczniejszy spoczynek. Miałem przytem rozkaz kierować się z początku wskazówkami pułkownika Ledóchowskiego.

Z trudnością wpuszczono mię do fortecy, bo czujność tu była wielka, a stary kulawy jej komendant, niby Wulkan bajeczny, siedział za szanćami jak borsuk w jamie i warczał i szczyrzył zęby, gotów rzucić się na śmiałka, coby chciał zbliżyć się do jego okopów. Przyjął mię dość kwaśno i mrukliwie, ubrany już w mundur, choć godzina była bardzo wczesna, przy szpadzie i wsparty na lasce, maelmi groźnemi oczkami obrzucając mnie gniewnie, pytał:

— Czego waćpan chcesz i skąd się tu wzięłeś?

— Jadę wprost z kwatery głównej z Jędrzejowa, panie pułkowniku.

— Czy masz waćpan do mnie jaką ekspedycję?

— Nie, tylko mam ustnie z panem pułkownikiem się porozumieć.

— Czyś waćpan sam?

— Nie, mam ze sobą dwa plutony jazdy Sandomierskiej.

— I to dla porozumienia się ze mną, aż dwoma plutonami jazdy kazałeś się waćpan otoczyć? Waćpan jesteś adjutant sztabowy?

— Tak, panie pułkowniku.

— Dawniej, mój mości panie, to adjutanci sami z rozkazami jeździli, ale teraz, widzę, jest inaczej. Czego waćpan chcesz?

Ubodło mię to niegrzeczne i szorstkie przyjęcie, a nadewszystko to, że stary wyga posądzał mię wprost o tchórzostwo, że jakoby dla zawiezienia mu prostego rozkazu z obawy jakiejś, otoczyłem się dwoma plutonami jazdy, kiedy dawniej, według jego słów, sami adjutanci jeździli. Przykrem mi to było bardzo, bo Ledóchowskiego szanowano w naszej armji, a jego dumna odpowiedź feldmarszałkowi rosyjskiemu Dybiczowi, gdy ten ostatni wezwał go do poddania Modlina, zyskała staremu komendantowi powszechny oklask i pochwałę. Odpowiedziałem więc tonem chłodnym, że nie wysłano mię tutaj z rozkazami dla niego, ale żebym dotarł do Śniadowa dla przekonania się naocznie o rozlokowaniu gwardji, że polecono mi wstąpić tylko do Modlina dla zasiągnięcia pewnych wskazówek, według których w mej wyprawie, niewątpliwie bardzo niebezpiecznej, mam się kierować. Stary wyga wysłuchał w milczeniu mej mowy, patrząc mi przenikliwie w oczy, wreszcie rzekł:

— Nie masz się czego obrażać, młodzieńcze. Tam w sztabie głównym djabli wiedzą, co sobie myślą o mnie. Skąd ja do pioruna mam wiedzieć jak są rozlokowane gwardje? Mam wszystkiego koło sześciu tysięcy ludzi i to samej zbieraniny, z którą rekonesansów na gwardje, najlepsze wojsko rosyjskie, czynić nie mogę, bo by mi się przy



pierwszem spotkaniu, wszystko to tałajstwo na cztery wiatry rozleciało.

— Więc pan pułkownik niema żadnych wiadomości spytałem.

— A któż to waćpanu powiedział, że nie mam żadnych wiadomości? Ja tu, mości panie, jestem jakby na straconej placówce i czujny być muszę jak żóraw. Wiem dobrze, że kwatera Wielkiego Księcia Michała znajduje się w Łomży, że tam jest główne siedlisko gwardji, sztab generalny, lazarety, parki, cały tabor wreszcie. Wiem, że pod Przetyczami stoi jakiś oddziałek gwardji pod dowództwem jenerała Paleszki, że koło Goworowa, Wasewá, Czerwina obozują silne posterunki z jazdy i piechoty złożone, i na tem koniec.

— A nie wie pan pułkownik jak silne są te posterunki?

Na to pytanie rzucił się stary wyga, jakby na węża nastąpił, zaklął siarczyście i huknął:

— A skądże ja, do stu tysięcy par djabłów mam wiedzieć? Tam w tym waszym sztabie głównym, świeżo upieczonym jenerałom się zdaje, że stary Ledóchowski jest od tego, by o wszystkim wiedział. Tfu! do licha!...

Zgniewał się widać mocno, choć szczerze mówiąc nie wiedziałem wówczas i dziś jeszcze nie wiem, o co; stukał laską o podłogę, mrucał, kłął po cichu, wreszcie siadł na krześle przy swoim biurku i uspokoiwszy się, rzekł:

— Po to waćpana wysłano, żebyś się dowiedział, a nie mnie o to pytał. Ja nic nie wiem prócz tego, com waćpanu powiedział.

Umilkł na chwilę, pomyślał i dodał:

— Ale młodzieńcze dam ci dobrą radę. Znasz li te okolice, w które ci się zapuścić kazano?

— Znam, jestem z pod Śniadowa rodem.

— A jak się waćpan nazywasz?

— Sołomerecki, panie pułkowniku.

Spojrzał na mnie uważniej, podniósł się wolno i spytał:

— Książę?

— Tak, panie pułkowniku.

— A! to co innego. Bardzo mi przyjemnie pana poznać. Jedna z Ledóchowskich była za Sołomereckim. Kuzynami jesteśmy. Ale to właśnie upoważnia mię do ostrzeżenia księcia, że bardzo niebezpieczną polecono ci wyprawę. Możesz mimo woli wpaść w sam środek nieprzyjaciela i zginąć jak ruda mysz. Radzę więc wielką ostrożność. Nie wiem co oni tam w sztabie głównym chcą przez tę wyprawę osiągnąć, ale wiem, że cię, mości książę, wysyłają jakby na straconą placówkę. Trzymaj się więc ostro, czuj duch! Tu zaraz za Bugiem, koło Wyszkowa są wielkie lasy, zaszyj się w nie, radzę, i staraj się dotrzeć do wioski, zwanej Białebloto.

— Wiem gdzie ona leży.

— Tym lepiej, że wiesz pan. Otóż, koło tego Białego blota, kręci się niewielki oddziałek partyzancki majora Wągrockiego. Niedawno nawet dostał on małego łupnia od jakiegoś podjazdu nieprzyjacielskiego, i dla wylizania się z ciągów, zapadł w lasach Wyszkowskich. Miałem o tem przez mych szpiegów wiadomość, nie dalej jak wczoraj. Staraj się pan skomunikować z Wągrockim. Oto moja rada, od niego więcęj się dowiesz, jak odemnie.

— Dziękuję za radę panu pułkownikowi, zapewne do niej się zastosuję. Ale chciałem jeszcze o jedno poprosić.

— Cóż takiego?

— Czy nie mogliby moi ludzie wejść do fortecy i tu otrzymać od pana pułkownika nieco żywności i karmu dla koni?

— Po co mają wchodzić do fortecy? Tego nie rozumiem i na to nie pozwalam. Żywności też nie dam. Sam mam jej niewiele, a gdyby przyszło do oblężenia, musiałbym łapy ssać i podeszwy od butów jeść. Zostań waćpan

tam gdzieś stanął i żyw się czem chcesz. Po co masz wchodzić do fortecy?

— Przedewszystkiem dlatego, panie pułkowniku, żeby sobie odpocząć wygodnie i nabrać sił do czekających mię przygód, a potem żeby się ukryć za wałami przed oczami ciekawych. Mam zamiar do nocy tu pozostać i w nocy dopiero niepostrzeżenie się wymknąć, by jednym, wyjątkowym marszem dopaść do lasów Wyszkwowskich.

— Hm! myśl, ani słowa, dobra, choć wątpię, by się panu udało jednym marszem dostać do lasów Wyszkwowskich. Stąd jest co najmniej ośm do dziesięciu opętanych mil do tych lasów, a przytem nie radzę waćpanu gościńcem maszerować. Chcesz zrobić marsz ukryty? bardzo pięknie, ale w takim razie musisz bokami iść, drożynami po piachach i błotach i przez jedną noc, choćbyś miał skrzydła, nie upalisz tych dziesięciu mil. Widziałem konie waćpana; chude są i zmęczone, a na takich szkapach niepodobna robić forsownych marszów. Słyszałem ja już o tem, że tam w armji głównej marnują kawalerję. Ale nowe są teraz porządki i starych żołnierzy nie słuchają. No! co to gadać napróżno. Przyjąłem za zasadę nie wpuszczać nikogo do fortecy i waćpana nie wpuszczę, chyba bym miał rozkaz wyraźny wodza naczelnego. Czy waćpan masz taki rozkaz?

— Nie mam, panie pułkowniku.

— A więc rzecz skończona. Jeść też waćpanu nie dam i do widzenia.

Był znowu gniewny, nie nazywał mię już księciem, ale podawnemu „waćpanem“, i nie było tu już co robić. Nie wiele się dowiedziałem od starego wygi, choć przyznać muszę, że dobrą dał mi radę, ale gniewała mię jego nieużytość, jego lekceważące mię traktowanie. Nic więc już nie rzekłem, skłoniłem się po wojskowemu i chciałem wyjść, gdy nagle zapytał:

— Maszże waćpan obrok dla koni?

— Mam trochę, ale jak to zjem, nie będę miał już później czem ich nakarmić.

— Hm! mruknął — okolica tutejsza wyjedzona do żdźbła ostatniego i ja też, co można było ściągnąłem do twierdzy, żeby w razie czego nie zdychać z głodu, a jak waćpan zaszyjesz się w lasy Wyszkowski, chyba liśćmi i trawą będziesz karmił konie, a ludzi to już nie wiem. No! do krocset, nie powiedzą, że stary Ledóchowski pozwolił swoim głodować. Każę waćpanu dać obroku dla koni a ludziom obiad ugotować. Ze swoimi zaś, żebyś nie był bardzo na oczach, ukryj się między rowem a wałem, i siedź cicho, ludziom przykaż żeby się nie włóczyli. Lepiej niech się wyśpią, bo później nie prędko im się przytrafi sposobność do wywczasu.

Powstał znowu i tonem łagodniejszym, rzekł:

— A teraz do widzenia mości książe. Życzę powodzenia i obyś mi cały i zdrowy wrócił z tej wyprawy karkołomnej. Niech waćpana Bóg prowadzi, a pamiętaj młodzieńcze, że Polak umrzeć powinien, ale poddać się nigdy. Niech Bóg prowadzi!

Te słowa serdeczne surowego starca rozrzewniły mnie do głębi. Ze łzami w oczach pożegnałem groźnego komendanta twierdzy Modlińskiej i udałem się do swoich Krakusów. Przeprowadziłem ich przez most na stoki wałów, gdzie zakryty nasypem, nie byłem na oczach wszystkich. Ludziom zabroniłem oddalać się od koni, a Ledóchowski dotrzymał słowa, przysłał mi obroku i siana, tak że konie nakarmiłem obficie, a niebawem też przyniesiono obiad dla ludzi, złożony z kapuśniaku, kartofli, mięsa i chleba, tak że nasycili się należycie. Zdziwiłem się też bardzo, gdy zjawił się adjutant pułkownika i za jego pozwoleniem zaprosił nas oficerów do klubu oficerskiego na

obiad. Najedliśmy się tam i napili co się zmieści, ubawiliśmy się też wybornie, a gdy noc zapadła, kazałem w największej cichości sięść na koń, i jak widma jakie wymknęliśmy się z pod fortecy, puszczając się na wyprawę, której losów i końca przewidzieć było trudno.

III

Szliśmy całą noc wytężonym marszem, bo chciałem przed świtem, (a w maju dzień robi się wcześniej) dobić się koniecznie do lasów Wyszzkowskich, tam sobie odpocząć nieco i w okolicach wsi, zwanej Białebloto, wyszukać śladów majora Wągrockiego. O tym majorze mówiono dość często i dużo w sztabie głównym, miał on sławę niestrudzonego partyzanta i podobno niejedną szkodę wyrządził nieprzyjacielowi, ale przez dziwny zbieg okoliczności nikt go nie znał osobiście, nikt nie widział, i wogóle uchodził on za osobistość mityczną. Byli tacy, co opowiadali, że to nie żaden major, i wogóle człowiek niewojskowy, ale mnich jakiś, który opuścił klasztor, by walczyć za ojczyznę, kapucyn czy bernardyn. Mówiono i inne rzeczy, ale wtedy, gdym to słyszał, niewiele mnie wogóle obchodził jakiś tam major Wągrocki, stąd opowiadań tych zapomniałem, choć teraz, gdy wypadki postawiły go na mej drodze, usiłowałem sobie przypomnieć to i owo, żeby wiedzieć z kim będę miał do czynienia. W każdym razie należało mi koniecznie odszukać owego tajemniczego majora, gdyż mógł on mi cennych udzielić wskazówek, jako człowiek kręcący się od paru miesięcy w tych stronach.

Noc była chłodna, wietrzna i ciemna nadzwyczajnie, co z jednej strony było dla mnie rzeczą pożądaną, bo ukrywało mój marsz, tak że przez okolice płaską i bezleśną mogłem się przemknąć niepostrzeżony, z drugiej jednak mogło mię narazić na pobłądzenie i na rozerwanie mej

nielicznej coprawda, ale z powodu wąskich drożyn, któremi maszerowałem, dość długiej kolumny. Prosiłem więc Turskiego, aby zalecił czujność i od czasu do czasu przebiegał od czoła do końca szeregi, by się trzymały kupy. Oficerowie moi niedawno tak gadatliwi, teraz otuleni od wiatru w swe płaszcze, drzemali na koniach i milczeli. Jeden tylko Budzilis Piesgajło nie mógł długo wytrzymać w milczeniu, zwłaszcza, że jak mówił, spać na koniu nie potrafi, więc od czasu do czasu podjeżdżał do mnie i zwykle w ten sposób zaczynał:

— Aj braciaszku, panie poruczniku, pieskie, powiadam tobie, zimno. Skóra na człowieczku całkiem zdrętwiała.

— Na jakim człowieczku?

— Taj przecież na mnie. Chucham i chucham w paluszki, a taki nic nie pomaga.

— Cóż robić? mówiłem na to — od tego jesteśmy żołnierze, żeby wszelkie niewygody znosić.

— Taż to ja wiem i też zdzierzam jak mogę. No cóż, serdeńko, panie poruczniku, na Litwę jedziemy, co?

— Może na Litwę, a może i nie.

— Ot, koroniarz uparty, nic nie chce powiedzieć. Ot, żeby tak na Litwę, zajechalibyśmy do moich Skuryszek, dopieroż ja by was ugościwszy! Wy by obaczyli, co to Litwa i serce litewskie. Ale skoro nie chcesz gadać, to co ja mogę? Żeby ja wiedział, co my na Litwę maszerując, to jaby pchnąwszy Bajbuzę Hrybunowicza przodem do Skuryszek, do mojego ciwuna, pana Wierzgajły, coby on wszystko jak należy przygotował. A tak, to nie wiedzieć co.

— Cóż to za Bajbuza Hrybunowicz?

— Jakże to? nie znasz serdeńko Bajbuzy Hrybunowicza?

— Nie mam tego szczęścia.

— No, nie żadne to szczęście, ale taki Bajbuzę Hrybunowicza znać należy, bo coby ty, panie poruczniku, nie

powiedział, a ja przeniuchawszy, co nasza ekspedycja jest bardzo niebezpieczna, a Bajbuza przydać się może.

— Ale któż to jest ten Bajbuza jakiś?

— Wiadomo kto, Tatar, rodem z Waki.

— Gdzie on jest?

— Taj gdzież ma być, w szeregach. On bywszy sierżantem w plutonie kozaka Huryły.

— A skądże on się tu wziął?

— Jakto skąd? Nie wiedzieć co! On razem ze mną siadłszy na koń i my przysli tu do was, do Korony. A że my napotkawszy najprzód krakusów, nu, to my zapisawszy się do nich nie mieszkając. Ot co jest.

— Bardzo to było pięknie z waszej strony, ale dlaczegoż mi mówisz o tym Tatarze?

— Dlaczego ja mówię o Bajbuzie Hrybunowiczu?

— Tak.

— Oto dlatego, co on jest Tatar, a wiadomo, że Tatarzy to żołnierze jakich nigdzie nie ma. I wiesz co serdeńko, on ma przy kulbace stryczek. Ja jego widział pod Stoczkiem, to on tym stryczkiem łapawszy huzarów i z konia ściągał. Taki już jest obyczaj tatarski, oni to po swoich ojcach mają.

— Wszystko to bardzo pięknie, ale przecie choć on jest Tatar i stryczkiem jak rakarz jaki chwyta ludzi, to na Litwę do twoich Skuryszek w żaden sposób nie mógłby się przedostać.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że nieprzyjaciel zajmuje wszystkie drogi i pies nie przemknie się, żeby go nie widziano.

— Nu, to jakże my się przemknąwszy?

— A któż ci powiedział, że my na Litwę maszerujemy?

— Nikt, ale mnie się taki widzi, co my na Litwę idziemy.

— To ci się źle widzi.

— Nu, niech i tak będzie. Nie chcesz ty braciaszku gadać, to i nie gadaj, ale taki ja tobie powiadam, a Bajbuza, jakby chciał, to by się dostawszy na Litwę. Jakby ja jemu rzekł: Bajbuza ruszaj ty serdeńko do Skuryszek, i powiedz ciwunowi Wierzgajle, coby on zabiwszy kilka baranów, starki z loszku dobywszy, bo my tam w gościnę jedziemy, toby Bajbuza jeno rzekł: dobre panie, i widziałbyś jakby ruszył i zrobiwszy com mu przykazał. Taki braciaszku, panie poruczniku, ja tobie powiadam, coby ty poznał Bajbuzę, bo on wie, jak trawa rośnie.

Jakkolwiek nie bardzo wierzyłem w przenikliwość Litwina i jego znajomość ludzi, jednakże tym razem postanowiłem skorzystać z jego rady i poznać bliżej sierżanta Bajbuzę Hrybunowicza. Z historii znaną mi była zręczność Tatarów w przemykaniu się niepostrzeżenie, w ukrywaniu się i odszukiwaniu śladów nieprzyjaciela, i nie wątpiłem, że w Bajbuzie częśćka tych przymiotów, tak pożądaných na wojnie, przechować się mogła. Wiedziałem, że osada niedaleko Wilna leżąca, Waka nazwana, zamieszkałą jest przeważnie przez Tatarów, których tam podobno Wielki książę Witold osadził, że Tatarzy ci oddawna się spolszczyli i gorącymi są patriotami polskimi, czego najlepszym dowodem był ów Bajbuza, który z własnego popędu, z poczucia potrzeby niesienia pomocy, zrywającej się do nierównej walki ojczyźnie, przedarł się aż z poza Wilna i wstąpił do krakusów. Jakkolwiek jednak Tatarzy litewscy oddawna nie prowadzą swego rzemiosła wojennego i trudnią się uprawą roli, wskutek czego zatracić mogli i niewątpliwie zatracili wiele ze swych dawnych przymiotów rycerskich, przecież ten Bajbuza, którego mi tak zachwalał Budzilis Piesgajło, mógł mi w rzeczy samej przydać się nieraz ze swym byстрыm węchem tatarskim. Postanowiłem więc poznać go bliżej, ale rzecz tę na-

leżało odłożyć do dnia białego, bo po nocy wszystkie koty szare.

Maszerowaliśmy tedy dalej, a o świcie samym, chłodnym i smutnym, dobiliśmy się przecie do jakiegoś lasu, dość dużego i łączącego się z wielkim borem, ograniczającym cały horyzont. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem gdzie jestem, ale miałem nadzieję, że przecie gdzieś ludzi spotkam i od nich wywiem się wszystkiego, co mi potrzeba będzie. Postanowiłem więc zagłębić się dobrze w las i spocząć w nim, bo ludzie i konie, całonocnym, wytężonym marszem, byli mocno zmęczeni. Dzień się szybko robił, ale już teraz las ukrywał nasz pochód; słońce krasiało czerwienią szczyty wysokich, ogromnych sosen, a ptactwo świergotem swoim napełniało bór śpiewnym rozgwarem. Gdzieś w olszynie, obrastającej brzegi bagnistego strumyka, który po naszej prawej płynął, słowik nucił swoje trele, a konie rażno prychały, i zaspane twarze moich Krakusów powoli poczęły się wychylać z pod płaszczy i weselej na świat patrzeć. Szliśmy wąską, błotnistą drożyną, na pół trawą zarosłą, co było dowodem, że rzadko kto tędy przechodził lub przejeżdżał, i nakoniec wydostaliśmy się na niewielką łączkę, przez którą ów strumyk płynął. Otoczona ona była dokoła borem, gęsto w tem miejscu podszytym krzakami olszowymi i leszczyną, tak, że nie łatwo mogliśmy być widziani. Tu więc postanowiłem spocząć, konie tym obrokiem, jaki zabraliśmy z Modlina, popaść a bujna trawa na łące, stanowić mogła wyborny dodatek do paszy; woda w strumyku ugasić zaś pragnienie zmęczonych zwierząt.

Rozłożyliśmy się więc obozem wygodnie. Koni nie kazałem rozkubaczać, tylko popręgów popuścić, a dokoła, dobrze ukryte rozstawiłem widety piesze. Gdy konie zaczęły obrok wesoło chrupać, a żołnierze dobywszy z sakw, co który miał, ten kawałek kielbasy, ów serek, jeszcze inny suchary, posilali się w milczeniu, lub też rozciągnąwszy

się na trawie drzemali, ja tymczasem rozmyślałem nad tem, jakimby można sposobem dowiedzieć się o tem, gdzie my jesteśmy. Oczywiście rzecz, siedząc na miejscu, na owej łączce, wiadomości takiej w żaden sposób nie mógłbym osiąść, że chcąc je mieć trzeba kogoś wysłać na zwiady, a najlepiej samemu iść, bo własne oczy zawsze lepiej niż cudze widzą. Postanowiłem więc wziąć ze sobą paru krakusów i z nimi wyruszyć na zwiady, dla zasiągnięcia języka, podczas gdy plutony, będą używały dobrze zasłużonego spoczynku.

Wtedy to, gdym takie powziął postanowienie i wahałem się kogoby wziąć ze sobą, przyszedł mi na myśl, zachwalony przez Litwina Budzilisa, sierżant drugiego plutonu, Tatar Bajbuza Hrybunowicz. Kazałem go tedy wezwać do siebie. Przybiegł zaraz i ciekawie mu się przypatrywać zacząłem. Był on niski, krępy o szerokich plecach, nogach kabląkowatych, na których chwiał się i stąpał niepewno, czarny na twarzy jak smok, o szczękach wydatnych, nosie maleńkim, spłaszczonym, oczkach ukośnych, bez zarostu, tylko nad wargą czerniał mu drobny i cienki wąsik. Przyszedł, wpatrzył się we mnie temi oczkami z wyrazem psa wiernego i pragnącego odgadnąć myśl pana, brzydki, niezgrabny i śmiesznie wyglądający w czerwonej krakusce na śpiczastej głowie, ale wyprostowany, mocny w sobie i budzący ufność do siebie.

— Sierżant Bajbuza Hrybunowicz? — spytałem.

— Tak, panie poruczniku.

Mówił dobrze po polsku, acz z wyraźnym, śpiewnym akcentem litewskim.

— Tatar?

— Do usług pana porucznika.

— Siadaj na koń, pojedziesz ze mną.

— Wedle rozkazania pana porucznika.

Wziąłem ze sobą mego ordynansa, a właściwie mego

ślugę z Mokrego, człowieka starszego już, Mateusz imieniem, wiernego i przywiązanego do mnie, na którego zawsze w każdej potrzebie liczyć mogłem, i tak we trzech puściliśmy się ową leśną drożyną naprzód. Porucznikowi Wickowi Turskiemu zapowiedziałem, żeby się nie ruszał do mego powrotu, i żeby pilnie czuwał i widety często zmieniał.

Drożyna owa wiodła nas przez las coraz gęstszy, do brze podszyty, na pół liściasty i widocznie bardzo stary. Słońce wzbivszy się wysoko dogrzewało mocno, a choć las dawał cień, jednakże w zbitej masie drzew było duszno i parno. Otaczała nas wielka, senna cisza, tylko gdzieś tam ponad szczytami olbrzymich sosen wiatr szumiał posepnie, a ptactwo świergotem swoim napełniało milczenie boru. Zapach żywicy unosił się dokoła i balsamiczna jego woń odżywczo działała na moje piersi. Jechaliśmy w milczeniu, a ja z ukosa pilnie obserwowałem zachowanie się Bajbuzy, chcąc się przekonać, o ile pochwały boćwinkarza Budzilis są prawdziwe. Tatar na myszaty, brzydkim, garbonosym, ale wytrwałym koniku jechał obok mnie, rozglądając się bacznie dokoła. Nozdrza jego co chwila rozszerzały się i drżały, jakby węszył coś, oczka ciskały błyskawice i przygarbiwszy się, usiłował niemi przeniknąć ciemną głębię boru. Patrzyłem na to z wielkim zajęciem, bo swoją postawą i zachowaniem się, przypominał mi przodków swoich, o których nagłych najazdach tyle się naczytałem niegdyś. Nie wiedział on wcale dokąd i po co jedziemy, ale widocznie odgadł moje zamiary, czuł całą ważność i niebezpieczeństwo tej wycieczki, bo miał wygląd jastrzębia wietrzącego zdobycz i gotowego się na nią rzucić.

— No myślałem sobie — zdaje się, że Budzilis miał rację, w tym brzydkim, garbonosym, jak jego myszata szkapa, Tatarze, będą miał pomoc nielada.

Jechaliśmy już około godziny czasu i nigdzie śladu czło-

wieka napotkać nie mogliśmy. Drożyna, którą dotąd mazerowaliśmy, nagle się urwała, i znaleźliśmy się w głuchym boru, bez żadnej wskazówki. Nie ulegało wątpliwości, że znajdowaliśmy się w wielkiej puszczy Wyszkwowskiej, z czego rad byłem bardzo, bo potrafiłem do niej dostać się jednym, wprawdzie bardzo mocnym marszem, ale zato tak ukrytym, że o mej bytności w tym lesie z pewnością nikt nie wiedział. Było to już rzeczą bardzo ważną i moja karkołomna wyprawa zapowiadała się dobrze.

Jeżeli jednak w ogólności mój pierwszy krok był dobrane i szczęśliwie wykonany, to wszakże w tej chwili w nie małym znajdowałem się kłopotcie, nie wiedząc dokładnie w którym miejscu puszczy Wyszkwowskiej jestem i dokąd się należy obrócić i skąd zasięgnąć języka. Jak powiedziałem, drożyna, którą dotąd postępowaliśmy nagle się urwała i otoczył nas bór dziki, bez żadnych śladów. Bądź co bądź jednak, trzeba było dowiedzieć się gdzie jesteśmy i dlatego, choć już drogi nie było, postanowiłem, w tym samym północno-wschodnim kierunku póty jechać, póki nie natrafię na jaką wieś, choćby chatę samotną, lub wreszcie człowieka, któryby mógł mi dać potrzebne objaśnienia.

Postępowaliśmy więc dalej w milczeniu, chwytając uchem wszelkie odgłosy rozlegające się po boru, zmęczeni mocno, pocąc się wśród dusznego i skwarzącego się na słońcu powietrza. Nagle Bajbuza, który na pół konia wysunął się naprzód, i pochylony na kulbace wietrzył nozdrzami i oczami przenikał ciemności leśne, zatrzymał się gwałtownie i zwróciwszy się do mnie, przyłożył po wojskowemu rękę do czapki, i szepnął:

- Panie poruczniku, tu gdzieś bywszy człowiek.
- Skąd wiesz o tem? — spytałem dość głośno.
- Za przeproszeniem pana porucznika, ale niech pan

porucznik z łaski swej mówi cicho, bo po boru głos idzie daleko.

— Dobrze, ale ten człowiek...

— Ten człowiek bywszy stąd niedaleko. Niech pan porucznik raczy spojrzeć na trawę.

Spojrzałem za jego wskazówką, ale nic nie ujrzałem. Trawa, jak trawa, rosła dokoła wśród dębów, brzoź i lip, ale śladu najmniejszego na niej dojrzeć nie mogłem. Powiedziałem to Bajbuzie, oczywiście szeptem, bo uznałem słuszność jego ostrzeżenia, ale on uśmiechnął się tylko, ukazując szereg białych, ostrych i mocnych zębów i rzekł:

— Niech pan porucznik raczy dobrze patrzeć. Tu przed chwilą biegł prędko jakiś człowiek w butach. O! niech pan porucznik patrzy. Trawa zdeptana podnosi się powoli. Człowiek ten uciekawszy, dlatego lekko przydeptywał trawę. Musi być niedaleko, pewnikiem spostrzegł nas i ucieka jeszcze, bo...

Urwał, podniósł głowę, jakby słuchał, wreszcie szepnął:

— Słyszysz pan porucznik?

Nic nie słyszałem, tylko podawnemu głuchy szum w boru, świergot ptasząt i kukanie kukułki. A w tem Mateusz, który jakoś niechętnie na Tatara patrzył i przez całą drogę z ukosa na niego poglądał i mrucał coś niechętnie, a nawet słyszałem raz jak powiedział: „to ci panie psia morda u tego poganina“, rzekł głośno:

— Ej co pan porucznik słucha tego poganina. Skądby się tu w tym boru znalazł człowiek i po coby miał uciekać? Czy to my Tatarzy, albo jakie jensze Miemcy?

— Cichaj stary! — syknął Bajbuza — czy nie słyszałeś trzasku złamanej gałęzi?

Mateusz obraził się poufałością Tatara, że do niego *per ty* mówił i że go nazwał starym. Wybuchnął więc:

— A cóż ty psi synu sobie myślisz, czym to ja z tobą

gęsi razem pasł, że mię nazywasz starym. Widzisz go pogana...

Bajbuza słysząc to robił rozpaczliwe miny, machał rękami i szeptał błagalnie:

— Cichaj! cichaj!

Nie wątpiłem, że bystry zmysł Tatar, odziedziczony po przodkach Nogajcach, widział i słyszał to, czego my, stępieni przez cywilizację nie widzieliśmy, więc kazałem Mateuszowi milczeć i szeptałem do Bajbuzy:

— Ruszaj przodem i patrz dobrze.

Wysunął się śmiało naprzód i nie ujechaliśmy kilkunastu nawet kroków, gdy nagle gdzieś nad nami, jakby w niebiosach, rozległ się młodzieńczy, prawie kobiecy głos:

— Panowie ułani! panowie ułani! zatrzymajcie się, zaraz zleżę!

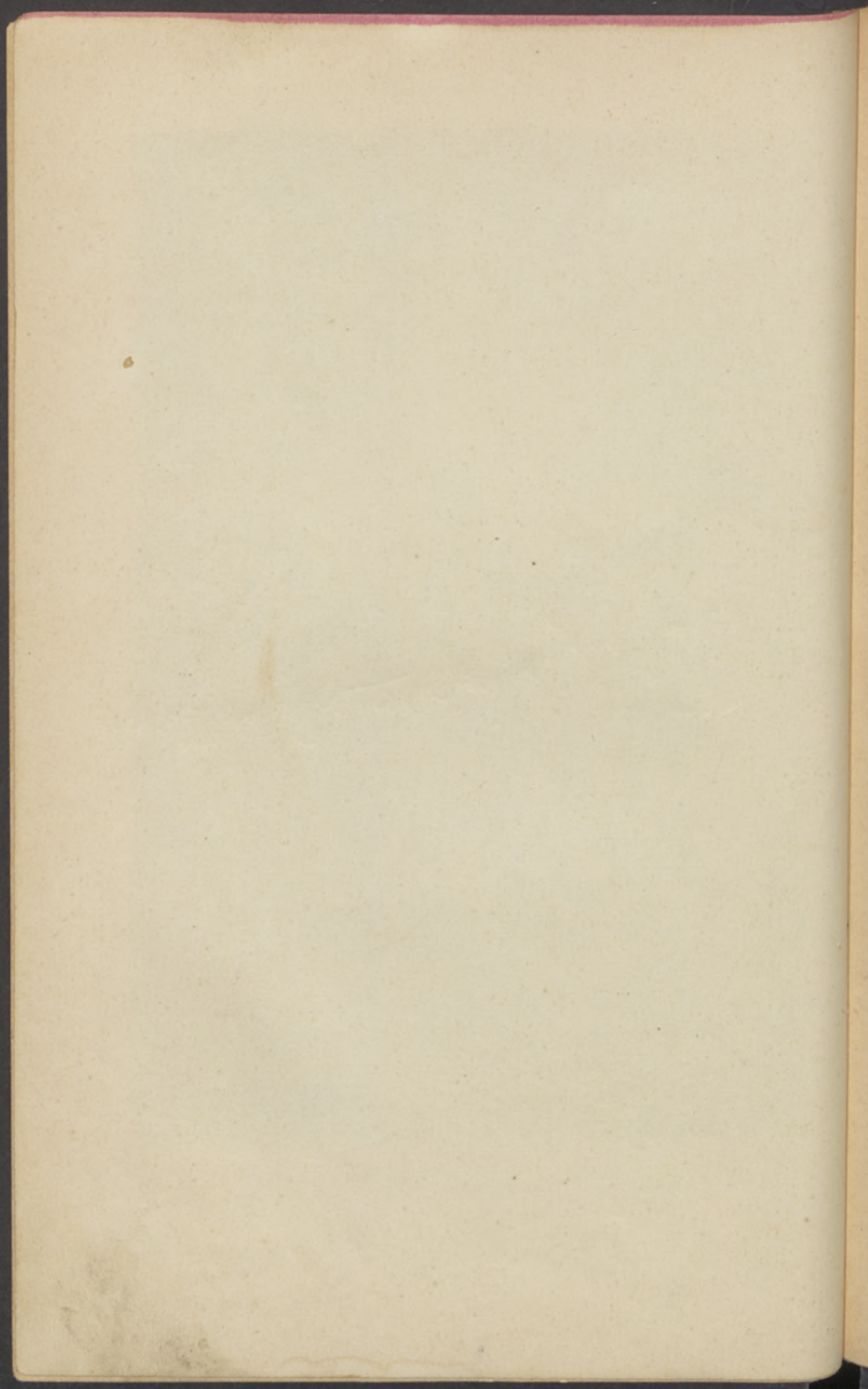
Zdumieni nadzwyczajnie zatrzymaliśmy konie, a ja rozglądałem się niespokojnie dokoła, nie mogąc na razie zorjentować się, skąd ów głos pochodzić może. Ale Bajbuza odgadł to w jednej chwili, śmiał się, szczerzył swe zęby i brudnym palcem wskazywał na olbrzymią jodłę i szeptał:

— O! człowiek! człowiek!

Jakoż rozległ się trzask łamanych gałęzi i niebawem ze zręcznością małpy, albo cyrkowego kłowna, zsunął się z jodły chłopiec, może szesnaście do siedmnastu lat liczący, bez czapki na wzburzonej, rozczochranej mocno, pełnej szyszek i igieł, czuprynie koloru ciemnokasztanowego, ubrany w spencerek niezdecydowanej barwy, spodnie mocno podszarżane, i widocznie w gwałtownem wdrapywaniu się na jodłę szkaradnie poszwankowane, boso, trzymając w jednym ręku buty zablocone i wykrzywione, a w drugim flintę, pojedynkę, o lufie wychlustranej niegodziwie i sznurkami powiązanej. Twarz chłopak miał okrągłą, rumianą, opaloną silnie, a dwoje oczów niebieskich i jasnych pa-



„Tatar na myszatym koniku jechał obok mnie...“



trzało wesoło i śmiało. Twarz ta była nieco zabrudzona i zakurzona, tak że Mateusz spoglądając na spadającego jakby z nieba chłopaka, przeżegnał się i zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali, a to co? cóż to za djable weneckie?

Chłopak zsunąwszy się na ziemię, zawołał wesoło:

— Otóż jestem!

A zwracając się do Mateusza, uklonił mu się gracko i rzekł:

— I ja Pana Boga chwale. Nie jestem zaś żadne djable weneckie, tylko Józef Jurczyk Tabęcki, herbu Dąbrowa, Józikiem pospolicie zwany, do usług pana ułana.

— Ki lichu! — mruzczał Mateusz, jeszcze też nie widział nic podobnego.

— Ba! proszę pana ułana, nasz ksiądz proboszcz powiada, że są na ziemi i niebie cuda, o których się filozofom nawet nie śniło, a cóż dopiero zwyczajnym, z przeproszeniem, ułanom.

Wszystko to chłopiec mówił tonem wesołym uśmiechając się i przerzucając flintę z ramienia na ramię.

— Coś ty za jeden i skąd się tu wzięłeś? — spytałem.

Chłopiec spojrział na moje epolety i przykładając rękę po wojskowemu do swej rozczochranej czupryny, zawołał:

— Miałem zaszczyt już przedstawić się panu porucznikowi, ale powtórzę jeszcze raz. Jestem Józef Jurczyk Tabęcki, herbu Dąbrowa, Józikiem pospolicie zwany, par tyzant z oddziału majora Wąrockiego.

Wiadomość ta ucieszyła mię mocno.

— Majora Wąrockiego? — zawołałem — a gdzie obozuje major Wąrocki?

— W bagnach Białego błota.

— Daleko stąd?

— Będzie ze dwie mile opętane, samym borem.

— Trafisz do niego?

— I jak jeszcze. Ten las znam jak własną kieszeń, zwykle bezczelnie pustą! — zaśmiał się chłopiec.

— To dobrze. Pójdiesz najprzód z nami a potem zaprowadzisz nas do obozu majora Wągrockiego.

— Do usług pana porucznika, ale czy wolno zapytać dokąd ja mam iść z panami?

— Tam dokąd ci każe.

— Ja to rozumiem, ale bo widzi pan porucznik, ja muszę wracać do obozu.

— Wrócisz ale z nami, jako nasz przewodnik.

— Do licha! ale tymczasem jak się nie stawię o południu, to major Wągrocki każe mię rozstrzelać.

— Nie bój się, ja cię obronię.

— Ha! kiedy tak, to dobrze.

IV

Byłem bardzo uradowany, że nakoniec znalazłem kogoś w tej puszczy, który mi mógł wskazać drogę do obozowiska majora Wągrowckiego. Józik Tabęcki, bo tak go już nazywać będę, wydawał mi się być chłopcem rozgarniętym, szczerym i wesołym. Na wszystko na świecie patrzył się pogodnie, a z oczu niebieskich i jasnych biła otwartość i odwaga. Ruszyliśmy zpowrotem do moich krakusów i przez drogę rozpocząłem dalszą indagację chłopca, bo to, czego dotąd się dowiedziałem, nie wiele mnie objaśniało.

— Skąd się tu wzięłeś, pytałem więc — i dlaczego siedziałeś na drzewie?

— To cała historia panie poruczniku.

— Opowiedz mi ją.

— Z wielką chęcią, tylko najprzód ośmieliłbym się poradzić panu porucznikowi, abyśmy przyśpieszyli kroku, skrzyśleli nieco w bok i mieli się na ostrożności.

— A to dla czego?

— Dlatego, że w lesie są czerwoni huzarzy nieprzyjacielscy i ja właśnie sądząc, że to oni jada, bom usłyszał tętent koni, a rozróżnić naszych w ciemności nie mogłem, schroniłem się na drzewo.

— Huzarzy czerwoni tutaj? — spytałem zdziwiony i zaniepokojony mocno.

— Tak, panie poruczniku, jest ich tu około stu koni razem z kozakami.

— Ale skądże się oni tu wzięli? wszak czerwoni huza-
rzy, o ile wiem, należą do gwardji, a gwardje mają obozo-
wać około Łomży.

— Podobno, że tak, ale wysyłają w te bory częste pod-
jazdy. Właśnie na taki podjazd natrafiliśmy, no! i prawdę
powiedziawszy, daliśmy *fugas chrustas*, jak mówi nasz
ksiądz proboszcz.

Śmiał się wesoło, z boku spoglądał na Bajbuzę i nagle
ni stąd ni zowąd pokazał mu język, co Tatara ogromnie
rozśmieszyło, tak że pokładał się na swej myszatej szkapie.
Ale mnie nie było do śmiechu. Zostawiłem moje plutony
spoczywające w miejscowości nieznaney, z poczuciem zu-
pełnego bezpieczeństwa, śpiące zapewne snem błogosławio-
nych, nuż by na nie napadł podjazd nieprzyjacielski. Na
myśl o tem ciarki mi przebiegły po plecach. Nakazałem
więc Józikowi surowo, aby przestał swych dziecinnych
żartów i pytałem dalej:

— Więc tu w boru nie sam byłeś?

— Oczywiście, że nie sam. Major Wągrocki w nocy
wysłał nas dziesięciu strzelców na zwiady, bo tak co noc
czyni, z najsurowszym rozkazem, byśmy o świcie żywi czy
umarli stawili się zpowrotem w obozie. Co prawda nie
bardzo rozumiem, w jaki sposób umarli moglibyśmy wró-
cić, ale major zawsze taki rozkaz daje.

— Cóż dalej? mów, a uwagi zostaw dla siebie.

— Słucham pana porucznika. Co dalej? ano cóż?
idziemy sobie, aż tu o świtanu kole karczmy Pociechy
w boru, co ją żyd, stary Szulim trzyma, patrzymy a tu hu-
zary, a białe ich konie torby mają na łbach zawieszone
i owies sobie gryzą, aż miło. Wleźliśmy na nich niepostrze-
żenie i byłibyśmy dobrej kaszy narobili, bo nasz komen-
dant, pan Grzywacz Szaniawski herbu Junosza, a mój po-
ciot, zaraz kazał strzelać do koni i kręcących się huzarów,
gdyby nie to, że nagle ni stąd ni zowąd z lasu wypadli ko-

zacy i hajże na nas. Nie było co robić, więc każdy myślał już o sobie i zmykał gdzie mógł. Jednakże ubili kilku naszych,, a między innymi sam, na własne oczy widziałem, jak okrutny brodaty kozuń przebił piką pana Kasztana Mniszewskiego herbu Grzymała. Jenó strzepnął rękami i...

— Ki lichó — mruknął Mateusz — sami panowie herbowi.

— A bo my tu sama szlachta mazurska — odciął się Józik — w oddziale majora Wągrowckiego są sami jeno panowie bracia. Jest tam kapitanem pan Karaś Peplowski herbu Gozdawa, drugim kapitanem pan Kokoszka Micholowski herbu Grzymała, pierwszym porucznikiem pan Suchopiątek Perkowski herbu Ślepowron, drugim porucznikiem pan Migdał Dominikowski herbu Prus, sierżantem...

— Dość tego! — przerwałem tę przydługą listę — opowiadaj o huzarach.

— Cóż kiedy ja więcej nic nie wiem. Za innymi i ja drapnąłem, choć mi przykro było uciekać i szczęśliwie jakoś zaszyłem się w gęstwinę. Siedzę tedy sobie cichutko jak zając pod miedzą i słucham, a wrzawa i strzelanina poczęła się odemnie oddalać, więc odetchnąłem i...

— Jakim sposobem to się stać mogło, żeśmy strzałów nie słyszeli? — zapytałem.

— Tego ja już nie wiem, panie poruczniku.

— To bardzo dziwne. Ej, chłopcze coś mi kręcisz, przecież w boru, o świcie po rosie głos idzie daleko. Zdaje mi się, że coś kręcisz...

Józik Jurczyk Tabęcki wyprostował się dumnie, swe duże, jasne, czyste oczy wlepił we mnie i zawołał:

— Ja kręcę? ja? Jurczyk Tabęcki? ja kręcę?

Tyle było gorzkiego wyrzutu w tych słowach, tyle szczerości i obrażonej dumy w spojrzeniu chłopca, że mi się przykro zrobiło, jednakże sprawa ta musiała być wyja-

śniona, bo o zdradę niestety! w tej wojnie nie było trudno. Rzekłem więc, zachowując ciągle ton surowy:

— To się okaże, czy prawdę mówisz. Gdzie jest karczma, pod którą napadliście na huzarów?

Stąd będzie dobra mila, w bok na prawo, przy gościńcu do Wyszkowa.

— A obóz majora Wągrockiego gdzie jest?

— Pod Białem błotem.

— W której stronie jest to Białe błoto? czy z tej strony karczmy, czy za nią?

— O! za nią.

— Dlaczegoż więc znaleźliśmy cię z tej strony?

— Ba! panie poruczniku, każdy ucieka tam gdzie może, gdzie mu się zdaje, że jest mniejsze niebezpieczeństwo. Ponieważ kozacy napadli nas od tyłu, od strony, z której przyszliśmy, więc ja dałem drapaką w stronę przeciwną.

— Tak, to prawda, ale dlaczego u licha strzałów nie słyszeliśmy?

— Tego nie wiem panie poruczniku. Co prawda, nie było ich wiele, ja sam nawet nie miałem czasu wypalić z mej flinty, gdy już nam kozacy siedzieli na karku i kłuli pikami.

W tejże chwili Bajbuza przyłożył rękę do czapki i rzekł:

— Śmiem zwrócić uwagę pana porucznika, że wiatr dąwszy w przeciwną stronę, więc strzałów słyszeć nie mogący.

Uwaga była słuszna i opowiadanie Józika Jurczyka Ta-
bęckiego herbu Dąbrowa, szlachcica mazurskiego, miało
cechę prawdy. Zadowolony co do tego, że nie mamy przed
sobą zdrajcy, co mi wielką sprawiło przyjemność, bo chło-
piec podobał mi się bardzo, nie byłem jednak spokojny,
bo pojawienie się huzarów gwardjackich w tych stronach

groziło moim plutonom poważnem niebezpieczeństwem. Pytałem więc dalej:

— Jak przypuszczasz, gdzie teraz są huzary?

— Prawdopodobnie panie poruczniku pognali za naszymi ku Białemu Błotom, co i dobrze, bo im tam major Wągrocki łaźnię sprawi, jeżeli dość wcześnie będzie ostrzeżony.

— W takim razie nam tutaj nic nie grozi?

— Kto wie, panie poruczniku! Zaręczyć nie można, czy oprócz owych huzarów, na których my natknęliśmy się pod karczmą Pocięchą, niema jeszcze innych oddziałów nieprzyjacielskich, kręcących się po boru. Przecież i my nie wiedzieliśmy, że kozacy są za nami. Oni tam strasznie są zawzięci na majora Wągrockiego i zaprzysięgli mu zgubę, bo im nieraz sadła zalał za skórę, więc na wszystkie strony wysyłają podjazdy żeby go wysledzić. Ale zjedzą licha, czy naszemu majorowi co zrobią! Ma on pod sobą samą szlachtę tutejszą, a ta zna puszcze doskonale i zawsze znajdzie taką dziurę, gdzie i pies nie trafi, a nie dopiero huzary!

— Więc przypuszczasz, że i my możemy natknąć się na jaki podjazd nieprzyjacielski?

— Obawiam się tego, panie poruczniku. Oni wszędzie się włóczą i węszą, jak ogary. Ja sam przecież usłyszawszy tętent koni pańskich ułanów, myślałem, że to kozacy i wdrapałem się na drzewo.

Bajbuza słuchał tego wszystkiego i jadąc nieco z boku, co chwila pochylał się na łeb swej szkapy myszatej, przypatrywał się trawie, to znów prostował się i rozdawszy nozdrza chwycił niemi powietrze, jakby chciał jakąś woń uchwycić.

— Cóż Bajbuza, nic nie widzisz?

— Nic, panie poruczniku, dotąd wszystko dobrze!

Jechaliśmy więc dalej w milczeniu, tylko od czasu do

czasu Józik narzekał, że w ucieczce zgubił piękną czapkę magierkę i teraz musi z gołą głową chodzić i Bóg wie jeden, czy mu się uda skąd nowe nakrycie na czuprynę wy dostać, bo w kieszeni niema ani grosza. Żalił się przytem, że jest głodny.

— Ale to nic, dodawał — żołnierz powinien być przygotowany do wszelkich niewygód, do głodu i pragnienia, prawda panie Bajbardzo?

Tak przekreślił nazwisko Bajbuzy. A Tatar uśmiechał się do niego, wyszczerzał białe zęby, oczkami mrugał, a choć Józik mu znowu język pokazał, nie obraził się tem wcale, tylko sięgnął do sakwy i wydobywszy z niej garść czarnych sucharów, dał je chłopcu.

— Hm, dalipan, jak powiada pan Śmietana Sikorski herbu Kopasina, a mój wujek, z ciebie panie Bajbardzo wcale dobry *homo*. Niech ci pan Jezus to wynagrodzi.

— A kiej on nie wierzy w pana Jezusa! — wtrącił Mateusz, który ciągle jakąś niechęć czuł do Tataru.

— Nie wierzy w pana Jezusa? — zapytał Józik — a w cóż on wierzy?

— A djabeł go wie, w jakiegoś tam pono tureckiego świętego.

— Czy to prawda panie Bajbardzo? a może pan wierzysz w Mahometa, co?

A Tatarzyn podniósł głowę do góry, lysnął czarnemi oczami, pokłonił się parokrotnie i tonem uroczystym rzekł:

— A hu! a hak! el akbar Ałlach!

Józik z pewnym wyrazem zdziwienia patrzył i wysłuchał tej uroczystej ogłoszonej modlitwy, i gdy Tatar przestał się kiwać, rzekł:

— Każdy chwali pana Boga jak potrafi, a pan Bajbardzo choć jest Turek...

— Ja bywszy Tatar litewski, z Waki, a nie Turek —
ozwał się Bajbuza — ja szlachcic, Hrybunowicz...

— Szlachcic? tym lepiej. A chociaż, panie Bajbardzo, Tatar, wszelako skoro chcesz walczyć za polską ojczyznę, toś człek dzielny i ja cię kocham, lubo przyznać muszę, żeś wcale nie piękny. Gdyby cię moja krewniaczka, a żona pana Skowronka Kędzierskiego herbu Sas, obaczyła, to by ją pewnikiem mdłości chwyciły. Ale że ja nie jestem tkliwą białogłową, jeno chłopakiem, więc mię twoja szpetna facjata nie wzrusza. Co się zaś tyczy szlachectwa, o którym tu obecny pan ułan (wskazał na Mateusza) jakoś niechętnie mówi, to muszę powiedzieć, że mię moje, ani też pana Bajbardzo szlachectwo nie obchodzi. Z tego nawet dobrej podeszwy na buty mieć nie można. Ja bo sobie tak uważam, że każdy, czy to będzie chłop czy też lyczek miejski, czy szlachcic herbowy, kto tylko idzie walczyć za ojczyznę, ten jest człowiekiem dzielnym i na szacunek zasługującym. Prawda panie Bajbardzo?

— Prawdę powiedziałwszy, ale moje nazwisko bywszy Murza Bajbuza Hrybunowicz, a nie Bajbardzo.

— Kpij pan z tego! jak się zwał, to się zwał, byle się dobrze miał. Ale twoje, panie Tatarzynie suchary strasznie są twarde, trzeba na nie chyba twoich muzułmańskich zębów. Ha! cóż robić, na bezrybiu i rak ryba, jak powiada pan Kordjasz Skalski, herbu Mieszaniec, a mój pociot.

Tak prawił Józik i usta mu się na chwilę nie zamykały, bo widocznie gaduła był wielki, a suchary, choć na ich twardość narzekał, łykał jak indyk gałki, aż w końcu musiałem nakazać mu milczenie, bo jego gadulstwo, acz wypowiedziane głosem stłumionym, przeszkadzało mi słuchać rozmaitych dźwięków, dobywających się z puszczy. Słońce już wzbilo się wysoko i gorąco było nieznośne wśród ogromnych drzew i drzemiącego w skwarze słonecznym powietrza. Wydostaliśmy się na ową drożynę, która nas

z obozu wywiodła i już teraz ciągle nią jechaliśmy. Na szczęście w boru oprócz zwykłych odgłosów natury, żaden podejrzany dźwięk nie zakłócił naszego spokoju. Wiatr szumiał melancholijnie po lesie, kukulka kukłała, gdzieś czasem rozległ się stuk dzięcioła, krzyk sójki, czasem zatrzeszczała gałąź na sośnie trącona nagłym skokiem wiewiórki i znowu zalegała puszcę senna, poważna cisza, przepelniona jednak jakimś nieuchwytnym rozgwarem, jakimiś szelestami tajemniczemi, szeptami niezdecydowanemi, owym głębokim oddechem przyrody, stanowiącym tło życia natury.

Dobrze już popołudniu dobiliśmy się do naszego obozu. Zastałem go na pół drzemiącym pod skwarem południowego słońca, konie pasące się na soczystej trawie na łące, ludzi po większej części śpiących pod cieniem drzew. Oficerowie także spali, Hrehory Huryło Chocimski chrapał tak głośno, że się rozlegało po lesie, nawet poczciwy Polikarp Budzilis Piesgajło, zapomniawszy o tem, że, jak sądził, na Litwę do jego Skuryszek się udajemy, spał snem sprawiedliwego pod sosną, a na jego spoconej twarzy muchy jak na lep siadały. Jeden tylko Wicus Turcki czuwał i z ogromną radością i ulgą widoczną mię powitał, bo był mocno zaniepokojony moją przydługą nieco nieobecnością i obawą odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła.

— Chwała Bogu, mówił żeś wrócił, bo myślałem już, że ci się jakie nieszczęście przytrafiło.

— Wróciłem, jak widzisz, zdrów i cały.

— To i dobrze, bo dalibóg nie wiedziałbym co robić i sądzę, że na wszelki wypadek powinienbyś mię objaśnić jak ja mam sobie w razie jakiego, czego Boże broń, nieszczęścia z tobą, postąpić.

Uwaga była słuszna, ale jakoś nie wydawało mi się, żeby mię jakie nieszczęście miało spotkać i na razie nie odrzekłem na słowa Wicusia, a jego dopytywania się

gdzie byłem i jakie wiadomości przywiozłem, zbyłem ni tem ni owem. Jeszcze poprzednio zapowiedziałem surowo Józikowi Tabęckiemu, jak również Mateuszowi i Bajbuzie, ażeby milczeli o tem gdzieśmy byli i jakie wiadomości przywieźliśmy, tak że nic z naszej wyprawy nie przeniknęło do uszów mojej komendy. Wicusz Turski zresztą, choć nieco rozpuścił w obozie moich krakusów i pozwolił na pewne nieporządki, dbał jednak o to, by widety były rozstawione i w regulaminowym porządku zmieniane. Kazałem więc Hrehorego Huryłę Chocimskiego obudzić, konie okulbaczyć, a Wicusowi poleciłem, żeby odpoczął sobie nieco, bo przez cały czas mej nieobecności czuwał. Sam też nocą nieprzespaną i wycieczką w puszcę, byłem mocno znużony i potrzebowałem koniecznie choćby chwilowego wywczasu. Położyłem się więc w cieniu ogromnego świerku i zasnąłem snem kamiennym, z tem postanowieniem, że nocą wyruszę dalej pod przewodnictwem Józika do obozu majora Wągrockiego. Kazałem się też Mateuszowi obudzić zaraz jak tylko słońce zajdzie.

Jakoż Mateusz rozkaz ten wypełnił i obudził mię, gdy po boru włóczyć się zaczęły posępne cienie, a mgła wilgotna unosiła się nad strumykiem i łąką, na której obozowaliśmy. Gdzieś tylko na szczytach wysokich sosen i świerków słońce kładło jeszcze purpurowe swe blaski, ale na dole coraz gęstsze zalegały ciemności. Wiatr pod wieczór się zerwał i szumiął po lesie, ptactwo cichło, tylko gromady wron leciały górą z dziennych żerowisk z krzykiem i niemiłym krakaniem. Żaby w bagniskach rechotały i od czasu do czasu puszczyk hukał ponuro.

Kazałem zawołać do siebie Józika Jurczyka Tabęckiego. Przybiegł jak zwykle wesoły, swobodny, już w krakusce na głowie, o którą się wystarał zaprzyjaźniwszy się szybko z żołnierzami, i mówił:

— Jestem, do usług pana komendanta.

- Czy umiesz jeździć konno?
- Jeszcze też! na wsi się urodziłem i wychowałem.
- Każę ci dać konia...
- O! ja panie komendancie już wystarałem się o konia, bo chcę służyć w krakusach.
- Masz mię słuchać co ja mówię i nie przerywać mi.
- Słucham pana komendanta.
- Zaprowadzisz mój oddział do obozu majora Wągrockiego.
- Jakto, teraz, po nocy?
- Tak. Czy nie trafisz?
- No, nie... ale noc będzie ciemna, bo księżyc nie świeci, a w boru łatwo pobłądzić.
- Więc mógłbyś pobłądzić?
- Oczywiście, panie komendancie.
- To źle. Jednakże pomaszerować musimy.
- Ha! jak trzeba, to trzeba. Bylem jeno dostał się do karczmy Pociuchy, to już dalej z zawiązanymi oczami trafię.
- Czy daleko do tej karczmy?
- Nie wiem, tej tu okolicy nie znam, ale kalkulując sobie wedle tej drogi jaką przed południem zrobiliśmy, będzie ze dwie dobre mile.
- Czy ta karczma jest we wsi?
- Gdzie tam! w czystym boru, od najbliższej wsi Trzcianki, oddalona jest o jakie trzy dobre mile.
- A żyd arendarz w niej, co to za człowiek?
- Szulim Kanarek, najpocziwszy żyd pod słońcem. On to dostawia majorowi Wągrockiemu proch, kule, broń, żywność, buty, słowem wszystko co potrzeba. Ale... panie komendancie, czy wolno mi zadać jedno pytanie?
- Mów!
- Czy pan komendant myśli pomaszerować do obozu majora Wągrockiego przez drogę koło karczmy Pociuchy?

— Wcale nie. Mnie o tę karczmę nie idzie. Jeżeli jest inna droga do obozu majora Wągrockiego to tym lepiej. Nie bardzo dowierzam temu twojemu Szulimowi, a przytem wolałbym aby nikt o mej obecności w tej puszczy nie wiedział. Czy jest więc jaka inna droga?

Musi być, ale ja jej nie znam.

— Ha, skoro tak, to prowadź nas na karczmę Pociechę, prowadź zresztą jak chcesz, byleś zaprowadził.

— Ja to rozumiem i na nieszczęście znam tylko drogę kole tej karczmy, a tam zawsze mają swój punkt zborny podjazdy nieprzyjacielskie, bobrujące po puszczy.

Słowa te zaniepokoiły mię mocno, bo według instrukcji winienem unikać niepotrzebnych starć, przytem mogłem natrafić na silniejszego nieprzyjaciela (wszak Józik opowiadał o setce huzarów i o kozakach) i być pobitym. Ale z drugiej strony wobec nieznanomości okolicy musiałem wybrać tę drogę, nie inną, byle jak najprędzej dostać się do obozu majora Wągrockiego. Ważnym także względem, który mię ostatecznie zdecydował, była ta okoliczność, że według opowiadania Józika, karczmarz Szulim Kanarek, musiał posiadać pewne zapasy żywności, skoro zasilał niemi oddział majora Wągrockiego, co dla mnie było w tej chwili rzeczą pierwszorzędneho znaczenia. Konie nie miały już obroku, a krakusi stękali, że są głodni i pasy na brzuchach ściskali, a ja im nic dać nie mogłem. Trzeba było więc koniecznie wystarać się o żywność, bo inaczej cała moja wyprawa skończyć by się mogła na niczem.

Kazałem więc Józikowi, ażeby prowadził nas wprost do owej karczmy Pociechy. Leżała ona, jakem domyślił się z opowiadań chłopca, na gościńcu, prowadzącym z Wyszkowa do Ostrowa, a więc na linji, którą według informacji sztabu głównego, miały zajmować gwardje rosyjskie. Maszerując ku niej, wpadałem, że tak powiem, w sam środek kwater nieprzyjacielskich, narażałem się na wielkie

niebezpieczeństwo, ale właśnie taki ruch był mi nakazany i do przeznaczonego mi celu jedynie mógł mię doprowadzić. Nie można więc było wahać się w wyborze.

Plutony siadły na koń i ruszyliśmy naprzód, tą samą drożyną, którą rano samotrzeć postępowaliśmy. Konie nakarmione dostatecznie, wypoczęte, wesoło prychały, tylko ludzie, a zwłaszcza podporucznik Laskowski, człowiek wysoki i tęgi, stękał głośno i wymyślał, że z głodu przyjdzie nam w tej puszczy zamrzeć. Ale nie zważałem na to. Józikowi i Bajbuzie, który jak kot w nocy doskonale widział, miał węch wyborny i zresztą drożyną tą już raz jechał, kazałem stanąć koło siebie i przeżegnawszy się, puściłem się w Imię Boże naprzód w bór ciemny i szumiący smutnie.

(V.) 13 II 1831

Marsz ten nocny był jednym z najuciążliwszych, zwłaszcza dla mnie, bo oprócz udręczenia fizycznego, doznawałem także udręczeń moralnych, bo niewiedząc dokładnie gdzie się znajduję i dokąd idę, mogłem narazić moje dzielne dwa plutony na klęskę i nie spełnić poleconego mi przez Wodza Naczelnego zadania. Drożyna, którą postępowaliśmy była tak wązka miejscami, że tylko gęsiego marszerować mogliśmy, co oczywiście opóźniało znacznie pochód, a w razie niespodziewanego napadu nieprzyjaciela narażało nas na zupełne rozbitcie. Prawdopodobnie wszyscy to odczuwali, bo w szeregach panowało posępne milczenie i wśród tego czarnego boru, szumiącego tylko melancholijnie, przesuwaliliśmy się jak widma, jak duchy leśne. Na szczęście żywej duszy nawet nie spotkaliśmy i przed samym świtem dobiliśmy się do szerokiego gościńca, do dróg rozstajnych, z których jedna, jak objaśnił Józik Tabęcki, prowadziła do Ostrowa, a druga do wsi Przetycza. Ten pomyślny rezultat zawdzięczaliśmy nie tyle Józikowi, który chwilami w ciemnym lesie nie mógł się zorjentować, ile dziwnej przenikliwości Bajbuzy. Gdy chłopiec zatrzymywał się i wprost oznajmiał, że nie wie w którą stronę iść, Bajbuza zwykle wysuwał się naprzód, pokręcił się tu i ówdzie po boru, raz i drugi nachylił się do ucha swej garbonosej myszatej szkapy, coś jej szepnął i zaraz potem wołał:

— Tędy iść trzeba.

I zawsze dobry i należyty wybierał kierunek. Dzięki też jemu, dotarliśmy nakoniec do owych dróg rozstajnych, a Józik rzekł wesoło:

— O! już teraz trafię wszędzie. Tę część lasu znam doskonale. Stąd o pół mili jest wieś Trzcianka, a do Przetyczy tą oto drogą, będzie ze dwie mile.

— A gdzież jest karczma Pociecha?

— Została za nami, panie poruczniku.

— Jako? ominęliśmy ją?

— Tak.

— A Białe błoto?

— Za Trzcianką i Nową wsią, na lewo od gościńca. Ale gościńcem nie radziłbym iść, bo moglibyśmy natknąć się na huzarów, którzyby zadali nam pewnikiem fernepiksu, jak powiada mój stryjec, pan Jacek Tabęcki, Mrozikiem zwany. Już ja pana porucznika doprowadzę do obozu majora Wąrockiego bokami, borem, i zupełnie bezpiecznie.

Byłoby zapewne najlepiej pomaszerować wprost do tego obozu, ale wątpiłem bardzo czy majora Wąrockiego zastaniemy w rzeczy samej w Białym błocie. Uwagę tę, słuszną zresztą, zrobił mi Hrehory Huryło Chocimski.

— Jeżeli, mówił, podjazdy nieprzyjacielskie ciągle się kręcą w tych stronach i jeżeli wczoraj dali łupnia rekoniesansowi Wąrockiego, to chyba byłby on człowiekiem pozbawionym rozumu, żeby miał siedzieć w jednym miejscu. Gotów jestem przysiąc, że po wczorajszej aferze wyniósł się i siedzi tam jak mysz pod miotłą. Trzeba zatem nie szukać go w tem jakimś Białym błocie, ale dowiedzieć się koniecznie, dokąd się wymknął, jeżeli oczywiście zależy ci, kniaziu, na tem, żeby do niego się dostać.

— Naturalnie, że mi zależy i bardzo nawet zależy.

— Panie poruczniku! — wtrącił się Józik — jeżeli o to idzie, żeby się przekonać czy major Wąrocki jest jeszcze

w Białem błocie, to ja skoczę tam albo sam, albo co lepiej będzie z panem Bajbardzo i spenetrujemy wszystko należycie.

— A daleko stąd będzie do Białego błota?

— No! borem, okrążając Trzciankę, nakładając drogi, będzie dobre trzy mile.

— To znaczy, w najlepszym razie jakieś pięć do sześciu godzin tam i zpowrotem.

Rozmowa powyższa toczyła się u rozstajnych dróg, pod kamienną figurą jakiegoś świętego, wśród głucho szumiącego lasu, przed samym wschodem słońca, bo niebo już za drzewami bieląło, a zimno było przenikliwe. Plutony stały w milczeniu ponurem bo smutna natura świtu, przygnębiająco na nas wszystkich działała, i oficerowie widząc jakąś naradę, powoli poczuli się zjeżdżać. Przybył więc i boćwinkarz Budzilis Piesgajło, i Laskowski i Wicusz Tur-ski, który wysłuchawszy naszych słów, rzekł:

— Ludzie są ogromnie zmęczeni i głodni i konie też popaść trzeba koniecznie, nim dalej ruszymy.

A Laskowski ponurym basem dodał:

— A przytem stać tu niepodobna na gościńcu, bo jeżeli podjazdy nieprzyjacielskie tu się włóczą, to lada chwila możemy ich mieć na karku, a ja tak omdlałem z głodu, że niewiem czy szablę podźwignę.

Uwagi te były słuszne i sam je sobie robiłem. W rzeczy samej przebywać tu długo nie można bez wyraźnego niebezpieczeństwa i trzeba było zaraz coś stanowczego zdecydować. Pozostawały tylko dwa wyjścia, albo ruszyć do wsi Trzcianki, albo zawrócić do karczmy Pocięchy, gdzie z jednej strony zasięgnąć by się dało języka, z drugiej nakarmić ludzi i konie. Do wsi nie miałem ochoty jechać, bo mógł się znaleźć jaki zdrajca i dać znać nieprzyjacielowi o naszej obecności w tych stronach, a nawet gdyby prostej zdrady nie było, to zawsze mógł się ktoś wygadać

i tajemnica by się wydała, a mój pochód dotąd zupełnie ukryty rozgłosić by się koniecznie musiał. Łatwiej już utrzymać tę tajemnicę w samotnej karczynie, gdzie ludzi było mniej, i sam jej arendarz, żyd Szulim, według zapewnień Józika Tabęckiego, był człowiekiem uczciwym, a nadewszystko miał stosunki z majorem Wagrockim, a zatem wiedzieć musiał o miejscu jego pobytu. Po krótkim, ale ciężkim dla mnie namyśle, postanowiłem zawrócić do karczmy Pociechy i kazałem Józikowi aby nas tam prowadził, oczywiście nie gościńcem, ale borem.

— Boję się, — szepnął Józik — czy nie natkniemy się tam na nieprzyjaciela.

— Prowadź też nas tak, żebyśmy niepostrzeżenie zbliżyć się mogli, a jeżeli w istocie nieprzyjaciel tam znajduje się, to wpadniemy na niego.

Zaśmiały się chłopcu oczy i zawołał:

— Ha, kiedy tak, to jazda! Prawie pragnę byśmy pod Pocięchą zastali tych rakarzy, żebym mógł się zemścić za to, że mię wczoraj zmusili do ucieczki. Prawda, panie Bajbardzo?

Pan Bajbardzo skrzywił się szpetnie, co miało uśmiech oznaczać, pokazał szereg białych i ostrych zębów i coś mruknął pod nosem, a zaraz potem wydobył z pod siebie z kulbaki jakiś pęk mocnych linek i rzemieni, które zawiesił na łąku siodła.

Zagłębiliśmy się znowu w las. Przedemną na kilkanaście kroków jechał Józik Tabęcki z Bajbuzą, za nimi pięciu krakusów z podoficerem, mając karabinki gotowe do strzału, po prawym i lewym boku równoległe z kolumną, rozrzucić kazałem flankierów pod komendą kozaka Chocimskiego i Mazura Laskowskiego, straż tylną, złożoną z dziesięciu żołnierzy, prowadził boćwinkarz Budzilis Piesgajło, a wiedziałem, że w razie nagłego napadu od tyłu, stawi on waleczny, a nadewszystko uparty i zacięty opór.

W takim szyku wojennym posuwaliśmy się naprzód głuchym borem, w ponurem milczeniu, bo żołnierzom najsurowiej przykazano zachować się cicho, nie rozmawiać i fajek nie palić, konie zaś trzymać krótko, żeby nie prychały i nie rżały.

Do karczmy Pociechy, według zapewnień Józika miała być dobra mila, to też dzień zrobił się na dobre i w puszczy trochę się rozjaśniło, choć jeszcze mrok w niej panował i białe mgły się włóczyły, gdy nagle szpica, złożona z Józika i Bajbuzy, zatrzymała się jak wryta na miejscu i Józik zaczął rękami dawać jakieś rozpaczliwie znaki, których nie rozumiałem. Oczywiście domyśliłem się odrazu, że jesteśmy już pod karczmą i że nieprzyjaciel się w niej znajduje. Zatrzymałem milczącym podniesieniem ręki kolumnę, i przez chwilę widziałem jak Bajbuza zeskoczył z konia i dzierżąc w garści ów pęk linek i rzemieni, który miał u łęku kulbaki, a duży kindżał wzięwszy w zęby, rzucił się na ziemię i pełzając jak wąż, zagłębił się w gęste krzaki. Jak można najciszej podjechałem do Józika stojącego nieruchomie i trzymającego w rękę swą wychlustaną pojedynkę, sznurkami powiazaną, i zapytałem szeptem:

— Co się stało?

Chłopakowi twarz pałała ogniem, oczy świeciły się jak dwa gorejące luczywa, i odrzekł także szeptem:

— Huzary są przy karczmie, a to wideta (tu wskazał palcem). Widzi ją pan porucznik?

W rzeczy samej w odległości może pięćdziesięciu od nas kroków, na środku bocznej drożyny, wiodącej do boru, stał na białym jak śnieg koniu, stąd doskonale rysujący się na mrocznym tle lasu, huzar, otulony w szary płaszcz i zapewne drzemiący, bo się kiwał jakoś niezgrabnie. Jeszcze mu się nie zdołał dobrze przypatrzeć, gdy nagle huzar podniósł głowę i począł niespokojnie się oglądać, gdy w tejże chwili niby wąż, zakreśliło się coś koło niego,

owinęło go i biedak jak długi, trzepiąc rozpaczliwie rękami, runął na ziemię. Koń stanął dęba i byłby prawdopodobnie uciekł, gdyby u jego cugli przy samym pysku, ze zręcznością małpy, nie uwiesił się nie kto inny, tylko Tatarzyn Bajbuza Hrybunowicz. Józik klasnął w ręce:

— Ma go! a to zuch mój Bajbardzo!

Patrzyłem na to wszystko zdziwiony niezmiernie i nie mogąc sobie na razie zdać sprawy z tego osobliwszego zaiste zdarzenia. Jeszcze nie oprzytomniał zupełnie, gdy już z gęstwiny wyłonił się Tatar, prowadząc jedną ręką na stryczku na pół zduszonego i oszołomionego zupełnie huzara, a drugą ślicznego białego konia. Bajbuza szczyrzył zębami, krzywił się zabawnie i wskazując na huzara, syknął:

— Wziąwszy go do niewoli.

A Józik śmiejąc się jak szalony zeskoczył z konia i nuż ścisnąć i całować Tatara:

— A, mój Bajbardzo, szeptał — a toś mi się spisał, niechże cię uściskam. Dzielny z ciebie chłop, chcesz brzydki i w rakarski sposób łapiesz ludzi, ale niech co chcą mówią, zawsze chłop dzielny. No, wiesz co Bajbardzo? jeżeli ten twój turecki święty, Mahomet, odrazu cię nie pośle za to do raju, to jakem Józef Jurczyk Tabęcki, herbu Dąbrowa, szlachcic mazurski, kpem go nazwę.

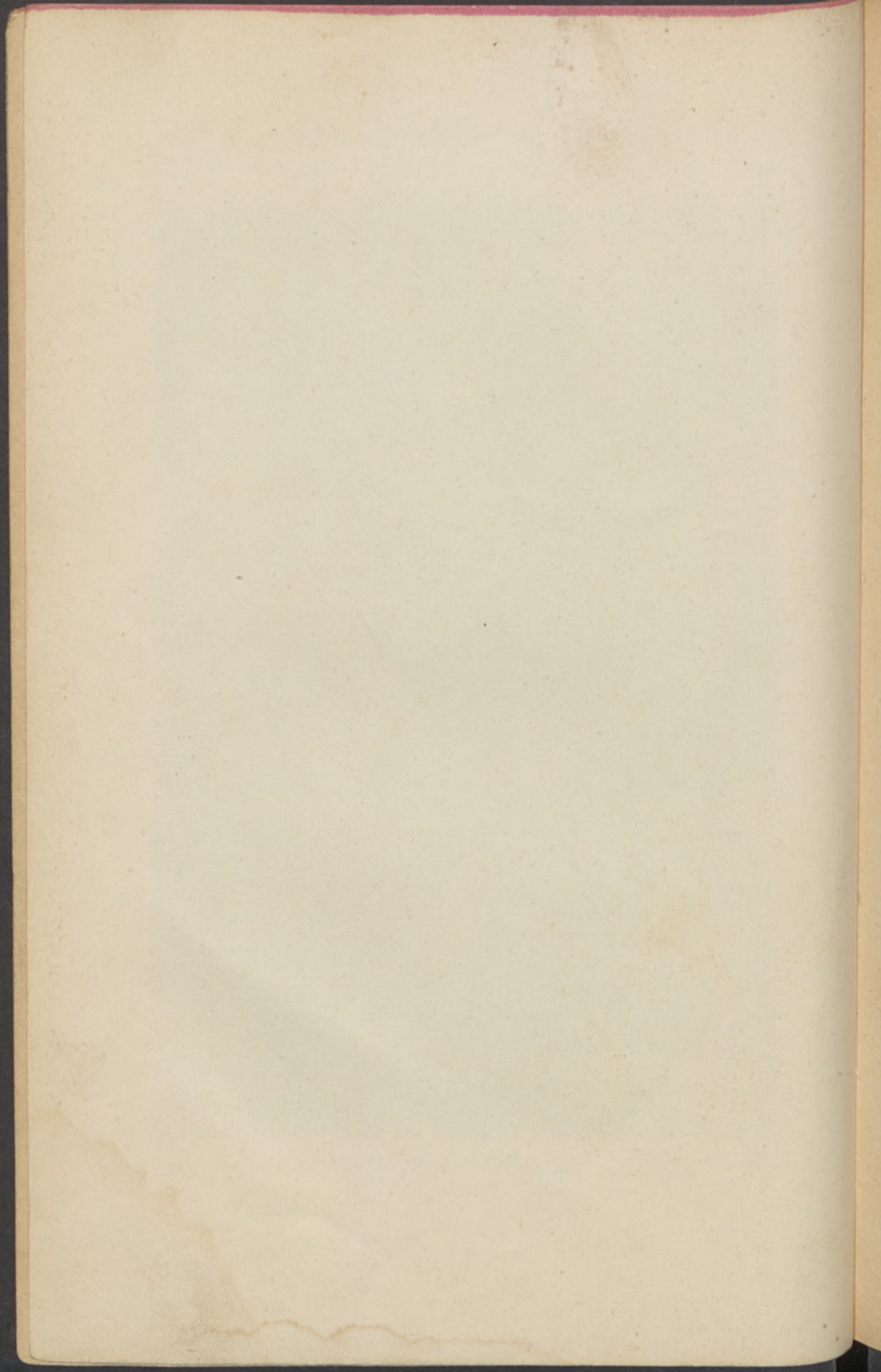
A Tatar pokazywał białe zęby, klepał zdobytego konia po szyi i gadał:

— Gładki łoszak! gładki łoszak!

Ja tymczasem co żywo posłałem po porucznika Huryłę Chocimskiego, który jeden z pomiędzy nas znał język rosyjski, żeby wy badał wziętego do niewoli huzara. Co prawda nie wiele od niego dowiedzieliśmy się. Żołnierz to był prostak i nierozwinięty umysłowo. Mówił, że jest ich w karczmie cały szwadron, a więc około stu pięćdziesięciu koni, że wczoraj bili się z „buntowszczykami“, że kozacy za nimi popędzili i pilnują ich tam gdzieś w boru, że szwa-



„A Tatar klepał zdobytego konia po szyi i gadał...”



dronem dowodzi podpułkownik Kapustin, że pułk ich stoi z brygadą piechoty we wsi Tyski i miasteczku Andrzejowie, ale o reszcie gwardji nie umiał nic więcej powiedzieć. Bądź co bądź i te wiadomości były bardzo ważne, a z nich przedewszystkiem ta, że mamy przed sobą sto pięćdziesiąt koni i setkę kozaków gdzieś w pobliżu. Mimo to postanowiłem na huzarów uderzyć, licząc na to, że nagły napad na ludzi rozespanych i niespodziewających się niczego, da nam zwycięstwo, jakkolwiek liczebnie byliśmy znacznie słabsi.

Zaraz więc wydałem odpowiednie rozporządzenia. Trzy czwarte krakusów ma zbliżyć się w największej cichości jak można najbliżej do obozowiska nieprzyjacielskiego, dać ognia z karabinków, a potem lancami uderzyć śmiało. Jedna czwarta t. j. pół plutonu pod wodzą Laskowskiego ma stanowić rezerwę i jeżeli można okrążyć karczmę i zaatakowanych od czoła huzarów, wziąć w duszący uścisk od tyłu.

Rozkazy te zostały szybko i dzielnie wykonane. Wszyscy oficerowie stanęliśmy na czele plutonów, a więc ja, Wicusz Turski, Huryło Chocimski i boćwinkarz Buzdzilis Piesgajło i wzięwszy konie krótko, szerokim półkolem ruszyliśmy pod karczmę. Stała ona tuż przy gościńcu na obszernej polanie, na której rozłożyła się jazda nieprzyjacielska. Konie miała rozkulbaczone, przywiązane do kółków wbitych w ziemię, a obok koni przy dogasających ogniskach, leżeli na ziemi pootulani w płaszcze żołnierze. Widocznie czuli się zupełnie bezpiecznymi, bo nawet sznurwaczy drzemały, i nad obozowiskiem tem leżała senna cisza. Z boku tylko stało może z piętnaście koni okulbaczonych, przy których kilku żołnierzy czuwało. Oficerowie zapewne spali w samej karczmie, dużym, murowanym budynku, którego białe ściany wyraźnie odbijały się od ciemnego tła lasu, bo żadnego z nich nie było wśród żoł-

nierzy widać. Tuż zaraz za mną posuwał się Tatar Bajbuza, pochylony na karku swego garbonosego konia, z oczyma dziko błyszczącemi, z kindżalem w zębach, z pękiem stryczków w ręku, gotów chwycić na arkan ludzi i konie. Obok niego jechał Józik Tabęcki ze swą pojedynką sznurkami obwiązaną, gotową do strzału, rozpromieniony, z jastrzębiem wejrzeniem starej krwi rycerskiej, która wobec bliskiego boju zagrała w tym chłopcu.

Pomimo zachowywania możliwej ostrożności, jednakże posuwanie się kilkudziesięciu koni, nie mogło się odbyć tak cicho, by nie zwróciło uwagi czuwających żołnierzy nieprzyjacielskich. Poczęli oni nadśłuchiwać niespokojnie, a gdyśmy nakoniec wyjechali na polanę i ukazali się ich oczom, zaczęli krzyczeć nawołując swych towarzyszy do koni i broni, a jeden z nich nawet wystrzelił z pistoletu. Na to hasło i ja też zakomenderowałem:

— Ognia! a dobrze mierzyć.

Rozległ się huk kilkudziesięciu strzałów, dym z prochu na chwilę zasłonił nam widok huzarów, słychać tylko było straszliwą wrzawę, krzyki, nawoływania, rozkazy, rżenie koni, jęki rannych. Nie tracąc czasu rozkazywałem:

— Skróć cugle, do ataku broń! marsz! marsz!

I z grzmiącym okrzykiem: „niech żyje Polska“, wyrzuconym z kilkudziesięciu piersi, runęliśmy jak lawina na przerażonego tym nagłym napadem nieprzyjaciela. Jak i co się działo, nie wiem dokładnie, bo w zamęcie ogólnym trudno się było zorientować, to tylko pamiętam, że wpadłszy w sam środek biegających jak szaleni, żołnierzy nieprzyjacielskich, wśród rwących się ich koni, pierwszego, który mi się nawinął palnąłem na odlew szabłą, tak, że runął na ziemię z głośnym jękiem. Na chwilę ujrzałem Józika Tabęckiego jak kolbą swej pojedynki rozstrzaskał głowę drugiemu; widziałem też Bajbuzę jak z głuchym świstem rozwinał swój arkan i schwytał za szyję jakiegoś biedaka

i włókł go za sobą po ziemi; mignął mi się Huryło Chocimski jak ze strasznym rozmachem swej szabli, rąbał na prawo i lewo. Sam biegłem ku drzwiom karczmy, z której wypadł z gołą szabłą w garści, jakiś otyły oficer i przyłożywszy mu koniec pałasza do szyi, krzyknąłem:

— Poddaj się, bo zginiesz!

W tejże chwili, gdzieś z boku rozległ się huk wystrzału i kula zerwała mi czapkę z głowy i nim mogłem się opamiętać, nagle zjawił się boćwinkarz Budzilis Piesgajło, pochylony na swym wielkim koniu, ze swą długą, wyciągniętą naprzód szyją i jednym cięciem szabli powalił na ziemię owego otyłego oficera. I potem dziwna, przerażająca cisza zaległa to straszne bojowisko; strzałów i krzyków nie było słyhać, tylko świst szabel podnoszonych, przeryniających gwałtownie powietrze i spadających z głuchym łoskotem na ciała ludzkie, tupot kopyt końskich, rzenie ich dzikie i dyszące oddechy ludzkie. Huzarzy prawie żadnego nie stawiali oporu, bo prawdę powiedziawszy opór, był niemożliwy; napadnięci z nienacka, w czasie snu, nie mieli czasu ani opamiętać się, ani koni pokulbaczyć, ani za broń chwycić. Wielu poddawało się, wielu poczęło pieszo uciekać, ale tam chwycił ich już Laskowski. Nie minęło i dwudziestu minut, gdy zostaliśmy panami pobojowiska i zwycięzcami zupełni. Na polanie i dziedzińcu karczmy leżało trzydziestu huzarów straszliwie porąbanych i pokłutych, drugie tyle rannych głósnymi jękami napelniało powietrze. Laskowski przyprowadził około sześćdziesięciu jeńców, między nimi trzech oficerów, reszta zdołała zbiec pieszo. Koni, pysznych białych, doborowych rumaków wzięliśmy około osmdziesięciu, reszta rozbiegła się po lesie, i moi krakusi z Bajbuzą na czele gorliwie zajęli się ich chwytniem. Sami nie straciliśmy ani jednego żołnierza, pięciu tylko było lekko rannych, jeden koń pod krakusem zabity, a kilka ranionych. Józik Tabęcki musiał

rzucić swą pojedynkę, bo kolbę roztrzaskał o jakąś twardą głowę huzara, ale zato uzbroił się w wyborny, dalekonośny karabinek huzarski i szablę zdobytą na wrogu. Cały był jeszcze rozogniony walką i dumny z triumfu.

Przedewszystkiem poleciłem Wicusiewi Turskiemu, ażeby zajął się doprowadzeniem do porządku krakusów, w których walka spowodowała wielki nieład, ażeby kazał poprzętać zabitych, rannych opatrzyć jak można, broń pozbierać, pikiety gęste rozstawić, jednym słowem żeby wszystko wróciło do należytego szyku. Sam zaś w towarzystwie Laskowskiego, narzekającego na głód, i Budzillisa, weszliśmy do środka karczmy, gdzie znaleźliśmy jeszcze kilku rannych i paru zdrowych huzarów, kryjących się w alkierzu. Oczywiście poddali się bez żadnego oporu.

Żyd arendarz Szulim Kanarek z dużą, siwą brodą okropnie był przerażony, a jego żona, Ryfka imieniem, siedziała za szynkwasem na ziemi, przytulona do kąta i zawodziła głośno:

— Aj waj mir!

Ledwie zdołaliśmy ich uspokoić, a ja zaraz zacząłem się wypytywać arendarza czy ma zapasy żywności i obrok dla koni, mówiąc, że mu za wszystko zapłacę.

— Po co wielmożny pan oficjer ma płacić? — odezwał się Żyd — czy to ja nie Polak? są tu krupy, są barany, jest kapusta i ziemniaki, ale to wszystko nie moje. To huzary ze sobą przywieźli. Niech wielmożny pan oficjer bierze, bo przecie na wojnie wszystko się zabiera.

— To dobrze, a obrok dla koni jest?

— Dlaczego nie ma być? Czy to konie huzarskie powietrzem żyją? i one potrzebują jeść. Niech wielmożny pan oficjer do stajni pójdzie, tam jest tyle owsa i siana, że cały pułk może się nakarmić.

Wydałem zaraz odpowiednie rozporządzenia. Znalazły się i kotły po huzarach, rozpalono ogniska, rznąto barany

i gotowano dla ludzi obfity obiad. Koniom dano obroku i w obozie naszym, niedawno smutnym i głodnym, zapanaowała radość i dobry humor. Dla nas też oficerów, Ryfka, która nakoniec uspokoiła się i przyszła do siebie, wydobyła z szafy ogromnego szczupaka w galarecie, a arendarz skończył do piwnicy i przyniósł parę butelek miodu i wina. Jedliśmy tedy i pili, i niebawem Laskowski stracił swój humor melancholijny i rozpoczęły się opowiadania o niedawnej walce, co kto widział i czego dokonał.

Ja zaś przedewszystkiem począłem wypytywać arendarza o majora Wąrockiego.

— Major Wąrocki już nie stoi w Białem błocie — odrzekł Żyd — jego tam te kozaki wysłedziły, ale major jest mądry, on bardzo jest mądry. Aj, co to za głowa? jaki to wojak, to wielmożny panie oficjerze drugi Machabeusz, o którym u nas w bublji piszą.

— To wszystko dobrze, ale gdzie on teraz się znajduje?

— Gdzie się znajduje major Wąrocki? nu, ja tego nie wiem, skąd ja mam wiedzieć? Mnie się zdaje, co on musiał się schować na Wilczy dół.

— A gdzie to jest Wilczy dół?

— To niedaleko, w boru, będzie stąd ze dwie mile. To jest takie błoto, co nie każdy tam może siedzieć i nie każdy chodzić. Czy wielmożny pan oficjer tam chce iść?

— Może i pójdę.

— Nu, to ja powiem wielmożnemu panu oficjerowi, co jeżeli majora Wąrockiego niema w Wilczym dole, to może on poszedł na Siwe bagno.

— Siwe bagno? gdzie to jest?

— Gdzie jest Siwe bagno? nu, ono jest pod wsią Rząśnikami, będzie stąd ze trzy mile. Nu, ale tam bez przewodnika nie radzę iść. Tam z całym pułkiem można się utopić. To straszne bagno.

— Którędy tam idzie droga?

— Jaka droga? albo to na Siwe bagno może być droga? Stąd można iść na Ochydno, potem na Trzędzie, albo też borem kole Wilczego dołu.

Przerwałem tę rozmowę, bo chciałem sam na sam rozmówić się z Szulimem, a przytem Ryfka wniosła właśnie, cztery upieczone kaczki, których smakowity zapach mile polechtał nasze powonienie.

VI

Od oficerów nieprzyjacielskich, wziętych do niewoli, niewiele się dowiedziałem szczegółów o stanowisku gwardji, gdyż umieli zachować dyskretne milczenie, czego im oczywiście za złe brać nie mogłem, albowiem sam bym tak postąpił, gdybym się znalazł w ich położeniu. Mówili mi, o czem zresztą doskonale bez nich wiedziałem, że gwardjami dowodzi W. ks. Michał Pawłowicz, że główna kwatera znajduje się w Zambrowie, że w Wąsewie stoi pierwsza dywizja piechoty gwardjackiej, wraz z brygadą innej dywizji, że prócz tego kwaterują tam ułani i kozacy, ale ich liczby czy nie mogli, czy też nie chcieli mi powiedzieć; że we wsi Tyski, jak mię już objaśnił huzar wzięty przez Bajbuzę na widecie, stoi druga brygada i huzary; że brygada strzelców finlandzkich rozłożoną jest w Andrzejowie i Przetyczy. Wogóle obliczali oni całą siłę gwardji na 22 do 23 tysięcy ludzi i koni.

Były to zapewne bardzo ważne wiadomości, ale nie dały mi szczegółowych liczb o sile oddziałów stojących w Zambrowie, Tyskach, Wąsewie, Andrzejowie i Przetyczy, o co mi głównie chodziło. Rozpatrując się na mapie, którą przezornie zabrałem ze sobą z kwatremistrzostwa jeneralnego, rozmyślałem nad tem w jakim właściwie celu zostałem wysłany przez Wodza naczelnego z garstką krakusów w sam środek kwater nieprzyjacielskich. Bo to, co mi jenerał Prądyński powiedział, a mianowicie, żebym się wywiedział o liczebności każdego od-

działu, nie wydawało mi się koniecznym potrzebnem, jeżeli nie miano jakich zamiarów względem gwardji nieprzyjacielskich. Wszak o ich ogólnej sile musiano mieć dane w sztabie naszym. I patrząc na mapę myślałem sobie, że gdyby Wódz naczelny z całą naszą armią wyruszył cichaczem przez Modlin, i maszerując na północ wzdłuż prawego brzegu Narwi, przeprawił się przez tę rzekę w okolicach np. Rożana, to odciął by jednym zamachem oddział stojący w Tyskach i Przetyczy i znalazłby się na skrzydle głównych sił w Wąsewie i Zambrowie i albo by je pobił, albo zmusił do gwałtownego odwrotu. Ale oczywiście śmiałem się w duszy z moich pomysłów, boć nie mnie prostemu porucznikowi było sądzić o ruchach armji.

Bądź co bądź porzucając moje strategiczne plany, zażądałem się tem co mi polecono i co moim obowiązkiem było wykonać. Przedewszystkiem należało dotrzeć do majora Wągrockiego, który według słów arendarza Szulima, miał być podobny do biblijnych Machabeuszów, i od niego bliższych zasięgnąć szczegółów i według tego, co on mi powie, dalsze me kroki pokierować. W karczmie długo pozostawać nie mogłem, bo zbiegli huzarzy z pewnością podążyli albo w kierunku Białego błota, gdzie stała cała setka kozaków gwardjackich, albo do Przetyczy gdzie konsystował cały pułk huzarów i cała brygada strzelców fiński i mogli sprowadzić na garstkę moich towarzyszy, taką piorunową burzę, że z niej niktby z nas głowy nie unióś. Postanowiłem więc jak tylko ludzie obiad zjedzą, a konie się nakarmią, natychmiast wyruszyć z pod Pocięchy w kierunku owego Wilczego dołu czy też Siwego bagna, w którym miał się ukrywać major Wągrocki. Do pospiechu przytem zmagliła mnie okoliczność następująca.

Kiedy bowiem spożywszy wybornie upieczone kaczki, zostawiłem przy butelkach wina i miodu moich towarzyszy, raczących się niemi obficie, i udałem się do alkierza,

chcąc tam sam na sam rozmówić się z arendarzem i zaproponować mu, ażeby mi służył za przewodnika w marszu do Wilczego dołu i Siwego bagna, w alkierzu tym Szulima nie znalazłem, a natomiast nagle zjawiła się młoda, może dwudziestoletnia Żydówka, bardzo czysto i starannie ubrana. Weszła bocznymi drzwiami, prowadzącymi do sieni, zamknęła je cicho i starannie i patrzyła na mnie przez chwilę wielkimi, czarnymi i wystraszonemi oczami. Mysląc, że należy ona do domowych, zapytałem:

— Gdzie jest arendarz? chcę się z nim widzieć.

Złożyła ręce jak do modlitwy i oglądając się dokoła trwożliwie, ledwie dosłyszonym szeptem, ale wyborną polszczyzną, rzekła:

— Gdzie jest Szulim, nie wiem, ale... panie oficerze, zaklinam pana na wszystko uciekaj stąd i to natychmiast, bo zginiesz ze swymi żołnierzami.

Zdumiony i oszołomiony tą prośbą i wogóle niespodziewanem pojawieniem się Żydówki, zawołałem:

— Co to znaczy? dlaczego mam zginąć, co mi grozi?

— Niech mię pan nie pyta, bo każda chwila jest droga, i niech mi pan wierzy, że to co mówię jest prawdą. Błagam pana na Boga, każ żołnierzom natychmiast siadać na koń i uciekaj.

— Nie przywykłem uciekać. Ale kto waćpanna jesteś i skąd wiesz, że grozi mi niebezpieczeństwo?

Rozpaczliwie załamała ręce i ciągle z wyrazem trwogi na swej młodej twarzy, szepnęła:

— Niech pan mówi ciszej, bo tu ściany mają uszy. Kto jestem? i cóż panu z tego przyjdzie, gdy się dowiesz? Jestem najniezwyklejszą istotą na ziemi, ale tu o mnie nie idzie, tylko o pańskich żołnierzach! Uciekaj pan! uciekaj póki czas.

— Ale do kroćset, cóż mi grozi? Nie mogę przecież uciekać, nie wiedząc dlaczego i po co? Kto waćpanna je-

steś pytam jeszcze raz, a może jesteś córką arendarza tu-tejszego?

— Nie panie, nie jestem jego córką, nawet krewną jego nie jestem. Ale co panu po tych wiadomościach? Zdradzono pana i lada chwila może wpaść tu nieprzyjacieli i wymordować pańskich żołnierzy.

— Zdradzono mię, mówisz waćpanna? ale kto? może arendarz?

— O! nie panie. Szulim jest najpocześniejszym pod słońcem człowiekiem i dobrym Polakiem, choć jest Żydem. Pan nie wie ile on pomaga majorowi Wągrockiemu i jak się naraża. Nie, panie, Szulim nie jest zdrajcą.

— Więc któż mię zdradził? gadaj waćpanna!

— I na co panu ta wiadomość? czy ona zmieni w czemkolwiek położenie? Kto pana zdradził, to mniejsza, dość że pana zdradzono i na miłość Boską korzystaj z drogiego czasu i uciekaj.

— Ani się ruszę, dopóki się nie dowiem kto i jak mię zdradził? Moi ludzie i konie są zmęczeni i na niepewną wiadomość jakiejś Żydóweczki, nie myślę ich pozbawiać dobrze zasłużonego spoczynku.

Załamala znów ręce ruchem rozpaczliwym i głosem do duszy przenikającym zawołała:

— A mój Boże, mój Boże, co robić?

— Powiedzieć wszystko co waćpanna wiesz.

— Nie jestem panną, jestem mężatką. Ha! niech się co chce dzieje, powiem panu wszystko. Zdradził pana mój mąż?

— Mąż acani?

— Tak, mój mąż. Mieszkamy stąd niedaleko w boru, gdzie mąż mój trudni się wypalaniem smoły i innymi je-szcze sprawami, które mam w ohydzie. Jak tylko dowiedział się o napadzie pana na huzarów, siadł zaraz na konia i galopem pognął do Przetyczy, żeby uwiadomić stojących

tam nieprzyjaciół o tem, co się tu dzieje. Od bitwy upłynęło już koło dwu godzin, i Lejzor, tak się nazywa mój mąż, miał czas dopaść do Przetyczy, ile że z pewnością jechał borem na przelaj, i tylko patrzeć jak nieprzyjaciół tu przybędzie.

— A dlaczegóż acani zaraz mię o tem nie uwiadomiłaś, nie dopiero teraz, po dwu godzinach?

— Nie mogłam, pilnuje mnie, a i tak z pewnością dostrzeżono moją nieobecność, i Lejzorowi o wszystkim doniosą. Ale (dodała z pewną determinacją) mniejsza o mnie.

— Jakkolwiek bądź — rzekłem po krótkim namyśle — aresztuję acanią, a potem zobaczymy.

To rzekłszy krzyknąłem na Wicusia Turskiego, ażeby aresztowaną wziął pod straż i jednocześnie kazałem plutonom gotować się do marszu. W dużej izbie karczemnej, zastałem już arendarza Szulima, ogromnie zdziwionego widokiem aresztowanej Żydówki. Począł coś do niej szwargotać, ale surowo nakazałem mu milczenie i zapytałem:

— Czy masz konie i bryczkę?

— Mam jednego konika i małą biedkę. Jeżdżę nią czasem, kiedy potrzeba.

— Zaprzężesz natychmiast i pojedziesz z nami jako przewodnik, a tę Żydówkę zabierzesz na swój wózek.

Żyd nic zrazu nie odrzekł, tylko pogładził swą piękną, siwą brodę i krokiem wolnym wyszedł z za szynkwasu, za którym stał i zbliżywszy się do mnie szepnął:

— Może wielmożny pan oficer pójdzie do alkierza, ja mam coś ważnego powiedzieć.

Jakkolwiek stałem jak na rozżarzonych węglach, jednakże tyle było powagi w ruchach i słowach arendarza, tak dobrą o nim słyszałem opinię, że ostatecznie, lubo z niechęcią, zgodziłem się na tę propozycję i ruszyłem do alkierza. Żyd zamknął starannie drzwi i rzekł:

— Panie oficjer, ja każę, ja już kazałem zaprząć do mej biedki, ale ja z panami nie pojedę.

— Jakto nie pojedziesz?

— Po co ja mam jechać?

— Po to, żeby mi służyć za przewodnika do Siwego Bagna.

— Do Siwego Bagna? to każdy może wielmożnego pana tam zaprowadzić, a Szulim tu w karczmie jest potrzebny. Po co ja mam wielmożnemu panu przewodniczyć? Ja widział między krakusami, chłopaka, co go nazywają Józikiem Tabęckim, ón zna te strony, ón jest z Komorowa, ón wielmożnego pana poprowadzi, a ja tu w karczmie muszę zostać. Ja nie mogę się narażać, bo bezemnie, to major Wągrocki przepadnie i wiele innych rzeczy przepadnie. Ja muszę tu siedzieć, niech wielmożny pan staremu Szulimowi z karczmy Pociechy wierzy. Mnie tu wszyscy znają i wiedzą, że słowa starego Szulima z Pociechy, są prawdziwe, rzetelne słowa.

Po krótkim namyśle, uznając słuszność uwag arendarza, zgodziłem się na to, jeżeli Józik w rzeczy samej zna drogę do Siwego Bagna.

— Jeżeli ón nie zna — odrzekł Żyd — a pewnikiem zna, bo dlaczego ón nie miałby jej znać, to ja wielmożnemu panu dam chłopaka, co u mnie kole kónia chodzi. Ón mi jest potrzebny, ale niech ju tak będzie, ón pojedzie z wielmożnym panem oficjerem i zaprowadzi wielmożnego pana do Siwego Bagna.

— Więc dobrze, każ zaprzęgać, zaraz wyruszamy.

— To mądrze wielmożny pan robi, że zaraz stąd idzie. Tu nie jest bezpiecznie. Ja ju Ryfce powiedziałem, coby óna kazała mego kónika zaprządz. Ale wielmożny panie, ja mam coś jeszcze powiedzieć.

— Co takiego? gadaj prędko, bo mi się śpieszy.

— Poco wielmożny pan zabiera Taubę?

— Jaką Taubę?

— Nu, te młodą Żydówkę, żonę Lejzora z Bud?

— Przyaresztowałem ją, jako podejrzaną.

— Ja tego wcale zrozumieć nie mogę. Za co ona jest podejrzaną? Lejzor, no! niech jego *szwarcjura* djabeł porwie, jest gałgan, ostatni gałgan i ón mnie dokuczył bardzo, ale ón mnie się boi, bo ja go zgubić mogę jednym słowem, ale Tauba! niech wielmożny pan mi wierzy, ona jest poczciwa, ona nie jest nawet dobra Żydówka, ona do katolików ciągnie, czyta książki polskie. Za co ona jest podejrzana? ja tego zrozumieć nie mogę.

Nie chciałem się tłumaczyć przed Żydem i czasu zresztą do tego nie było, bo moi krakusi już siadali na koń; uwagi arendarza mogły być słuszne co do owej Tauby, jak ją nazywał, ale prosta ostrożność nakazywała mi Żydówkę zatrzymać, choćby jako zakładniczkę przed dalszą zdradą. Przytem zaciękała mnie ona bardzo. Jej czyste, nawet strojne suknie, jej postawa szlachetna, język poprawny, jej wreszcie wydanie zdrady męża, były w owych czasach wśród Żydów, niechętnych naszemu ruchowi, czemś tak nadzwyczajnem, tak niezwykłym, że postanowiłem koniecznie bliżej wy badać ową Taubę i dowiedzieć się, jakim sposobem mogła ona zostać żoną jakiegoś Lejzora, prostego zdrajcy, trudniącego się, jak sama powiedziała, oprócz wypalania smoły i innymi rzemiosłami, które żona jego miała w ohydzie. Odrzekłem więc krótko arendarzowi:

— Ona musi ze mną jechać — i na tem skończyłem rozmowę.

Na polanie moje zuchy już stali uszeregowani, gotowi do marszu, a przed nimi wózek dwukołowy, tak zwana „bieda“, odrapana i nędzna, zaprzężona w chudą, ślepą na jedno oko, prawdziwie żydowską szkapę. Na wózku obok chłopaka obdartego i brudnego, ale któremu spryt

z małych, głęboko osadzonych, siwych oczek patrzył, siedziała Żydówka Tauba w postawie spokojnej, otulona w chustkę, a przy niej stała stara Ryfka i coś szwargotała machając gwałtownie chudemi rękami. Z gniewem odpedziłem od aresztowanej starą Żydowicę i kazałem wziąć wózek na same czoło plutonów, żeby wskazywał nam drogę i w takim porządku zapuściliśmy się na wąską drożynę, pełną korzeni i wybojów, prowadzącą w głąb boru. Jeńcy wojenni, pozbawieni broni i wsadzeni na własne konie, umieszczeni zostali we środku między pierwszym a drugim plutonem. Stanowili oni dla nas niemały ciężar i podobno najlepiej było ich wypuścić i w rzeczy samej postanowiłem tak zrobić, ale później, po oddaleniu się od karczmy Pociechy, a to dlatego, żeby sprowadzony przez zdrajcę Lejzora nieprzyjaciel, nie dowiedział się zaraz, w którą stronę wyruszyliśmy.

W drodze, już w boru zawołałem Józika Tabęckiego. Gdy przybiegł, zadałem mu pytanie, czy wie gdzie jest Siwe Bagno?

— Siwe Bagno? oczywiście panie poruczniku, że wiem.

— A drogę z karczmy Pociechy do niego znasz?

— No, to nie bardzo. Nigdyśmy z majorem Wągrockim nie chodzili z Pociechy do Siwego Bagna, więc drogi tej nie znam, ale przypuszczam, że mimo wszystko trafiłbym. Bylebym się dostał do Wilczego dołu, to już stamtąd z zawiązanymi oczami mógłbym doprowadzić do Siwego Bagna.

— Więc major Wągrocki często przebywa w Siwym Bagnie?

— Często, nie często panie poruczniku, bo pobyt tam nie należy do najprzyjemniejszych, ale gdy mu zagraża prawdziwe niebezpieczeństwo, to wynosi się tam i przez jakiś czas się ukrywa.

— Dlaczego nazwałeś pobyt na Siwem Bagnie nieprzyjemnym?

— Najprzód dlatego panie poruczniku, że niema tam co jeść, jeżeli ze sobą nie przywiezie się żywności, a że wozem w żaden sposób przedostać się tam niepodobna, więc po jednym, co najwyżej dwóch dniach, głodem się przymiera. Przytem w najsuchszych miejscach, to jest takich, które mogą utrzymać człowieka i konia, jest mokro i grząsko, ciągle mgły i wyziewy niezdrowe, tak że zwykle po paru dniach pobytu, wielu ludzi dostaje febry i gorączki. Brrr! nie lubię Siwego Bagna!

— A nieprzyjaciel czy zna tę miejscowość?

— Zdaje mi się, że nie. Nikt przecież w okolicy nie zdradzi, że tam major Wągrocki się ukrywa. My tu sama szlachta, a wiadomo panu porucznikowi, że szlachta mazureńska, to sami dobrzy Polacy.

— Więc można tam przebywać z zupełnem bezpieczeństwem?

— Przed nagłym atakiem nieprzyjaciela, tak, ale długo przebywać niepodobna, najprzód z powodu braku żywności, a potem niezdrowego powietrza...

— Jednakże gdyby ktoś uwiadomił nieprzyjaciela o pobycie tam naszych, gdyby jakiś zdrajca wskazał mu drogę, którą można się tam dostać, bo przecież jakaś droga być musi?

— Oczywiście, panie poruczniku, że jest taka droga, a właściwie wąska drożyna i bardzo zdradliwa. Jeden krok fałszywy na prawo lub lewo, a można się utopić w bagnie. Nigdy też, ilekroć z majorem Wągrockim, przeprawialiśmy się, nie obeszło się bez tego, by albo koń, albo człowiek nie przepadł.

— Gdyby więc jaki zdrajca wskazał nieprzyjacielowi tę drożynę?

— O! wtedy byłoby krucho z naszymi. Ale taki zdrajca się nie znajdzie, nie może się znaleźć.

— Dlaczego?

— Dlatego panie poruczniku, że w okolicy tej mieszka sama drobna szlachta, a pomiędzy nią zdrajca ojczyzny jeszcze się nie urodził i zapewne nigdy się nie urodzi, a potem bardzo niewielu zna tę drożynę.

— Jednakże, jeżeli major Wągrocki już tam kilkakrotnie ze swym oddziałem się przeprawiał, to wszyscy ludzie jego znać muszą tę drogę, a wśród tylu osób zdrajca znaleźć się może.

— I to nie, panie poruczniku, bo najprzód oddział majora składa się przeważnie ze szlachty, a potem, że w jego oddziale oprócz niego i kilku oficerów i żołnierzy, do których i ja należałem, bo z moim pociotem panem Migdałem Dominikowskim, zawsze przodem wysyłani byliśmy dla zbadania owej drożyny, nikt inny jej nie zna.

— Jakże to może być? przecież jeżeli ktoś kilkakrotnie jakąś drogą chodzi, to w końcu znać ją musi.

— Tak, jeżeli za dnia nią chodzi, ale major Wągrocki zawsze nocą się przeprawia, co wprawdzie naraża go na stratę koni lub ludzi, ale zabezpiecza od zdrady. A przytem, panie poruczniku, drożyna przez Siwe Bagno, nie jest stała. Moczary te są ruchliwe. Ja z pociotem Migdałem Dominikowskim herbu Prus, nieraz pół dnia straciliśmy, macając tykami, grzęznąc nieraz po szyję, nim ostatecznie drogę bezpieczną wytknęliśmy, choć od brzegu bagna do twardszego miejsca na jego środku, jest zaledwie jakieś dwa tysiące kroków.

— A to twardsze miejsce, cóż to jest?

— Jakby to panu porucznikowi powiedzieć? Jest to na samym środku bagna, niby wyspa, porośła gęsto olszyną i wierzbami, tak że w niej wybornie ukryć się można i jeżeli major Wągrocki jakem słyszał, doprowadzi swój

zamiar, który podobno powziął, do skutku, to go największa nawet siła nieprzyjacielska stamtąd nie wyrzuci.

— Jakiż to zamiar?

— Nie wiem czy to prawda, ale pociot mój, pan porucznik Migdał Dominikowski napomykał mi, że major Wągrocki ma zamiar przekopać na około wyspy głęboki rów w bagnie, uczynić zasieki, bo olchy i wierzby są tam grube i stare, łatwo mu więc to przyjdzie, nagromadzić żywności i amunicji i siedzieć tam jak w fortocy. Niech wtedy przychodzą i spróbują go brać mocą! połamaliby sobie zęby.

— A ta wyspa, jak ją nazywasz, duża jest?

— Może pomieścić wygodnie parę tysięcy ludzi i koni.

— A same bagno jak jest obszerne?

— Tego dokładnie nie wiem, panie poruczniku, ale musi być dość obszerne, bo się ciągnie od Rzańnika i wsi Trzędy aż po Narew. Wprawdzie już koło Narwi jest grunt twardy i laski niewielkie tam się znajdują, ale widzi mi się, że bagna samego musi być chyba z pięćdziesiąt włók.

Wszystkie te wiadomości były nader cenne, gdyż w ostateczności, gdybym był bardzo przyciśnięty, do czego zresztą, znajdując się w samym środku kolumn nieprzyjacielskich, wcześniej czy później przyjść koniecznie musiało, miałbym gotowe i bezpieczne schronienie na owej wyspie na Siwem Bagnie. Tym ważniejsze to było dla mnie, że po wytępieniu podjazdu huzarskiego pod karczmą Pocięchą, wytępieniu, które z konieczności wielkiego rozgłosu nabyć musiało, nieprzyjaciel ruszy na mnie ze wszystkich stron, wieloboczną oblawą, by mnie zgnieść w serdecznym uścisku. W takim wypadku, jedyne zbawienie i ratunek dawało mi Siwe Bagno, gdzie, byłem miał co jeść, mogłem przeczekać bezpiecznie burzę.

Józik Tabęcki podobał mi się też bardzo, był to dzielny

i rozgarnięty chłopiec, wymowny, wesoly i rozwinięty nad swój wiek. Zapoznał się z całym oddziałem, wszystkich żołnierzy znał po imieniu i nazwisku, ale w najbliższym stosunku był z Tatarem Bajbużą, którego ciągle nazywał panem Bajbardzo, żartował sobie z niego i z jego proroka Mahometa, co zresztą dobry, choć dziki Bajbuza przyjmował łaskawie, śmiał się, białe zęby szczyrzył i prawil wskazując na Józika:

— Dobry parobek, dobry, ale śmieszek.

VII

Pochód nasz odbył się szczęśliwie i nie jego spokoju nie zakłóciło. Posuwaliśmy się jednak bardzo wolno, bo drożyny leśne, boczne, były nader złe i nieraz tak wąskie, że musieliśmy maszerować rotami, czyli mówiąc językiem pospolitym: gęsiego, co oczywiście mocno opóźniało nasz pochód. Dobrze po południu przybyliśmy do Wilczego dołu. Miejscowość ta w istocie była bardzo obronna i obejrzawszy ją łatwo zrozumiałem dlaczego major Wągrocki wybierał ją za swe schronienie. W głębokim wądole, otoczonym dokoła odwiecznym borem, wznosiła się nagle stroma góra, do której przystęp był niezmiernie utrudniony. Można się było tutaj długo i uparcie bronić nawet znacznie przeważającej sile, ale ponieważ obszar dołu i góry nie był wielki, więc nieprzyjaciel mógł otoczyć go dokoła i jeżeli nie siłą, to głodem zmusić do poddania się. Przytem z uwagi, że gwardje posiadały dalekonośne działa, mógł nieprzyjaciel tak je ustawić, że przez elewacją ostrzeliwałyby wybornie wierzchołek góry. Z tego to zapewne powodu, major Wągrocki nigdy długo nie przebywał w Wilczym dole i wolał ukrywać się w Siwem Bagnie, o którym tyle interesujących szczegółów opowiedział mi Józik Tabęcki.

Dawszy nieco wytchnąć koniom i ludziom koło Wilczego dołu, ruszyliśmy dalej. Józik z Bajbuzą i boćwinkarzem Polikarpem Budzilisem na mój rozkaz wdarli się na sam szczyt góry, dla przekonania się czy nie pozostało tam jakich śladów niedawnego pobytu majora Wągrockiego.

Wrócili niebawem ze zdyszaniem mocno Budzilisem i donieśli mi, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, major Wągrocki wcale w ostatnich czasach nie zatrzymywał się w Wilczym dole, a Józik dodał:

— Musiał major być bardzo niespokojny o siebie, skoro nie zatrzymał się wcale w Wilczym dole, jeno pomaszerował zaraz do Siwego Bagna.

— Dlaczego tak sądzisz?

— A bo, proszę pana porucznika, major okrutecznie lubi Wilczy dół. Powiada, że stąd i widok jest piękniejszy i na parę mil wokoło można, kto ma dobre oczy, widzieć co się dzieje w Trzędziu, w Rzańniku, w Przetyczy, a nawet w Ostrowie.

— To jest bardzo ważna okoliczność — zauważył Hurlyo Chocimski, który słuchał naszej rozmowy.

— Tak, ciągnął dalej Józik — a przytem major Wągrocki powiada, sam to na własne uszy słyszałem, że w Wilczym dole powietrze jest zdrowsze jak na Siwem Bagnie. Major nie lubi Siwego Bagna i tylko w ostatecznej potrzebie, w wielkim niebezpieczeństwie tam się chroni.

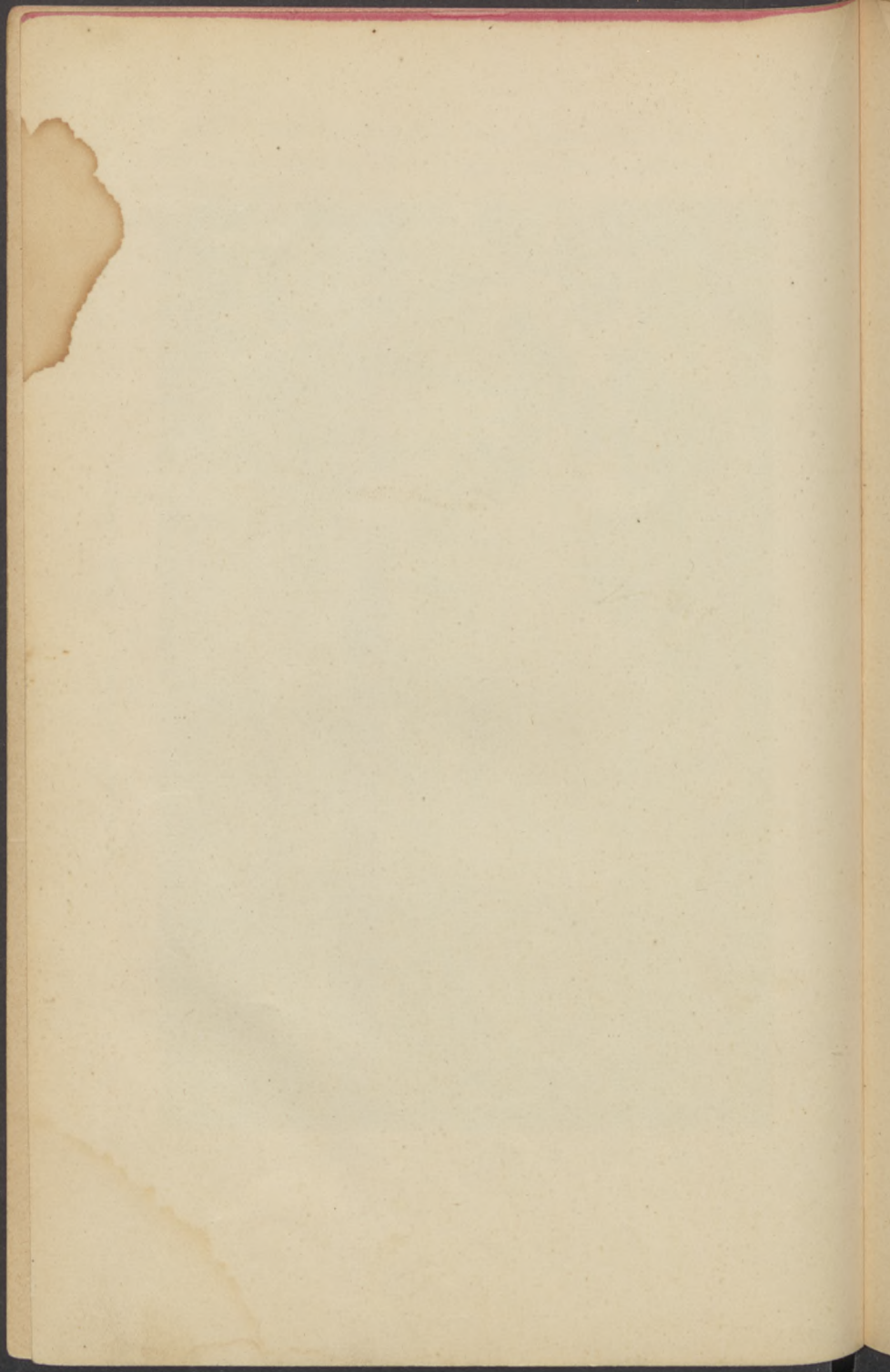
— Więc przypuszczasz — zapytałem — że majorowi zagraża w tej chwili poważne niebezpieczeństwo?

— Tak mi się zdaje panie poruczniku, bo inaczej major nie pomaszerowałby na Siwe Bagno, ale zatrzymał się w Wilczym dole. Widzi mi się, że wszystkiego narobił nasz onegdajszy rekonesans z Białego błota do karczmy Pocięchy. Szliśmy bez żadnej ostrożności, wleźliśmy na huzarów nie spodziewając się niczego, sprawili nam też oni porządne lanie, co mniejsza, bo pewnikiem nie wielu naszych zginęło, ale tym sposobem uwiadomiliśmy nieprzyjaciela o pobycie naszych w tych stronach i wszystko co żyje teraz depce majorowi po piętach.

Uwaga była słuszna, nic na nią nie odrzekłem, ale zaniepokojony byłem mocno. Jeżeli w rzeczy samej nie-



„Przedemną rozkładało się morze sitowia...”



przyjaciel śledzi Wągrowckiego i kręci się gdzieś koło Siwego Bagna, co jest bardzo prawdopodobnem, bo mi przecież mówili jeńcy wzięci w potyczce pod Pocięchą, że kozacy siedzą na karku Wągrowckiego, to możliwem jest, że i ja maszerując do Siwego Bagna, mogę się gdzieś na nich natknąć. Co prawda, nie bardzo ich się bałem. Kozaków miało być coś koło stu koni, a moich ośmdziesiąt lanc i szabel aż nadto wystarczało, by tej płochliwej ruchawce zwycięskie stawić czoło, ale było mi to bardzo nie na rękę. Pobicie kozaków nie przynosiło mi żadnej korzyści, narażało mię na stratę zgoła niepotrzebną kilku ludzi, obciążało moją lotną kolumnę rannymi, a wiadomości moich w zamian, o stanowisku i liczebności oddziałów gwardji, wcale nie zwiększało. Miałem zresztą rozkaz wtedy tylko bić się, gdybym nie miał innego wyjścia i gdyby mi to zapewniało istotną korzyść, a cóż mi za korzyść, mogło przynieść roztrącenie jakiejś setki kozaków?

Jednakże pozostawać dłużej w Wilczym dole nie mogłem i należało koniecznie dotrzeć do Siwego Bagna i zobaczyć się z majorem Wągrowckim, a jeżeli spotkam gdzie kozaków, gdy już starcia z nimi nie będę mógł uniknąć, to rzucę się na nich i drogę sobie lancą otworzę. Takie powziąłem postanowienie i innego w tej chwili, jak sądzę, powziąć nie można było. Tymczasem, tutaj, w Wilczym dole, uwolniłem wszystkich jeńców, wziętych pod karczmą Pocięchą, bo wleczenie ze sobą ośmdziesięciu blisko ludzi, niechętnych, z podelba patrzących na nas, było rzeczą niebezpieczną. Wypuściłem ich tedy wszystkich, zabrawszy im konie, które tylko oficerom zostawiłem. Od tych ostatnich wziąłem słowo honoru, że więcej przeciw nam walczyć nie będą, wąpiąc zresztą bardzo, czy tego słowa dotrzymają; żołnierzy obdarzyłem kilkunastu dukatami i kazałem im pomaszerować zpowrotem do karczmy Pocięchy. W ten sposób pozbywszy się tego niebezpiecz-

nego ciężaru, wyruszyłem dalej pod przewodnictwem parobka żydowskiego w kierunku Siwego Bagna. Wszakże dla wszelkiego bezpieczeństwa zostawiłem ukrytych w Wilczym dole Józika Tabęckiego, Tatara Bajbużę i paru roztropniejszych krakusów, ażeby pilnowali, czy który z wypuszczonych na wolność huzarów nie śledzi naszego pochodu, co bardzo być mogło, i nakazałem surowo, że gdyby istotnie taki szpieg się znalazł, by go schwytali i śmiercią przez powieszenie ukarali.

— Pilnujcież dobrze — mówiłem do pozostawionych — bo od waszej czujności i przezorności zależy bezpieczeństwo moje i majora Wągrockiego. Tobie sierżancie Bajbuzo Hrybunowiczu oddaję dowództwo. Wy zaś macie go ślepo słuchać. Jak noc zapadnie i jak się przekonacie, że wszyscy jeńcy oddalili się i nikt nas nie śledzi, ruszycie pod przewodnictwem Józika Tabęckiego, który zna drogę dobrze, do Siwego Bagna. A miejcie się na baczności i niech was Bóg strzeże. Do widzenia więc!

Ale na szczęście ostrożności te zgoła okazały się niepotrzebnymi. Późnym i chłodnym wieczorem, przed samym zachodem słońca dotarliśmy do owego sławnego Siwego Bagna, nie napotkawszy nigdzie kozaków, nawet człowieka. Marsz nasz więc śmiało można było nazwać marszem ukrytym, zręcznie i szybko wykonanym, co mię nadzwyczajnie cieszyło.

Widoku, jaki nas uderzył, gdyśmy stanęli u celu, nigdy nie zapomnę. Słońce właśnie zachodziło i ogromną swoją, czerwoną tarczą, kryło się powoli za skraj firmamentu, oblewając ukośnemi, purpurowemi, jakby we krwi skąpanemi, promieniami obszerną, płaszczyznę, porośłą sitowiem i gdzieniegdzie krzakami olszyny. Wiatr wśród tego sitowia szumiał melancholijnie, gwał je na wszystkie strony, a ono wydawało jakieś żałośliwe jęki, jakby płakało, jakby się czegoś skarżyło. Niewysłowna nuda

i smutek unosił się nad tą ponurą płaszczyzną. Tu i ówdzie z pośrodku gęstwiny sitowia błyszcząły pod słońce kałuże wody żółtej, brudnej, pokrytej tłustymi plamami, i wychylały się białe kielichy lilij wodnych. A nad tem wszystkiem unosiły się gromady niezliczone ptactwa, kurek wodnych, kaczek i gęsi dzikich, a nawet dostrzegłem całe stado żórawi, płynących gdzieś w dal i żałosnym krzykiem napełniających powietrze. W głębi tego ogromnego i pęknącego bagniska, kłębiły się białe mgły wieczorne, leniwie rozlażyły się i zakrywały dalsze widoki. Powietrze tutaj przesycone było wilgocią i szła od mokradeł nieprzyjemna woń stojącej wody i roślin gnijących. Miejscowość w rzeczy samej musiała być nadzwyczaj niezdrowa. W ogólności widok tej jęczącej pod wiatrem przestrzeni, oblanej krwawymi promieniami zachodzącego słońca, tego żałosnego krzyku żórawi, dziwnie przygnębiająco na nas oddziałał. Wbił się on tak w moją pamięć, że dziś po latach trzydziestu, każdy szczegół jego pamiętam jakbym go wczoraj oglądał. Dowiaduję się, że teraz Siwe Bagno w znacznej części zostało osuszone i pyszne na jego miejsce powstały łąki, ale w owych czasach, gdy tam z moimi dzielnymi krakusami szukał schronienia, istniało ono jeszcze w całej swej rozciągłości, w całej pierwotnej dzikości.

Stanąwszy w onczas nad niem, starałem się odgadnąć gdzie się może znajdować owa wyspa, na której, według opowiadań Józika, miał swoje schronienie major Wągrocki. Przedemną rozkładało się, jak okiem zasięgnąć morze sitowia, stojącej wody, tataraku, nenufarów, gdzieniegdzie kępki olszyny i wierzby koszykarskiej. Gdzieś tylko w głębi, mniej więcej na dwa do trzech strzałów armatnich, widać było gęstwiny wysokich olch, grabów i topoli, na pół otulonych białą mgłą, na pół u wierzchołków oświetlonych jeszcze blaskami krwawo zachodzącego słońca. Nie wątpi-

łem, że to tam, a nie gdzieindziej znajduje się owa tajemnicza wyspa Wągrockiego, ale jak się do niej dostać, nie miałem pojęcia. Mgła rozlażyła się coraz szerzej, gęstniała, słońce skryło się na koniec za horyzont, choć niebo gorzało jeszcze na zachodzie czerwienią i złotem, i mrok pośpny ogarniał i bagna i bór i mnie z moimi Krakusami, a ja nie wiedziałem co robić i gdzie się udać. Przez bagno oczywiście nie widać było żadnej drogi, wszędzie nieskończony, ciemno-zielony, ponury las szuwarów, sitowia i tataraku. Józika Tabęckiego nie było, który jeden mógł mnie przeprowadzić przez te moczary; parobek żydowski z Pocięchy, zapytany czy wie gdzie jest wyspa i którą drogą się do niej idzie, odrzekł:

— Ano, hajwok!

I wskazał biczykiem na ową kępę wysokich drzew, które tonęły już w mroku zapadającej nocy.

— A mógłbyś nas tam przeprowadzić?

Podrapał się po płowej czuprynie, czapkę poprawił i rzekł:

— Był ci ja tam będzie temu ze sześć niedziel z Polakami, ale tam wózkem nijak nie dojedzie.

— Mniejsza o wózek, zostawimy go tutaj, byleś nas przeprowadził.

— Ej, boję się. Albo to tu je jaka droga? jeszcze się potopimy. Ja tam nie pójdę.

Nie było rady, trzeba było czekać na powrót Józika. Żałowałem teraz, że go zostawiłem w Wilczym dole. Ktośkolwiek mógł doskonale czuwać tam nad huzarami, a tu nikt go nie był w stanie zastąpić. Nie chciałem też pójść za radą Budzilisa, który zaproponował, ażeby wystrzelić parę razy i tym sposobem dać znać Wągrockiemu o naszym przybyciu. Strzały mogły zwabić nieprzyjaciela, Wągrocki zaś mógł wcale nie wiedzieć o tem, że my w tych

stronach się znajdujemy. Rada była niefortunna i śmiech tylko wzbudziła w Laskowskim.

— O! boćwinkarzu, zawołał — ruszyłeś konceptem jak martwe cielę ogonem. Już to ty lepiej zrobisz, jak wcale odzywać się nie będziesz.

— At, nie wiedzieć co! Mazury to słyhać ślepi się rodziwszy — odciął się Litwin.

— Ale jak przejrzą, to boćwinkarzy zjadają.

— At braciaszku, udławilbyś się. I cichaj, mnie nie chce się z tobą wojować.

Jak się tam skończył ten spór, nie wiem, bo dręczony niepokojem, ruszyłem w towarzystwie kozaka Chocimskiego, brzegiem bagna, chcąc się przekonać czy jakim sposobem nie uda mi się dostrzec śladu drogi przez te ponure moczary. Krakusom kazałem zsiąść z koni, ale pogrów nie popuszczać i być w pogotowiu. Pokładli się na ziemi przy koniach, trzymając je za cugle drzemali, lub gwarzyli między sobą po cichu. Bór za nami czerniał coraz bardziej, wiatr po nim i po szuwarach bagniska szumiał posepnie i noc ciemna powoli zapadała na ziemię. Na szczęście było to na pełni, a że niebo było czyste i bezchmurne, należało się spodziewać, że za parę godzin księżyc wejdzie i rozświeci ciemności nocne.

Jechaliśmy z Hrehorym Chocimskim brzegiem bagna, rozmawiając o możliwości dostania się na wyspę i bacznie rozglądając się dokoła, czy jakiegoś śladu drogi przez szuwary nie dostrzeżemy. Ale obaj byliśmy niespokojni, zmęczeni i smutni, i rozmowa rwała się co chwila. W ten sposób, w posepnem milczeniu ujechaliśmy może ze trzysta kroków, gdy nagle Chocimski, który miał wzrok nadzwyczaj bystry i w nocy, jak kot widział, zatrzymał się i rzekł wskazując ręką:

— To tu jest droga.

W tem miejscu las dotykał prawie samego brzegu ba-

gna i kilka ogromnych starych dębów, na pół u wierzchołka wyschniętych, na zielonej murawie wznosiło swe potężne konary. Spojrzałem w kierunku ręki Chocimskiego, ale nic dostrzec nie mogłem; tak tu, jak i wszędzie tłukły się o siebie z głuchym chrzęstem szuwary i kiście tataraku.

— Po czem sądzisz, że tu jest droga? — spytałem Hrehorego.

— Czyż nie widzisz, — odrzekł — że tu szuwary są stratowane i to nie bardzo dawno, bo niektóre już się podnosiły do połowy.

Przyjrzałem się bliżej i w rzeczy samej dostrzegłem ślady jakiegoś przejścia.

— Może masz słusność — odparłem — jednakże bez przewodnika niepodobna puszczać się w te bagna z całym oddziałem.

Hrehory nic na to nie odrzekł, zszedł z konia, dał mi cugle, bym go potrzywał, i śmiało puścił się na moczary. Ale nie uszedł i parę kroków gdy zapadł się po same kolana.

— Czort z nimi! — mruknął i począł się gramolić zpowrotem, co mu się z trudnością udało. Wyszedł na twarde gruntu, ubabrany jak nieboskie stworzenie, wymyślając na taki kraj i na takie przekłete mokradła. Wreszcie otrzepawszy się nieco z błota, rzekł:

— A ja taki powiadam, że tu jest droga i tędy szel ten twój tam jakiś major.

— Może być — odparłem — ale my się puszczać nie możemy po nocy, nie znając dobrze drogi.

Na szczęście w tej chwili rozległ się tętent konia i Józik Tabęcki przypadł do nas, wołając:

— Znaleźli panowie drogę? To tędy się idzie na wyspę.

— Więc nas przeprowadzisz? — zapytałem.

Józik na to pytanie trochę się namyślił.

— Jużcić przeprowadzić mogę, ale to rzecz niebezpieczna, panie poruczniku.

— Dlaczego? sam mówisz, że tu jest droga.

— Tak, ale bagno, panie poruczniku, jest ruchliwe i zdradzieckie. Tam gdzie przed godziną można było bezpiecznie przejść, choćby z największym ciężarem, to teraz maleńkie dziecko zapadnie się po szyję.

— Więc ostatecznie wychodzi na to, że niema drogi?

— Owszem, tu jest droga, bo tu jest najwięcej miejsc twardych, ale trzeba je zbadać za dnia, a nie po nocy. Ja się tego podjąć nie mogę, zresztą to jest zgoła niepotrzebne.

— Jakto niepotrzebne?

— A niepotrzebne, panie poruczniku. Dość będzie gdy damy znać majorowi Wągrockiemu, że tu jesteśmy, a on wyśle naprzeciw nas przewodnika, który doskonale zna obecny stan drogi i ten nas bezpiecznie przeprowadzi.

— A jakże my damy znać majorowi Wągrockiemu?

— Nic łatwiejszego, panie poruczniku. Hej, panie Bajbardzo (obrócił się do Tatarzyna, który z nim przyszedł) zbierz no asan suchych gałęzi i trawy, zrób z tego pęczek, jeno żeby się nie rozleciał, skrzysz ognia i zapal. Ja tymczasem wleżę na najwyższą dębinę, a asan mi podasz zapalony pęczek. Jak machnę, w umówiony sposób, trzy razy, to zaraz, niech panowie uważają, i na wyspie ukaże się taki ogień, co będzie znakiem, że przewodnik idzie do nas.

— Święta Matko Ostrobramska — zaśpiewał boćwinkarz Budzilis, który przywłókł się za nami — ci koroniarze to wcale dowcipny narodek bywszy.

— A widzisz, boćwinkarzu — mruknął Laskowski, który także się zjawil tutaj — żaden Litwin na nic podobnego nie zdobyłby się, choćby rok i sześć niedziel myślał.

— Nie wiedzieć co! my Litwini też dowcipnym narodem bywszy.

Spierali się tam jeszcze o wyższości dowcipu Koroniarzy i Litwinów, a ja tymczasem przypatrywałem się jak Bajbuza zbierał gałęzie, mech i trawę i związawszy to wszystko w jeden pęczek, krzesał ognia, a Józik ze zreżnością kłowna cyrkowego, drapał się na najwyższy z dębów. Zapalony pęk podano mu na lancy, a on zaraz potrzykroć machając nim z góry na dół, dawał umówiony znak. Powtórzył to kilka razy w pewnych odstępach czasu, a my wszyscy wlepiliśmy wzrok w mgłę, rozwłóczącą się po bagnie i oświetloną blaskiem księżyca, z niepokojem i utęsknieniem oczekując, czy i tam ukaże się ów znak ognisty. Upłynęło kilka chwil dręczącego oczekiwania i nagle, gdzieś w głębi bagien, zajaśniał ów zbawczy ogień, tak samo potrzykroć smugą purpurową spłynął z góry na dół, a Józik z dębu wołał radośnie:

— Zobaczyl nas. Zaraz będzie przewodnik! Wiwat, niech żyje Polska!

Wrzeszczał w niebogłosey i machał zapalonym pękiem trawy, aż zaniepokojony tem, bo głos po nocy i wśród ciszy rozchodził się daleko, zawołałem:

— Cicho bądź do kroćset! czy chcesz nam kozaków na kark sprowadzić?

Józik jak kot zeskoczył na nogi z dębu i przykładając po wojskowemu rękę do czapki, rzekł:

— Niech się pan porucznik nie boi. W promieniu trzech milowym niema ani jednego nieprzyjaciela, prócz huzarów, których pan porucznik wypuścił, a którzy teraz maszerują do karczmy Pociechy i pewnikiem są już tak daleko, że mego głosu nie słyszą.

— A skąd wiesz, że nieprzyjaciela w pobliżu niema?

— Stąd, panie poruczniku, że kiedy mój przyjaciel pan Bajbardzo z kamratami śledził huzarów, którzy wszyscy co do jednego pomaszerowali wskazaną im drogą, nie myśląc wcale o szpiegowaniu nas, ja skoczyłem do mego wuj-

ka wujecznego, imćpana Prokopa Kropiwnickiego, zwanego Gąsiorkiem, herbu Suchekomnaty, a który jest leśniczym w tych borach i ma chałupę w pobliżu Wilczego dołu, by zasięgnąć języka. Otóż imćpan Gąsiorek Kropiwnicki, który jest tyż dobry patrjota, powiedział mi, że cały dzień z dwoma wyrostkami, swemi synkami, brodził po boru, i tyż spotkał imćpana Mąciwodę, który jest... jakby to powiedzieć... jest szpiegiem pana majora Wągrowckiego, bo, dostaje febry kiedy kule świszczą, a za to udając handlarza świń, wszędzie się włóczy, nawet do obozów nieprzyjacielskich zachodzi!... ho! ho! dowcipny szlachcic, ani słowa...

— Do rzeczy! do rzeczy! — zawołałem niecierpliwie — gadaj coś się dowiedział o nieprzyjacielu!

— A no to, panie poruczniku — że kozacy zawrócili do Tysek i że w całej okolicy niema ani jednego nieprzyjaciela w tej chwili.

— Czy to tylko pewne wiadomości?

— Jak najpewniejsze. Wujek pan Gąsiorek Kropiwnicki nigdy nie kłamie, a wiadomości Mąciwody są zawsze pewne. Możemy spać na oba uszy. Pan major Wągrowcki wczorajszej nocy poszedł na wyspę na bagnie i pono chce się okopywać.

W teże chwili gdzieś z głębi bagien, z całych chmur mgły, wyglądającej pod blaskami księżycy jak srebrzysta opona, rozległ się donośny, ponury, trzykrotnie powtórzony krzyk puszczyka. W odzew na to, Józik przyłożył obie ręce do ust w kształcie trąbki i zakrakał także trzykrotnie, ale tak doskonale, że obejrzelśmy się, czy gdzie w rzeczy samej kruka niema.

— To znak umówiony — objaśnił Józik — przewodnik zaraz tu będzie.

57

VIII.

Z łatwo wytłumaczoną ciekawością i niecierpliwością oczekiwaliśmy wszyscy na pojawienie się owego przewodnika, którego przybycie, według twierdzeń Józika, zapowiedziało posępne hukanie puszczyka. Wszyscy, ilu nas było umilkliśmy, i wstrzymując nieomal dech w sobie, nadsluchiwalismy pilnie, czy nie dojdzie do nas odgłos tego zbliżania się człowieka, który nas miał zaprowadzić na tajemniczą wyspę Siwego Bagna. Ale nic posępnej a jednak gwarnej ciszy nie zakłócało. Podawnemu wiatr szumiał po boru; po dawnemu sitowie na moczarach glucho i jękliwie szeleściło; mgły tłukły się po całej ich przestrzeni, przewalały się, kłębiły i pod blaskiem srebrzystym księżyca tworzyły jakieś fantastyczne widma, niby duchy blade i powiewne, przesuwające się nad tem ruchliwem morzem szuwarów i sennych lilij wodnych. Nagle tuż prawie przy brzegu rozległ się trzask łamanego sitowia i z pośrodku mgły ukazała się olbrzymia jakaś postać, w ogromnym, bandyckim kapeluszu na głowie, ze strzelbą, zawieszoną przez plecy, w której lufie stalowej księżyc zapalał nagle, srebrzyste blaski. Postać wychyliła się i stanęła, usiłując widocznie rozpoznawać lepiej nasze figury na pół ukryte w cieniu, i głos gruby, nieco ochryply zapytał:

— Kto tu jest?

Nim zdołałem odpowiedzieć, już Józik skoczył naprzód i zawołał:

— Pociot Kokoszka Michał Michałowski! jak się pociot miewa?

— A! to ty smyku Józiku? Czy to ty dawalesz znaki?

— Ja, ale wujku, ja tu nie sam. Tu są dwa plutony krasusów sandomierskich.

W tejsze chwili z poza pociota, jak go Józik z mazurska nazywał, imiępana Kokoszki Michała Michałowskiego, odezwał się głosik cienki, piszczący, na pół kobiecy:

— A co? nie mówiłem waćpanowi, mości kapitanie.

I jednocześnie z pośrodku szuwarów wyskoczyła na brzeg osobliwsza figurka. Był to człowiek niski krępy, o szerokich barkach, dużym brzuchu a krótkich nóżkach, ubrany w wyszarzaną czapkę z daszkiem, jakiś bezbarwny kubrak, i wysokie buty, od których zdaleka czuć było sadłem. Wyskoczył, tupnął kilka razy nogami otrząsając swe wielkie, niezgrabne buciska z błota, i zapiszczał ciągle tym samym kobiecym głosem:

— Brrrrr! jakby go febra trzęsła.

— O! — zawołał Józik — i pan Mąciwoda tutaj?

— A tutaj kochanku, jak widzisz.

— Mówił mi wujek Gąsiorek Kropiwnicki, że pan brodził dziś po boru?

— A tak robaczku, a teraz brodzę po tem świńskim, czy Siwem Bagnie.

Ale już pan kapitan Kokoszka Michał Michałowski wysunął się ze swą olbrzymią, niedźwiedzią postawą przedemnie i salutując mi po wojskowemu, mówił:

— Michał Michałowski herbu Jasińczyk, kapitan w oddziale majora Wągrowckiego, do usług księcia porucznika.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana, ale skąd waćpan wiesz o mym stopniu?

— O! my wiemy wszystko mosanie, wiemy żeś księżę

pan sprawił dziś rano gorącą łaźnię huzarom pod karczmą Pocięchą...

— Ale skąd panowie wiecie?

— Alboż to nie mamy imćpana Mąciwody, którego mam honor przedstawić księciu panu.

Pan Mąciwoda wysunął się naprzód i kłaniał się to salutując po wojskowemu, to zdejmując czapkę jak cywilus. W tejże chwili na jego twarz dużą, okrągłą, otoczoną dookoła faworytami i zdobną w krótki, chłopskim obyczajem podstrzyżony wąs, padł promień księżycy, i ja zawolałem:

— Co widzisz? Wróblewski! Maciek! Wróblewski! a ty tu co robisz?

— Poznał mnie — zapiszczał Mąciwoda a właściwie Wróblewski — ano trudno, jak się masz Tadziku?

— Ale cóż ty tu robisz w takim osobliwszem przebraaniu? — pytałem.

— O tem później pogadamy, ale teraz robaczku lepiej zrobisz, gdy każesz twoim zuchom przeprowić się na wyspę. Noc teraz krótka, za parę godzin będzie dniało, a djabel nie śpi i choć zdaje się, że wszystko jest w okolicy spokojnie, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Uwaga była słuszna i natychmiast pod przewodnictwem olbrzymiego kapitana Michałowskiego Michała i Mąciwody-Wróblewskiego rozpoczęła się uciążliwa i nie bardzo bezpieczna przeprawa przez bagna. Pieszko prowadząc za sobą konie, rotami t. j. gęsiego, ruszyli krakusi naprzód. Pierwszy szedł na swych długich nogach boćwinkarz Polikarp Budzilis Piesgajło, za nim kilkunastu żołnierzy, potem Mazur Laskowski, żołnierze, Hrehory Huryło-Chocimski, a ja z Józikiem i Bajbuzą na samym końcu, ostatni wkroczyłem na bagnisko, gdy już na wschodzie niebo bieleło i świt się szary i smutny robił. Żydówka Tauba, ciągle milcząca i posepna szła z nami.

Przeprawa ze wszech miar była trudna i niebezpieczna.

Maszerowało się wąską drożyną, pomiędzy wysokimi kłębami trzciny i tataraku, pilnując się bacznie by wstępować w ślady poprzednika, bo każdy krok na stronę zrobiony groził zatopieniem, a i tak częstokroć zapadaliśmy po kolana w grząskim i cuchnącem błocie. Zwłaszcza konie robiły dużo kłopotu. Zrywały się, opierały i nieraz skoczywszy w bok, po brzuchy więzły w bagnie, tak że ledwie przy usilnej pracy kilku ludzi udawało się je ocalić od śmierci. Bądź co bądź przebyliśmy moczary ubabrani straszliwie w błocie, ale nie straciwszy ani jednego człowieka i konia, co uważać należy za wielkie szczęście, mówił potem kapitan Michał Michałowski. Dopomogło nam do tego pomyślnego rezultatu, to, że od połowy drogi ułożony był pomost z desek i bali, tak że tu już łatwiejsza i bezpieczniejsza była przeprawa. Pomost ten, jakżeśmy tylko stanęli na wyspie, major Wągrowcki kazał natychmiast zdjąć i tym sposobem, rzecz można, byliśmy zupełnie odcięci od świata.

Sam major Wągrowcki, który nas powitał na brzegu wyspy, był ze wszech miar godną uwagi osobistością. Niski, barczysty, z dużą, niegdyś czarną, dziś już siwiejącą brodą, wielkimi wąsami, gęstą brwią, z pod której patrzyło surowo i groźnie dwoje oczów czarnych, przenikliwych, ubrany w burkę, bo poranek był chłodny, z pod której widać było ogromną szablę w blaszanej pochwie i kolby dwu pistoletów, zatkniętych za pas rzemienny.

— Witam panów na mej wyspie — mówił głosem grubym i chrapliwym — jeżeli potrzebujecie spoczynku, to go tu znajdziecie, ale co do żywności, to będzie trochę krucho, mosanie.

— Potrzebujemy jednego i drugiego — odrzekłem — ludzie i konie są zdrożeni i głodni.

— No... na razie jakoś się temu zaradzi.

I obracając się do towarzyszącego nam kapitana Michałowskiego, rozkazywał:

— Zaprowadzi pan kapitan krakusów na łączkę pod lipami. Tam niech się roztasują, ognie zapalą, tylko z suchych drzew, żeby dymu nie było. Rozkazuję waćpanu baczność na to zwrócić uwagę, mosanie. Polecisz waćpan magazynierowi Skowrońskiemu, aby wydał...

Tu przerwał i zwrócił się do mnie:

— Ilu pan porucznik liczy ludzi?

— Ośmdziesięciu, ale prócz tego mam kilkadziesiąt koni luźnych, zdobytych na huzarach pod Pociechą.

— No! dzielnie się asan panie poruczniku tam spisalesz, ani słowa, ale żeby ten napad był mądrze obmyślany, tego mosanie, trudno przyznać. Ale o tem potem.

Niepodobało mi się traktowanie mię nieco z partesu i przemawianie do mnie od asanów, ale umilkłem, bo major swym grubym basem dalej rozkazywał, stojącemu nieruchomie z ręką u kapelusza kapitanowi Michałowskiemu. Widocznie w oddziale tym karność była wielka i wszystko drżało przed strasznym majorem Wągrockim.

— Policzysz mi waćpan, mości kapitanie, ile naprawdę jest ludzi i koni w oddziale pana porucznika, bo ja tam tym sztabowym adjutantczikom, świeżo upieczonym, nie bardzo wierzę mosanie...

Oburzyło mnie to do reszty. Zawolałem więc:

— Przepraszam pana majora, ale...

Nie dał mi skończyć, podniósł rękę do góry z giestem nakazującym mi milczenie, i rzekł:

— Ja tu rozkazuję mosanie. Policzysz więc waćpan ściśle (mówił dalej do Michałowskiego), ilu jest ludzi i koni i nakażesz magazynierowi Skowrońskiemu, aby wydał odpowiednią ilość obroku i siana dla koni, mięsa, sadła, krup i soli dla ludzi. Każdy żołnierz prócz tego ma otrzymać półkwaterek gorzałki. Skończyłem.

Kapitan Michałowski zrobił na lewo w tył zwrot i zniknął, a major Wągrocki zdjął bandycki, zabłocony i pomięty mocno kapelusz z głowy, pokłonił się nam oficerom nisko i rzekł:

— Jeszcze raz witam panów na moich śmieciach. Proszę do mego szalasu, tam pogadamy.

— Panie majorze — zawołałem — racz pozwolić, że pogawędkę odłożymy na później. W tej chwili potrzebujemy tylko dwu rzeczy...

Spojrzał groźnie na mnie i spytał krótko:

— Jakich?

— Jedzenia i snu.

Popatrzał na nas i zapytał:

— A dawno waćpanowie jesteście w marszu?

— Od trzech dni.

— Od trzech dni? i chcecie jeść i spać? Ja, mosanie, gdym był z Cesarzem (tu z uszanowaniem uchylił kapelusza) w Hiszpanji, tośmy nieraz po tygodniu nie jedli i nie spali, a dlatego żyję i mam nadzieję, że żyć będę jeszcze długo. Ale terażniejsza młodzież, to same papinkowate paniczki, fartuszkową drogą dochrapujący się buljonów oficerskich. Wiem ja coś o tem i dlatego mosanie ojczyznę mogą djabli wziąć. Ale o tem potem. Proszę do mego szalasu.

Ruszył przodem z wielką powagą, dzwoniąc ogromnemi ostrogami przy ordynarnych buciskach, szpetnie zabłoconych i wytartych, a my za nim w milczeniu, ogromnie jakoś zmieszani, ale mimo to nikt z nas słówka nie pisał, tylko Budzilis Piesgajło zaśpiewał mi cichutko do ucha:

— A to duszeńko okruteczny Mazur. Pożre nas, jako lew ryczący.

— Udławiłby się twoimi kośćcami — odrzekłem.

— To pewno, żeby się udławił. Litwina, serdeńko, nie tak łatwo schrupać.

Właśnie przechodziliśmy koło piechoty majora Wągrockiego, złożonej w części ze strzelców, w części z kosynierów. Rozłożona ona była w niewielkim lasku olszyny i brzeziny, wśród której wznosił się cały szereg szałasów, zbudowanych z gałęzi i słomy. Żołnierze, przeważnie tegie, wąsate postacie, ubrani byli najrozmaaciej, w większej części w nędzne lachmany, ale karabiny ustawione przed szałasami w kozły, były wyborne, dalekonośne, widocznie zdobyte na nieprzyjacielu i odznaczające się nadzwyczajną czystością. Jedynym uniformem u tych żołnierzy, były czapki w kształcie magierek, u strzelców ciemno-zielone, u kosynierów czerwone. Gdyśmy koło nich przechodzili, wszyscy na widok majora Wągrockiego z nadzwyczajnym, skwapliwym pośpiechem zrywali się na równe nogi i wyprostowani jak struny, w postawie wojskowej, salutowali swego komendanta, co świadczyło, że panowała tu karność surowa i groźna. Takiej karności, takiego poszanowania swych zwierzchników, nie widziałem w naszym wojsku regularnem i zdziwiony byłem bardzo i zbudowany. Mimowoli budził się we mnie szacunek, dla tego brodatego wodza oddziału partyzanckiego, choć traktował mię z góry i nazywał asanem.

W wielkim szałasie majora, nader zresztą skromnie, po spartańsku urządzone, bo w nim prócz garści siana, rzuconego na ziemię i służącego za łożę, prócz paru desek umocowanych na pniach, nic więcej nie było. Na tym improwizowanym stole leżał piękny sztuciec belgijski, ładownica skórzana z nabojami, perspektywa i mapa paru województw. Wszedłszy, major zdjął bandycki kapelusz, poklonił się nam znowu nisko i rzekł z dobrotliwym uśmiechem, który dziwnie miło rozjaśnił jego surowe oblicze:

— Jesteście panowie u siebie. Rozgoście się wygodnie. Ale i tym razem nie obeszło się bez gryzącego docinku:

— Czem chata bogata tem rada. Ostrzegam wszelako, że nie znajdziecie u mnie frykasów i szampana, którem słyszę karmią was tam w sztabie. U mnie mosanie jest tylko gorzalka, chleb razowy i kielbasa, no! i sperka wędzona.

To rzekłszy klasnął w ręce, i zaraz zjawił się wyrostek, z łbem rozczochranym i wystraszonemi oczami, a major mu rozkazywał:

— Dawać jeść, a żywo!

W mig znalazła się na owym improwizowanym stole ogromna butla z prostą gorzalką kartoflanką, parę bochenków razowca i kilkułokciowa kielbasa. Zabraliśmy się gorąco do tych specjałów, które nam lepiej smakowały, niż najwykwintniejsze potrawy, a major czynił z wielką uprzejmością honory domu, co tym silniejsze robiło na nas wrażenie, że przed chwilą widzieliśmy go groźnym i strasznym, bo zawsze człowiek surowy, gdy staje się uprzejmym budzi w nas żywą sympatję.

Gdyśmy się już nasycili, major wstał i rzekł:

— A teraz, skoro panowie tak łakniecie spoczynku, mieście się tu jak możecie. Nie będzie wam bardzo wygodnie, bo u mnie, mosanie, piernatów i pierzyn sztabowych niema, ale trudno. Na wojnie jak na wojnie. Kładźcie się więc i śpijcie, nikt wam snu nie przerwie, a ja wychodzę, bo mam rozliczne sprawy na głowie. Dobranoc!

To rzekłszy nadział swój bandycki kapelusz na głowę, karabin zarzucił na plecy, ładownicę przypasał i wyszedł, a my wszyscy, tak jak staliśmy, rzuciliśmy się na siano, bo sen nas morzył straszliwie. Młodzi byliśmy i znużeni mocno forsownymi marszami, nieprzespani dwoma nocami i bitwą pod Pocięchą. Niebawem w szalasię rozlegało się potężne chrapanie Hrehorego Chocimskiego, piskliwy świst

boćwinkarza Budzilisa, i jakiś żałośliwy wydech mazura Laskowskiego. Ja przez jakiś czas walczyłem ze snem, bo mię sumienie gryzło, że nie spełniłem należycie mego obowiązku, że nie wiem, co było moją powinnością, gdzie i jak pomieszczono moich krakusów, czy ich nakarmiono, czy jednym słowem mają to wszystko, co mieć powinni. Tak mię zaniedbanie z mej strony, dręczyło, że chciałem już wstać i iść, by się naocznie przekonać o położeniu mego oddziału, ale śmiertelne znużenie, przekonanie wreszcie, że surowy major Wągrocki nie pozwoli, by jego rozkazy nie były ściśle wykonane, przemogło, i zasypiać zacząłem. Przez chwilę słyszałem jeszcze szum sitowia na bagnie, krzyki żórawi, jakieś rozmowy głośniejsze, potem wszystko ucichło i zapadłem w sen kamienny.

Obudziłem się drażniony w same oczy jasnym i gorącym promieniem słonecznym, który przedzierając się przez jakiś otwór w szalasię, na twarz mi padał. Otaczała mię wielka cisza, tylko gdzieś zdala dochodził mię odgłos wyraźnej komendy:

— Sekcjami na prawo, dyrekcją na lewo, marsz!

I zaraz potem rozlegał się tupot kilkudziesięciu nóg, w takt jeden maszerujących.

— Musi być już koło południa! — pomyślałem sobie, ale dziwiło mię to, że czułem się zupełnie wypoczęty, czego kilkugodzinny sen nie mógł przecież sprawić i nadzwyczajnie głodny, a wszakże rano najadłem się do syta. Moi towarzysze spali ciągle w najrozmaitszych i najfantastyczniejszych pozach, a Litwin Budzilis świszczał i piszczał przez nos głośno. Wstałem i znalazłszy w odrapanej misce świeżą wodę umyłem się, oczyściłem ubranie z kurzu i błota i zabrałem się do jedzenia, bo na stole leżała jeszcze kielbasa, chleb, sperka, sól i butla z wódką. Zauważyłem tylko, że stół był oczyszczony z okruchów, że kielbasa nie

była napoczęta i chleba cała bułka. Widocznie w czasie naszego snu zaopatrzone stół w świeże prowianty.

Podjadłszy dobrze, przypomniałem sobie o moich plutonach i o obowiązkach moich względem nich. Co żywo zerwałem się, przypasałem pałasz i wyszedłem z szałasów. Widocznie godzina była bardzo wczesna, bo słońce było jeszcze nisko, a poranek chłodny. Nad bagnami unosiła się szara mgła, a ptactwo napelniało świergotem swoim całą wyspę.

— Co u licha! — pomyślałem sobie — czyżbym spał całe dwadzieścia cztery godzin? ależ to jest niemożliwe!

Zaraz jednak miałem się przekonać, że w istocie tak było. Ujrzałem bowiem owego chłopaka z rozczochraną czupryną, który wczoraj na kłaśnięcie majora Wągrockiego przyniósł nam jedzenie, i od niego dowiedziałem się, że przespałem z moimi kolegami całą dobę jednym, kamiennym snem. Niezadowolony byłem z tego bardzo, ale tłumaczy się to nadzwyczajnym naszym znużeniem.

— A gdzie jest major Wągrocki? — spytałem chłopaka.

— Pan major na łące, niedaleko stąd mustruje kosy nierów.

— A nie wiesz chłopcze gdzie stoją moi krakusi?

— Owszem, wiem, panie poruczniku. Niech pan porucznik idzie tą oto drożyną, aż na drugi koniec wyspy, a za temi lipami, co ich wierzchołki widać, obozują krakusy. Piękne, na psa urok, wojsko!

Ruszyłem we wskazanym kierunku, przypatrując się z zajęciem i samej wyspie i obozowi partyzantów. Szedłem obok szałasów piechoty, ustawionych rzędem, ale żołnierzy w nich nie było, zapewne także się mustrowali, tylko paru szyldwachów przechadzało się wzdłuż nich tam i zpowrotem, i spostrzegłszy mnie sprawnie sprezentowali przedemną broń. Wszystko tu więc było urządzone po

wojskowemu, a obaj sztyldwachy mieli dzielne, marsowe postawy, choć ubranie ich wiele pozostawiało do życzenia. Potem napotkałem obozowisko jazdy, która konie najrozmaitszej krwi i maści, przywiązane do drążków, czyściła.

Lance z drzewcami niepomalowanymi i proporczykami biało amarantowemi, ustawione były w piramidy i znać było na każdym kroku ład i porządek wielki. Jazdy tej mogło być ze sto koni.

Gdym koło niej przechodził, wysunął się szczupły, wysoki, ale kościsty mężczyzna, młody jeszcze, mogący liczyć ze trzydzieści lat, z wąsem jasnym jak konopie i z fantazją zakreconym do góry, w kurtce ułańskiej granatowej z amarantowemi wypustkami, mocno podszarzonej, przy ładownicy i szabli, i salutując po wojskowemu, przedstawił mi się:

— Porucznik pierwszego plutonu, Wnorowski, z przewiskiem Mąka, do usług pana adjutanta.

Przywitałem się z nim bardzo kordjalnie, a on mię powiódł do swej jazdy i obejrzałem ją bacznie. Konie były nieosobliwsze, wychudzone i widocznie zmęczone mocno, ale za to broń i postawa żołnierzy wyborna.

— Trudno — mówił Wnorowski, gdym mu zwrócił uwagę na zły wygląd koni — nie może być inaczej. Odbywamy nieustanne marsze, podjazdy, nieraz po całych dniach o głodzie, tygodniami nie rozkulbaczamy koni, nie mogą więc one wyglądać dobrze, ale zapewniam pana adjutanta, że są bardzo wytrwale i pod tym względem major Wągrocki stara się o ich dobór.

— Przecież tu na bagnie macie dłuższe wypoczynki?

— Gdzie tam! czasem dobę, czasem dwie. Nigdy dłużej i nie możemy tu nawet pozostawać, bobyśmy z głodu pomarli.

Pożegnałem się z porucznikiem Wnorowskim bardzo

miłym i grzecznym oficerem, i ruszyłem dalej. Samą wyspę, którą całą wzdłuż przeszedłem, dążąc do moich krakusów, tworzył miejscami grunt piaszczysty, miejscami mokre ale stałe torfowiska, pokryte wrzosem i trawą. Gdzieś tam rozciągały się niewielkie kałuże żółtej, bagnistej wody, tu i ówdzie łączki, pokryte soczystą trawą, krzaki olszyny i wierzby, lub całe grupy wysokopiennych grabów, olch i brzeziny, tworzące cieniste laski. Piasek niekiedy zbity był w duże wały i wzgórza, po których pięły się krzaki głogu, jeryzyn i jałowcu. Wszedłszy na jedno z takich wzgórz ujrzałem, jak okiem zasięgnąć otaczające dokoła wyspę bagnisko. Wiatr hulał swobodnie po tym obszarze, gwałt z głośnym trzaskiem trzcinę i tatarak, szła od tych moczarów woń niezdrowa, i widok tej przestrzeni dzikiej i ponurej, przygnębiająco działał na duszę.

Wreszcie doszedłem do obozowiska moich krakusów.

IX

U moich krakusów wszystko zastałem w porządku. Rozłożyli się oni wygodnie na drugim końcu wyspy, na dość suchem miejscu, wśród kilkunastu ogromnych lip. Wypoczęli doskonale i wygląd mieli rzeźki i wesoly. Dwa ogniska gorzały, a przy nich w wielkich kotłach gotowały się całe ćwierci baranów z krupami i kartoflami. Konie też miały obroku pod dostatkiem.

Obejrzawszy to i owo, wydawszy kilka rozporządzeń, ruszyłem zpowrotem, chcąc zobaczyć się z majorem Wągrockim, zasięgnąć od niego potrzebnych mi wiadomości i na ich podstawie powziąć plan dalszego działania, boć tu na wyspie pozostawać długo nie mogłem. Miałem rozkaz powrócić do armji w ciągu tygodnia lub dziesięciu dni, a z tych upłynęło już pięć i śpieszyć się trzeba było.

Tak rozmyślając szedłem wolno zpowrotem, rozglądając się po tej osobliwszej wyspie na nieprzejrzanych moczarach, gdy nagle na zakręcie ścieżki, z poza krzaków olszyny, wystąpiła naprzeciw mnie krępa postać imci pana Maciwody-Wróblewskiego. Na mój widok uśmiechnął się roztwierając szeroko swe duże, mięsiste usta i rzekł zdejmując czapkę zasmoloną i brudną:

— Jak się masz, panie Tadziku? cóż wypocząłeś dobrze?

Zawiązaliśmy ze sobą rozmowę i ja zaciekawiony jego strojem, a nadewszystko tem co mi o nim powiedział Józik Tabęcki, począłem go się wypytywać o szczegóły tej oso-

bliwszej przemiany, jaką w nim zauważyłem. Trzeba bowiem wiedzieć, że w początkach tej naszej wojny o niepodległość, ja, nim dostałem się do sztabu głównego jako jeden z adjutantów Naczelnego wodza, służyłem w piątym szwadronie drugiego pułku ułanów w stopniu podchorążego, i tam poznałem się z Wróblewskim. Był to bardzo wesóły, dowcipny kolega, wszyscy go bardzo lubiliśmy, bo zawsze był w złotym humorze, uczynny, żywy, przyjacielski, choć brzydki jak noc i śmieszny ze swym głosem kobiecym przy postawie silnej i krępej. Niebawem jednak okazało się, że Wróblewski przy całych swych przymiotach towarzyskich, był skończonym tchórzem. Gdy kule zaświstały Wróblewski bladł, trząsł się jak w febrze, zęby mu dzwoniły ze strachu, jednym słowem przedstawiał obraz szkaradnego tchórza. Pod Stoczkiem, gdzie nasz pułk tak dzielnie się spisał, Wróblewski nie poszedł do szarży, ale poprostu uciekł i nie oparł się aż w Warszawie, głosząc wszędzie po drodze, żeśmy zostali doszczętnie rozbici. Oczywiście taki fakt oburzył cały pułk bardzo, tak, że pomimo iż lubiliśmy Wróblewskiego my oficerowie zażądaliśmy od niego gremjalnie, ażeby wystąpił dobrowolnie z pułku, jeżeli nie chce, ażeby do tego kroku był zmuszony. Wyrokowi temu poddał się bez szemrania, wziął dymisję i zniknął nam zupełnie z oczów, tak że nie wiedzieliśmy co się z nim stało, gdy oto teraz przyszło mi spotkać się z nim w głębi puszczy Wyszowskiej, ubranego jak drobny mieszczanin i trudniącego się jakimś podejrzanem rzemiosłem.

— Ba! — mówił, — gdym go pytał skąd się tu wziął i co robi — cóż chcesz? w wojsku służyć nie mogłem, boście mię z niego wygnali, o co zresztą nie mam do was urazy, bo słusznie to uczyniliście. Tchórzem się urodziłem i tchórzem już całe życie będę. Na to niema rady. Ale widzisz Tadzik, ja jestem dobry Polak, kocham moją

ojczyznę i chcę jej służyć wiernie dopóki sił starczy. Skoro więc nie mogłem walczyć w jej obronie z orężem w ręku, postanowiłem inaczej użyć na jej korzyść mych sił i mych zdolności, i dlatego jestem takim, jak mię widzisz.

— Ale cóż robisz? czem jesteś? Opowiadano mi tam coś o tobie, ale ja temu nie wierzę.

— Nie wierzysz, że jestem szpiegiem? Ależ tak, kochanku, tak, jestem poprostu szpiegiem. Może się to komuś niepodobać, ale podług mnie każda służba dla ojczyzny jest szlachetną i dobry obywatel winien wszystko dla niej poświęcić, nawet honor, gdy trzeba. Ja zresztą nie uważam mego teraźniejszego rzemiosła za niehonorowe, skoro niem pożytek przynoszę moim współrodakom.

— Ale jakże do tego doszło?

— Bardzo prostą drogą. Gdyście mnie wygnali z pułku, zadałem sobie pytanie, co ja mam teraz robić, żeby przecie służyć ojczyźnie. A że słyszałem często narzekania dowódców na brak dobrych szpiegów, a stąd brak wiadomości o ruchach i sile kolumn nieprzyjacielskich, więc powiedziałem sobie, że ja takich wiadomości będę dostarczał. Pochodzę z Łomżyńskiego, znam te strony jak własną kieszeń, więc zdjąłem mundur, przybrałem się w ten oto kubrak i w te juchtowe buty, zarzuciłem moje nazwisko i pozostałem jedynie przy naszym przydomku „Mąciwo-
da“, i puściłem się w ojczyste me strony, bo w sztabie głównym oddawna z upragnieniem pożądaną wiadomości o sile i ruchach gwardji rosyjskich. Otóż masz moją historję.

— Osobliwsza historja; ale jakże ty pełnisz to twoje, przyznać trzeba, dość niebezpieczne rzemiosło?

— Że ono jest niebezpieczne, to prawda, ale od czegóż głowa na karku, a ja ją mam nie od parady. Jak ci się zdaje? na co ja wyglądam?

— Bo ja wiem! na drobnego mieszczanina... hm!... na handlarza wieprzami...

— Otóż to, zgadłeś! widać że dobrze przyswoił sobie tę rolę. Tak, tak! jestem wieprzarzem. Jedną lub dwie świnki pędzę przed sobą, zachodzę z niemi do obozów rosyjskich, mówiąc że idę z niemi na jarmark do takiego a takiego miasteczka, a wiem doskonale gdzie i kiedy odbywają się targi i jarmarki, tak, że mię na pomyłce złapać nie mogą, oczywiście zawsze w obozie odemnie kupią świnki, bo oni tam nie obfitują w żywność i radzi są memu pojawieniu się, ja się targuję zawzięcie każę sobie dobrze płacić, rozglądam się na wszystkie strony, wywiem się co mi wiedzieć potrzeba, dostaję w końcu przepustkę z pieczęciami i podpisami, i jazda dalej z trzosem dobrze nabitym. Tym sposobem służę mej ojczyźnie.

Mówiąc to śmiał się, widocznie bardzo zadowolony z siebie, ale mnie ogarnął pewien wstręt do niego. Zapewne! jest to także służba dla ojczyzny, lecz ja, choć kocham mój kraj gorąco i życie za niego w każdej chwili dać gotów jestem, rzemiosła szpiegowskiego chwycić bym się nie chciał i nie mógł. Z tem wszystkim imépan Mąciwoda mógł mi udzielić rzeczywistych wiadomości o gwardjach, postanowiłem więc skorzystać ze spotkania się z nim i począłem go o to wypytywać.

— Rozumiem ja czego ty chcesz, — odrzekł, — bo wiem dobrze z czem zostałeś wysłany w te strony. Ale tam w sztabie głównym, powiem ci otwarcie, niekoniecznie szczęśliwy zrobiono w twej osobie wybór. Ty nie masz głowy do tego i zrobiłeś już jedno, ale porządne głupstwo.

— Jakież to? — zapytałem nieco obrażony.

— A takie, że napadłeś na huzarów pod karczmą Pocięchą. Nie gniewaj się, ale muszę ci powiedzieć, że taka misja jak twoja, od której zależy bardzo wiele, bo ty może

nie wiesz, że gotuje się walna wyprawa całej naszej armji na gwardje...

— Co mówisz? — zawołałem zdziwiony — Wódz naczelny zamierza uderzyć na gwardje?

— Tak. Plan cały jest gotowy. Jenerał Prądyński go ułożył i lada dzień nasza armja wyrusza w te strony, a może nawet już wyruszyła.

— Bój się Boga! — zawołałem — a ty skąd o tem wiesz?

— Ja wszystko wiem, to moje rzemiosło. Cóż jabyłem był za szpieg, gdybym o takich rzeczach nie wiedział?

— To wielki pomysł! wielki pomysł! — zawołałem — ale przecież Dybicz ma oko na nasze wojsko i marsz na gwardje na ujdzie jego uwagi. Ruszy za naszym wojskiem, które może być wzięte we dwa ognie.

— Zapewne, może się coś podobnego przytrafić, ale ja jestem przekonany, że tym razem się nie przytrafi.

— Na czemże opierasz twe przekonanie?

— Wracam z obozu Dybicza pod Siedlcami, widziałem się z nim samym i wpoilem w niego to przekonanie, że jenerał Skrzynecki o wszystkim myśli, tylko nie o wojnie. Bądź pewny, że trzebaby jakiego nieszczęścia, albo takiego głupstwa jak twój napad pod Pociechą, by go zaniepokoić i podejrzenie w nim wzbudzić.

Ale cóż mój napad może znaczyć? — zawołałem nieco przestraszony.

— To, że pojawienie się w tych stronach jazdy regularnej i to jazdy, która zwykle stanowi eskortę Wodza naczelnego, może dać dużo do myślenia Dybiczowi. Tak, tak kochanku, głupstwo i to grube zrobiłeś. Taka misja jak twoja, powinna być cicho i niepostrzeżenie wykonana, bez wrzawy, bez bitew, milczkiem i chyłkiem. No! no! nie martw się, już ja, o ile mogłem, zapobiegłem złym następstwom twej niefortunnej wyprawy pod Pociechę.

— Zapobiegłeś? w jaki sposób?

— Dowiedziawszy się o twojem zwycięstwie zgoła niepotrzebnem, natychmiast udałem się do ich obozu w Ty-skach i tam zdołałem ich przekonać, że to Ledóchowski wysłał z Modlina parę plutonów jazdy, będącej na reformie, w charakterze podjazdu, i że ten podjazd napadł na huzarów, że oni sami sobie winni, bo nie zachowali żadnych ostrożności. Na razie uwierzono mi i taki zapewne raport wysłano do Dybicza, ale teraz z pewnością wiedzą prawdę.

— A to skąd?

— Stąd, że zrobiłeś kochanku drugie kapitalne głupstwo, którego ci już darować nie mogę, i za które wart jesteś dostać kulą w łeb.

— Jakież to głupstwo?

— Takie, żeś uwolnił wszystkich huzarów, wziętych do niewoli. Powrócili oni do swoich i opowiedzieli z kim mieli do czynienia. Tym sposobem skompromitowałeś mnie, bo mi już nie uwierzą, a nawet gdy im wpadnę w ręce, to zapewne powieszą... ale to mniejsza, ważnem jest to, że wiadomość o twojem pojawieniu się musi zaniepokoić sztab nieprzyjacielski, zaostrzy jego baczną i może cały znakomity plan Wodza naczelnego na szwank narazić. Oto są następstwa gdy oficer nie słucha danych mu rozkazów, ale rządzi się swą fantazją i krewkością. Ki licha! ja rozumiem, że tych huzarów włożyć ze sobą nie mogłeś, ale trzeba było ich pod eskortą kilku krakusów odesłać do Modlina, a pułkownik Ledóchowski rad byłby z nich, boby mu wały sypali, albo ostatecznie tu ich przyprowadzić do Wągrockiego i jemu oddać, a on by już wiedział co z nimi zrobić. Tak! tak! Tadziku, wszystko co się czyni, trzeba z rozwagą czynić.

Słowa te i uwagi były bardzo słuszne i ogarnęła mię prawdziwa rozpacz, że przez mój istotnie nierozważny krok mogłem losy ojczyzny na szwank narazić. Twarz

moja musiała wyrażać ogarniające mnie uczucie, gdyż Maćwoda uśmiechnął się i zapiszczał:

— No! no! nie martw się. Co się stało, to się nie od stanie. Cóż myślisz teraz robić?

— Co? wyruszam stąd natychmiast, wyszukam gdziekolwiek nieprzyjaciela, rzucę się na niego i zginę, bo przecież przeżyć tego com zrobił, nie mogę.

— Oszalał człowiek, przysięgam Bogu, oszalał! Zginąć chce, nowe głupstwo, gorsze od wszystkich popełnić. Ależ barania głowo! przepraszam że cię tak nazywam, ale gniewać mię zaczyna twoja niepoprawna głupota, zginąć każdy potrafi, ale pamiętaj, że nie śmierć heroiczna, ale śmierć pożyteczna jest zasługą. Pójdzie i zginie! wielka mi historia! Wy wszyscy kulki polykać umiecie, ale stąd jakiś pożytek? Dalibóg! wściekłość mię porywa, kiedy takie banialuki słyszę. I ma tu ojczyzna z grobu powstać, jeśli jej synowie z samych paliwodów i półgłówków się składają!

Był oburzony, trząsł się cały z gniewu, a kark jego jak u lwa nabrzmiał i widocznie hamował się, żeby silniej nie wybuchnąć.

— Zresztą, kończył, wolno ci, jeżeli tego pragniesz, poświęcić swoją pustą głowę, dziura się przez to w niebie i w Polsce nie zrobi, ale niewolno ci narażać na śmierć kilkudziesięciu dzielnych ludzi, którzy niejedną jeszcze przysługę mogą przynieść ojczyźnie.

Nagle, widocznie siłą woli uspokoił się, i rzekł:

— Przepraszam cię, żem ci nawymyślał, ale wszystka krew we mnie się burzy gdy kto głupstwa robi i gada, bo tu przecież o ojczyznę idzie. Radzę ci, w nocy wyruszyć z wyspy, bo siedząc tu nie spełniasz co ci rozkazano i objadasz Wągrockiego, który i tak niema co jeść. Ja tu zebrałem nieco danych co do gwardji, to ci je zakomunikuję, ale ty pomaszeruj pod Łomżę, gdzie stoi korpus Sac-

kena, a o którym ja prawie nic nie wiem, bom tak daleko jeszcze nie zachodził.

To rzekłszy obejrzał się dokoła bacznie i szepnął:

— Chodźmy w te krzaki, tam nas nikt nie zobaczy.

I ruszył przodem. Co prawda, nie wiedziałem po co i na co mam chodzić w krzaki, ale Mąciwoda taką jakąś przewagę nademną zyskał sobie, że prawie machinalnie poszedłem za nim. Byłem zresztą w takim rozpaczliwym stanie ducha, że mi wszystko jedno było, gdzie pójdę i po prostu nie mogłem o niczem myśleć.

W gęstwinie głogów, cierni i jałowca, Mąciwoda usiadł na ziemi i milcząc zdjął z nogi but, u którego zaczął odkręcać na śrubce przymocowany obcas. Mozolił się dość ciężko, bo śrubka była nieco starta przez chodzenie, a narzędzi odpowiednich osobliwszy ten człowiek nie miał i tylko palcami operował. Ja stałem przed nim nierozumiejąc co to wszystko znaczy. Spojrzał na mnie i zawołał z gniewem:

— Usiądźże do licha, bo sterczysz jak drąg i widać cię zdaleka.

Usiadłem więc i przyglądałem się w milczeniu robocie mego towarzysza, a on prawił na pół do mnie, a na pół do siebie:

— Nigdy nie można być zanadto ostrożnym, bo jakkolwiek w oddziale Wągrowckiego ludzie są pewni, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Nakoniec śrubka została odkręcona, część wysokiego obcasa odpadła, a druga część tegoż okazała się wydrążoną i z niej Mąciwoda wydobyl małeńki zwitek papieru i rozwinąwszy go podał mi.

— Masz tam najdokładniejsze cyfry oddziałów gwardji, stojących w Tyskach, Andrzejowie i Przetyczy. Oddziały w Andrzejowie i Przetyczy tworzą awangardę i dowodzi nimi generał Bistrom. Kwatera główna i główny

korpus gwardji, pod wodzą W. Ks. Michała Pawłowicza, stoi w Zambrowie i jego okolicy. Liczebność każdej broni jest tu wymieniona. Kozacy gwardjacy obozują w Wąsewie. Nie wiem tylko jaką siłę ma generał Sacken w Łomży, bo jakem ci powiedział, tak daleko jeszcze nie zachodziłem, ale twoją rzeczą jest dowiedzieć się o tem. Radzę ci więc wymknąć się stąd cichaczem w nocy, jednym wyteżonym marszem przemknąć się między Wąsewem i Ostrowem, tak żeby cię świt zastał już w lasach Gaworowa. Jeżeli ci uda się ten marsz szczęśliwie odbyć, toś na pół spełnił twe zadanie. W lasach Gaworowa dobrze ukryty przeczekać dzień, tam jest kilku leśniczych, dzielnych patriotów, skomunikuj się z nimi, oni ci dostarczą żywności i paszy dla koni i dadzą przewodników. Masz podobno pod Łomżą jakąś wioszczynę?

— Mam.

— No, więc, łatwo ci będzie tam się już obracać i zasięgnąć wiadomości. Ale unikaj starć i głupstw więcej nie rób, bo dalibóg sam się postaram, żeby ci ołowiem twą kapuścianą głowę zmyto. Mam kiepskie pojęcie o sztacie głównym, skoro takiemu jak ty paliwodzie, powierzono tak ważną misję.

Przez czas tej rozmowy Mąciwoda przymocował zpowrotem odjęty obcas, a ja zająłem się odczytywaniem wręczonej mi kartki. Pisana ona była ołówkiem i w ten sposób:

„T. 4000 złp. i 5 gr. pożyczylem na 12 dni“. „A: 1000 złp. na 6 dni.“

— Proszę cię — rzekłem, przejrzawszy te osobliwsze zapiski, ja nic tego nie rozumiem.

— Spodziewałem się tego, bo gdzieżby kniaziowska mózgownica odgadnąć mogła takie proste rzeczy. T. znaczy Tyski — 4000 złp. znaczy cztery tysiące piechoty — pięć groszy, pięć szwadronów jazdy, a 12 dni, dwanaście

armat. A. znaczy Andrzejów, i tak dalej. Rozumiesz teraz zakuta mózgownico?

— Rozumiem, ale mógłbyś przyzwoitszych używać wyrażień.

Powstał, wyprostował się, zaśmiał glucho i rzekł:

— Bądź mi wdzięczny, że poprzestaję na słowach, bo gdyby nie to, że byłeś kiedyś moim kolegą, to obowiązkiem moim jest złożyć o tobie raport do Wodza naczelnego, a tymczasem w imię dobra sprawy zażądać od majora Wągrockiego by ci odebrał komendę i pod areszt wziął za twe głupstwa.

— Major Wągrocki niema prawa tego robić.

— Ma, bo jest starszy od ciebie stopniem i tu idzie o ojczyznę. Ale co to o tem gadać. Jestem przekonany, że po nauce, jaką ci dałem, będziesz odtąd postępował ostrożnie i rozumnie a skutecznie spełnisz poleczone ci zadanie. Wiem, że w gruncie rzeczy jesteś dzielnym chłopcem, a twój napad na huzarów pod karczmą Pocięchą, mimo że był głupi, był rzeźko i odważnie wykonany.

Wyszliśmy już z gestwiny, w której Mąciwoda dokonał swej operacji z butem, i szliśmy w milczeniu ścieżką, gdy nagle mój towarzysz zatrzymał się i patrząc mi bystro w oczy, zawołał:

— Ale! ale! cóż to znowu za Żydówka, którą włóczysz ze sobą? Czy to naprawdę jest żona tego łotra Lejzora z Bud pod Pocięchą?

— Tak — odrzekłem — przynajmniej ona tak mówi.

— Dlaczego ją przyaresztowałeś? czy to prawda, że była jakaś zdrada ze strony owego Lejzora?

— Prawda.

Tu opowiedziałem Mąciwodzie, jak do mnie wpadła przerażona Żydówka Tauba, jak mię ostrzegła o zdradzie swego męża, jak wskutek tego zaraz wyruszyłem z Pocięchy i szczęśliwie dobiłem się do Siwego Bagna.

Mąciwoda słuchał w milczeniu, a gdym skończył, rzekł:

— Wszystko to jest bardzo piękne, tylko nie rozumiem po kiego licha przyaresztowałeś tę Taubę. Żydówka jest dzielną kobietą i dobrą Polką, a nawet muszę ci to powiedzieć, wysoko wykształconą, i zasłużyła za swój czyn na nagrodę, a tymczasem tyś ją uwięził.

— Wydawało mi się to rzeczą konieczną. Ja jej nie znam, a żona świadcząca przeciw swemu mężowi, jest dla mnie czemś tak podejrzanem, że dla rozjaśnienia całej tej męnej sprawy, uważałem za potrzebne zabrać ją ze sobą i oddać majorowi Wągrockiemu, jako znającemu tutejsze stosunki, by rzecz bliżej zbadał. Przytem ona sama mówiła, że mąż, gdy dowie się o jej postępowaniu, zabić ją może.

— Tak, to prawda. Znam ja tego łotra i czeka go gałęź. Już ja się o to postaram. On i mnie, jak się zdaje parę razy denuncjował do generała Bistroma, ale trafił frant na franta. No! jeżeli on to zrobił, bo dowodów nie mam, ale jak tylko je znajdę, będzie mu ciepło. Co do owej Żydówki, muszę pogadać o niej z Wągrockim. Dzielna kobieta, niezwykle zjawisko wśród Żydów, którzy w ogóle nie są przyjaźnie usposobieni dla naszej sprawy.

Powiedzże mi — spytałem — czy Major Wągrocki, może mi jakich udzielić wiadomości co do rozkwaterowania położenia i liczebności gwardji?

— Nie! on nic więcej nie wie nad to, co ja ci dałem. I mówiąc szczerze, radzę ci nie wdawać się w rozmowy z Wągrockim. Dzielny to i wytrwały partyzant, ale lis, kuty na cztery nogi i strasznie ciekawy. Gotów wydobyć z ciebie wszystko, z czem i poco zostałeś wysłany, a takie rzeczy powinny być w tajemnicy zachowywane. Przytem on jest ambitny, narzeka, że go przy awansach pomijają, gdy się więc dowie o zamiarach kwatery głównej, gotów coś takiego zrobić, co jemu się może wydać dobrem, a jednak

zamiarom tym zaszkodzi, tak jak ty naprzykład z twoim napadem na huzarów pod Pocięgą. Zdawało ci się, żeś coś mądrego i dzielnego zrobił, a to było kapitalne głupstwo. Trzymaj więc język za zębami i jak tylko noc zapadnie, ruszaj stąd natychmiast. A teraz do widzenia!

Nie podał mi ręki, bo zapewne przeczuł że jabym się zawahał z podaniem mu mojej, skłonił się czapką tylko i krokiem ciężkim i niezgrabnym handlarza nierogacizny, oddalił się odemnie.

Rady jego usłuchałem, z Wągrockim starałem się jak najmniej mówić, choć zachodził mnie z różnych stron i widocznie pragnął się wywiedzieć po co i gdzie zostałem wysłany, ale zbywałem go ogólnikami. Żydówkę Taubę oddałem mu z prośbą, by starał się rzecz całą wybadać i jeżeli okaże się prawdą, Żydka Lejzora schwytać i ukarać.

Gdy noc zapadła i nad bagnami rozpostarła się opona z mgły białej, cichaczem, w milczeniu, wyprowadziłem moich zuchów, pod przewodnictwem kapitana Michałowskiego na grunt stały.

15

X.

Pożegnałem się z kapitanem Michałowskim i podziękowawszy mu serdecznie za okazaną nam przysługę, przemówiłem do moich zuchów, uwiadamiając ich, że teraz zacznie się najtrudniejsza i najniebezpieczniejsza część naszej wyprawy.

— Konie mamy nakarmione, sami jesteśmy syci i wypoczęci — mówiłem — możemy więc dokonać tego, czego przedtem zrobić nie mogliśmy. Musimy odbyć długi i forsowny marsz, wszyć się niepostrzeżenie w sam środek kolumn nieprzyjacielskich, przemknąć się wśród nich, dotrzeć tam, gdzie nikt dotąd nie dotarł. A więc chłopcy! bacność i posłuszeństwo rozkazom waszych oficerów, bo od tego zależy nie tylko nasz los, co mniejsza, ale kto wie, może i losy ojczyzny.

Przemowa ta prosta i niewyszukana, przyjęta została przychylnie i zaraz ruszyliśmy w pochód wyciągniętym stępem. Ponieważ Józik Tabęcki znał te strony, więc zrazu był naszym przewodnikiem, ale że ja mu nie bardzo do wierzałem, czy istotnie potrafi nas dobrze poprowadzić, bo chłopak był trochę paliwoda, więc kazałem mu sprowadzić jego „pociota“, jak go nazywał, leśniczego Gąsiora Kropiwnickiego. Skoczył więc po niego i niebawem przywiódł do nas. Leśniczy ten, Mazur zatracony, chudy jak szczapa i zawiedły, z ogromnemi, obwisłemi wąsiskami, opalony od słońca i wiatrów, mruk zawołany, podjął się

przeprowadzić nas bokami między Wąsewem i Ostrowem do lasów Gaworowskich.

— Czy staniemy tam przed świtem? — pytałem.

— Można będzie, dobrze wyciągając nogi — odrzekł Gąsiorek.

Przyjechał na chudej szkapinie, z workiem zamiast siodła, ze strzemionami ze sznurków zrobionymi, ale z dwururką na plecach. Wynagrodzenia, gdy mu je zaproponował, wziąć nie chciał.

— Za co mię wielmożny pan bierze — spytał — czy to ja Żyd, albo farmazon, żebym sobie kazał płacić za przysługę naszym? Ja jestem szlachcic i wiem co to ojczyzna.

Było to zapewne najdłuższe zdanie, jakie Gąsiorek w swem życiu wygłosił i widocznie tą niezwykłą wielomównością swoją zmęczył się, bo odtąd ani słówka nie pisał i jechał na swej szkapinie milczący i posepny. Posuwaliśmy się ciągle lasami, nieraz po karkołomnych ścieżynkach, kręcąc się to na prawo, to na lewo i trzeba było istotnie takiej znajomości tych stron, jaką posiadał Gąsiorek, by z tego labiryntu dróg, przesmyków i drożyn szczęśliwie i zawsze we właściwym kierunku się wydobyć. Noc była chłodna i wietrzna; jechaliśmy też w milczeniu otuleni w nasze płaszcze, opędzając się przed snem, który nas nielitościwie napastował. Po północy księżyc wszedł i oświecał nieco drogę, z czego jednak Gąsiorek widocznie nie był zadowolony, bo mruczał coś pod nosem i niechętnie spoglądał na srebrną tarczę miesiąca.

Ciszę panującą w szeregach przerwała rozmowa, jaka zawiązała się między Budzilisem a Laskowskim. Ten ostatni, zapewne dla rozgrzania się, dobił manierki z wódką i napiwszy jej się trochę, spytał:

— Boćwinkarzu, napijesz się gorzałki?

— Dziękuję, nie chce się!

— Ki licho! co to znaczy „nie chce się“?

— To, że nie chce się.

— Po polsku zakuta głowo litewska, mówić trzeba: nie chce mi się.

— At, nie wiedzieć co! czy ja źle powiedziałwszy?

— A źle. I odtąd, uważaj, ja cię będę uczył mówić po polsku.

— Mnie nie potrzeba się uczyć, bo ja umiawszy lepiej od wszystkich Mazurów.

— Właśnie, że potrzeba i ja zrobię to poświęcenie. W marszu, nie mając czem się zająć, zacznę oświecać twoją litewską mózgownicę.

— A kysz!

— Co to znaczy a kysz?

— Co znaczy?

— Tak!

— Znaczy, a kysz!

— Rozmowa ta, która zaczęła interesować i innych, czyniła się coraz głośniejszą i zapewne potrwałaby dość długo, gdy nagle Gąsiorek zbliżył się do mnie i szepnął:

— Niech wielmożny pan każe im milczeć.

— Dlaczego?

— La tego, co bór się zaraz kończy.

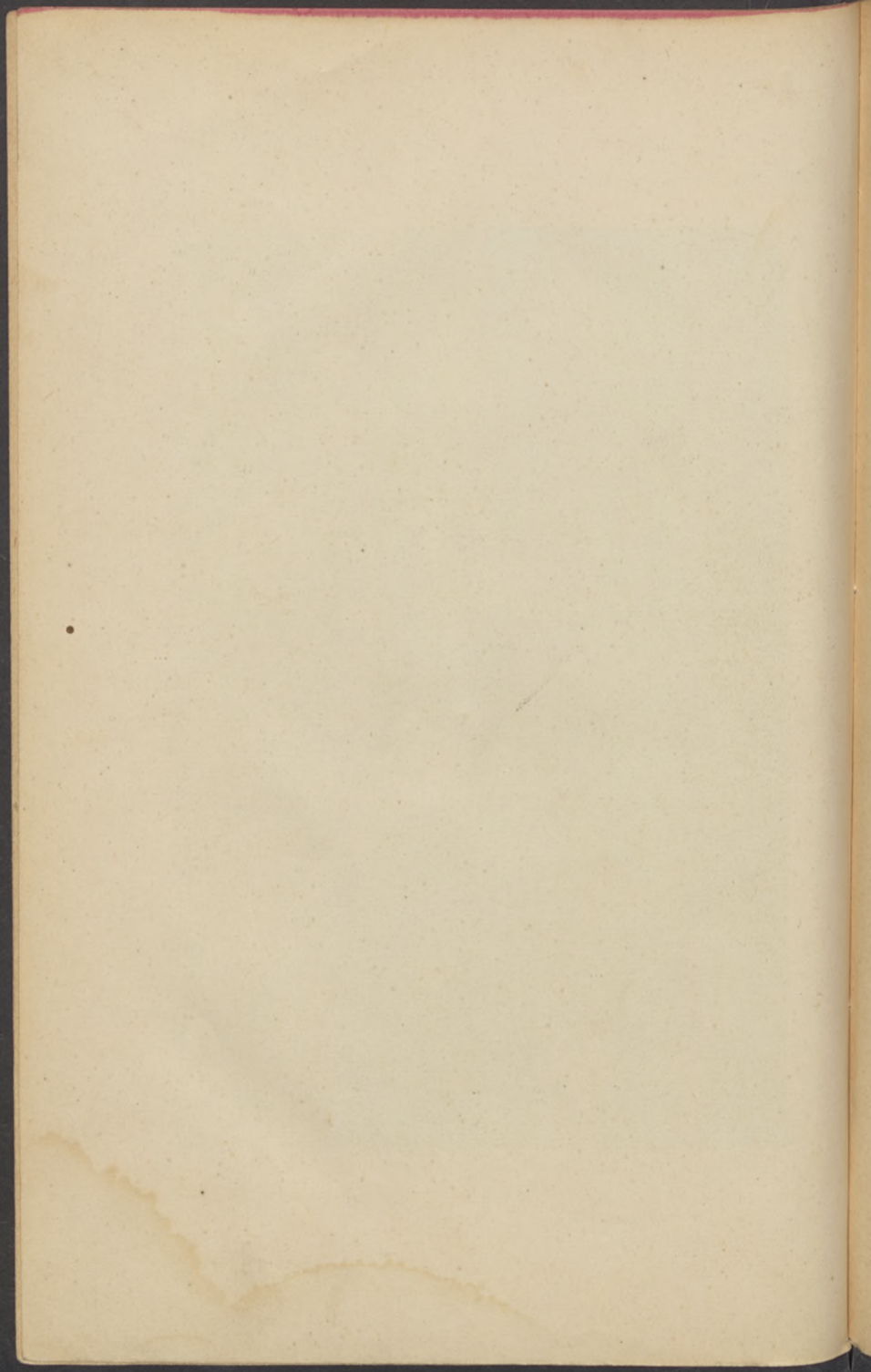
— Więc co?

— Do Wąsewa stąd niema i ćwierci mili. Trza milczeć, nie palić, dech w sobie zatrzymać.

Zrozumiałem, że zaczyna się teraz najniebezpieczniejsza część przeprawy naszej. W Wąsewie bowiem, jakem to już wspomniał, stały znaczne siły nieprzyjacielskie, cała dywizja piechoty, ulani i Kozacy. Niewątpliwą przytem było rzeczą, że za pomocą całego łańcucha posterunków kozackich, siły te miały czucie z oddziałami kwaterującymi w Ostrowiu. Chcąc więc uniknąć starcia, które mogło się zamienić w zupełną klęskę, wobec ogromnej przewagi nieprzyjacielskiej, należało w możliwej cichości przemknąć



„Bystry nasz wzrok dostrzegal sylwetę widety konnej”.



się koło nieprzyjaciela niepostrzeżenie. Było to tem trudniejsze, że właśnie kończyły się ogromne lasy, któremi dotąd po przeważnie maszerowaliśmy, a zaczynał się kraj płaski, bezlesny i przerznięty mnóstwem bagnistych strumieni, i dopiero w odległości jakiej mili za Wąsewem zaczynały się lasy Gaworowskie, które sięgały aż do Ostrołęki. Trzeba więc było przez tę Wąsewską płaszczyznę przebiec w milczeniu, z uchem natężonem i z dłonią na rękojeści szabli, okrążyć kwatery nieprzyjacielskie, widzieć wszystko a samemu nie być widzianym. Na nieszczęście noc była bardzo jasna, księżycowa i gdyśmy stanęli na skraju boru, cała okolica kąpała się w srebrzystej poświacie miesiąca i widno było jak w dzień. W Wąsewie, którego dachy czerniały na wznórz, błyszcząco w oknach nieco światła, które swą czernonością rażąco odbijały się od zamglonego pyłu srebrzystego, jakim księżyc przyodził tę noc cichą, zadumaną, noc majową, przepelnioną zapachami roślin, rozplakaną tkliwym śpiewem słowika. A my, w taką rozmarzoną noc, zamiast napawać się jej urokami, staliśmy z uchem czujnym, ukryci w posepnych mrokach leśnych, niby duchy, niby upiórów gromada. W oddaleniu, po naszej prawej, widać się srebrzystą linią, niby wstęga biała wśród ciemnej pól zieloności, szeroki gościniec i bystry nasz wzrok dostrzegł na niej sylwetkę widety konnej.

Zaniepokoiło mię to mocno; wydało mi się rzeczą niemożliwą przesunąć się przez tę jasno oświetloną płaszczyznę tak, by nas wideta owa nie dostrzegła. Zakomunikowałem tę obawę moją Gąsiorkowi, ale on spojrział na nieruchomie stojącego wartownika i machnął ręką, dodając:

— Tego kpa się wielmożny pan boi?

— Bać się nie boję, ale sądzę, że trudno będzie przemknąć się przez te pola, bez zwrócenia jego uwagi.

— Niech wielmożny pan będzie spokojny, nie zobaczy on nas wcale. Przejdziemy kole niego tak, że...

W teje chwili urwał, wyprostował się na swem improwizowanym siodle, słuchał przez parę sekund i zaklął:

— A bodajże cię wciurności!

Nadstawiłem i ja uszów, ale nic nie słyszałem. Las szumiał melancholijnie podawnemu, słowik gdzieś w krzewinie nucił swe trele, w naturze, jak zwykle w nocy cichej, drżały nieuchwytnie głosy i szepty, ale ponadto nic więcej nie zakłócało sennego milczenia przyrody. Jednakże, gdy blask księżyca padł na twarz suchą i zawiedłą starego Gąsiorka, zauważyłem na niej wyraźne zaniepokojenie. Przez chwilę nieruchomy, zda się cały w słuch przemieniony, nagle zeskoczył szybko i zręcznie ze swej szkapy, która stała nieruchomie ze łbem melancholijnie na dół spuszczoneym, i położywszy się na ziemi, przytknął do niej ucho. Wszyscy na to patrzyliśmy w niemem milczeniu i czuć było, jak po szeregach mych dzielnych krakusów przebiega dreszcz niepokoju. Zauważyłem przytem, że Bajbuza, który z Józikiem Tabęckim ciągle się przy mym boku znajdowali, siedział także nieruchomie na swym wielkogłowym koniu i otworzywszy szeroko usta, zdawał się być całkiem wsłuchany w jakieś odgłosy dalekie, których ja, mimo usiłowań uchwycić nie mogłem. Co większa, jednocześnie Tatar cicho i sprawnie począł odwiązywać od łęku kulbaki, swój straszliwy arkan, i był w tej chwili podobny do jastrzębia, gotującego się do skoku na upatrzoną zdobycz. Wszystko to widzieliśmy, a nierozumiejąc zgoła postępowania Gąsiorka i Bajbuzy, byliśmy coraz bardziej zaniepokojeni niebezpieczeństwem, które nam widocznie groziło, a którego odgadnąć w żaden sposób nikt z nas nie mógł. Mimo to jednak instynktownie niejako odczuwając potrzebę jak najcichszego zachowania się, wszyscy milczeliśmy jak zakłeci, tłumiąc dech w sobie, podobni do skamieniałych ry-

cerzy z bajki, lub do widm jakichś w tej mrocznej ciemni leśnej.

Wreszcie Gąsiorek powstał i zbliżył się do mnie. Pochyliłem się na koniu i spytałem go szeptem:

— Co to wszystko znaczy? czego się asan obawiasz?

— A to wielmożny panie, że ktoś jedzie wprost na nas.

— Gdzie?

— A tam! i wskazał ręką w kierunku naszej lewej.

— Sądziś asan, że to nieprzyjaciel?

— A któżby inny?

— Czy dużo ich jedzie?

— Tylko trzech! — wtrącił się Bajbuza.

— Trzech? — zawołałem — toż przecie obawiać się nie mamy czego?

— Pewnikiem, że nie — odparł drapiąc się po głowie Gąsiorek — jeno będzie krzyk.

— Nie będzie — znów wmieszał się do rozmowy Bajbuza i zwracając się do mnie wyszczerzył swe białe zęby, co przy ciemności nocnej i przy jego brązowej twarzy, robiło wrażenie wilka warczącego gniewnie, i spytał:

— Pan porucznik przykaże, to ja ich na arkan wezmę.

Nie podobało mi się wogóle, to chwytnie ludzi jak psów na stryczek, ale w tej chwili i w mojem położeniu, było rzeczą konieczną unikanie bezpożytecznych starć, które na mnie mogły zwrócić uwagę nieprzyjaciela, w środku kolumn którego znajdowałem się właśnie. Najmniejszy nierozważny krok z mej strony, mógł mi zwalić na kark taką przemoc, że noga by nie uszła, co mniejsza, ale coby całą moją misję w niwecz obróciło. Jednakże zawahałem się zrazu z przyjęciem propozycji Bajbuzy.

— Czy nie możnaby tych trzech nieprzyjaciół wyminać? — spytałem Gąsiorka.

— Jużć! — mruknął — możnaby, ale stracilibyśmy półgodziny czasu, a dzień się zrobi za dwie godziny, a do

lasów Gaworowskich mamy jeszcze półtrzeciej mili i to po piaskach. Akuratnie jadą na nas.

— Ki licha! — zauważył Laskowski — cóż to znaczy trzech jeźdźców? przecie to nie może być podjazd? Nic tego nie rozumiem.

— Tam jest dwóch żołnierzy i jeden cywilus — znów wtrącił się Bajbuza.

— A ty skąd wiesz o tem? — spytał Laskowski.

Bajbuza jeszcze raz wyszczerzył zęby, co niby uśmiech oznaczało, i rzekł:

— Ja slysę.

— Słyszysz? co słyszysz?

— Dwa łoszaki ostro kute i ciężkie; dragońskie łoszaki, i szable brzęczą, a jeden mały i lekki i nie nie brzęczy. Ja slysę, dobrze slysę.

— On prawdę mówi — dodał Gąsiorek.

A Bajbuza już trzymał arkan w ręku i patrzył na mnie swemi maleńkimi ukośnemi, jak noc czarnemi oczkami, z wyrazem psiej wierności i pytał:

— Pan porucznik przykaże, to Bajbuza Hrybunowicz na smyczy ich przywiedzie.

— Rakarz! jakim Józef Jurczyk Tabęcki, rakarz! — zawołał Józik.

Rozgniewało mię to, bo chłopak dość głośno ze swym dowcipem się odezwał, i zawołałem:

— Milczeć tam!

A zwracając się do Bajbuzy, rozkazywałem:

— Ruszaj, tylko bez krzyku!

— Nawet ptak z gałęzi się nie zerwie — zapewnił Bajbuza i zeskoczył zwinnie i lekko ze swego garbonosego konia, którego poklepał ręką po karku, coś mu szepnął do ucha i zwierzę, jakby zrozumiało swego pana, wyprostowało się, łeb podniosło i stało nieruchome, węsząc tylko

niespokojnie nozdrzami. A Bajbuza kiwnął niezgrabnie palcem na Józika i spytał:

— Pan porucznik przykaże Józikowi iść ze mną?

— Niech idzie.

— Zleż z konia!

Józik zeskoczył na ziemię, a Bajbuza wziął go pod rękę i ruszyli niby dwaj przyjaciele, udający się na przechadzkę z minami uśmiechniętymi i swobodnymi. Tatar coś szeptał do ucha chłopcu, a przesuwali się wśród krzaków jak cienie, bez najmniejszego szelestu i niebawem zniknęli nam z oczów w ciemnościach leśnych. Na szczęście w tejże chwili duża czarna chmura zakryła księżyc i cała dotąd widna płaszczyzna, kąpiąca się w srebrzystych, jakby półsennych blaskach miesiąca, pokryła się nieprzejrzanym płaszczem nocy czarnej. Gdzieś tylko w oddali, w Wąsewie, parę okien czerwonym światłem, niby oczami krwawemi jakiegoś zwierza potwornego, patrzyło z ciemności.

Ogarnęło nas po rozmowie, przyciszonym zresztą głosem prowadzonej, niczem nie zakłócone milczenie. Las nawet przestał szumieć, a słowik przerwał swe słodkie trele; my wszyscy wstrzymaliśmy dech w sobie i z dręczącym niepokojem oczekiwaliśmy rezultatu wyprawy Bajbuzy i Józika. Już teraz wyraźnie dochodził tupot kopyt końskich, coraz bardziej zbliżający się do nas, a nawet zdawało mi się, przy nadzwyczajnem natężeniu wszystkich mych nerwów, że słyszę rozmowę owych tajemniczych jeźdźców. I nie myliłem się; w parę sekund potem dobiegały już pojedyncze wyrazy. Jeźdźcy owi jechali stępą i czując się bezpieczni głośno i swobodnie między sobą rozmawiali. Rozróżniałem już gruby bas jednego z mówiących, nawet usłyszałem wyraźnie jak zawołał głośno:

— *K'czortu wsio eto!*

A zaraz potem odpowiedział mu gardłowy, chrapiący,

cienki głos drugiego, co usłyszawszy Gąsiorek, szepnął mi do ucha:

— To głos Lejzora z Bud pod Pocięchą. A huncfot! i zacisnął pięście i pogroził niemi w kierunku skąd głosy pochodziły.

— Lejzora? szpiega? pewny tego asan jesteś? — spytałem zdumiony.

— Czym pewny? Ja jego głos poznałbym wśród tysięcy innych. To on, przysiąc gotów jestem.

— Ale co on tu robi?

— Kat go wie! cóżby innego, na przeszpiegi jedzie.

Tymczasem jeźdźcy musieli być już bardzo blisko, bo nawet słyhać było, jak jeden z nich półgłosem śpiewał ukraińską piosnkę:

*U susida chata bila
U susida ženka mila,
A u mene ni chateńki
Ani szczastia, ani ženki.*

Nuta tej rzewnej piosnki, smętna i żałośliwa, dziwnie roztkliwiająca robiła wrażenie wśród boru, w nocy, i z tem przeświadczeniem, że nad tym śpiewakiem, Ukraińcem zapewne, zagnanym losami wojny na piaski mazurskie, wisi w tej chwili arkan tatarski. Rozmowa basa z gardłowym swym towarzyszem, o którym już teraz nie wątpiłem, że jest to Lejzor, mąż Tauby, niecny zdrajca i szpieg, trwała dalej, melancholijny Ukrainiec nucił swą piosnkę i odległość dzieląca nas od nich musiała być już niewielka, bo słyhać ich było doskonale, gdy nagle, rozległ się głuchy świst w powietrzu, okrzyk: „Hospodi Boże!“, tupot koni, gwałtowny łoskot, jakby coś ciężkiego upadło na ziemię, przeraźliwy wrzask: „Aj waj mir!“ i cisza. Coś się tam jeszcze w głębi boru przed nami przez chwilę szamotało, dawały się słyseć ciężkie oddechy, jakieś rżęzenie, szarpa-

nie się, łomot łamanych gałęzi, ale niebawem wszystko to umilkło.

W tymże czasie czarna chmura, dotąd zakrywająca księżyc, przewaliła się przez jego srebrzystą tarczę i znowu cała okolica zajaśniała mglistym jego blaskiem, pełnym nieopisanego uroku, jakąś tajemniczością nieskończoności wszechstworzenia. Ponieważ walka, jaką stoczyli Bajbuza i Józik, z jeźdźcami nieprzyjacielskimi, nie odbyła się bez pewnej wrzawy, której każdy odgłos straszliwym niepokojem odbijał się w mej piersi, więc gdy księżyc znowu rozświetlił okolicę, spojrzałem na sylwetkę widety nieprzyjacielskiej na drodze, prawie pewny, że nie mogło ujść jej uwagi to, co się przed chwilą w lesie działo. Ale na szczęście zauważyłem, że jeździec, wartujący zachował swą nieruchomą i spokojną postawę, co dowodziło, że nic nie słyszał, bo widzieć, rzecz prosta, nic nie mógł. Odległość była dość znaczna; w naturze, w jej nocnej ciszy rozlegały się nieustannie tysiączne odgłosy tajemniczego pulsu życia utajonego, by jakieś głucho, stłumione echo tragicznej walki, w głębi boru przed chwilą stoczonej, mogło dojść do uszów drzemiącego zapewne wartownika. Stał on tak samo jak przedtem spokojnie i nieruchomie na swym koniu, cały otulony w mgłę srebrzystej poświaty miesiąca, który na jego hełmie i na lufie jego karabinka, zapalał co chwila drżące, łagodne blaski.

Uspokojony pod tym względem całą uwagę teraz zwróciłem na ciężkie kroki ludzi i koni, szybko zbliżających się ku nam. Widocznie Bajbuza i Józik ciągnęli z wysiłkiem po ziemi zduszonych jeźdźców nieprzyjacielskich, bo słysać było ich ciężkie oddechy i łomot łamanych gałęzi i szuranie ciał wleczonych i tętent rwących się, wystraszonych koni. Nagle rozległ się stłumiony ale wyraźny głos:

— A niechże nam kto pomoże, bo rady sobie dać nie możemy.

— Wołał tak Józik. Na krzyk jego pierwszy skoczył Polikarp Budzilis, a za nim Hrehory Huryło, poskoczyłem też i ja, a za mną Wicus Turski i Laskowski, i oto co ujrzeliśmy. Na drodze leżały rozciągnięte dwa ciała strzelców konnych nieprzyjacielskich, zwanych pospolicie dragonami, bezwładne zupełnie, zduszone arkanem Bajbuzy, który z wysiłkiem ciągnął je po ziemi, Józik zaś trzymał jedną ręką za kark dygocącego, na pół omdlałego ze strachu, mizernego, chudego Żydka, a drugą ściągając cugłami karego konia dragońskiego i małą, nędzną, chłopską szkapę. Drugi koń dragoński, szedł luzem i spokojnie, przyzwyczajony widać do towarzystwa pierwszego, który się nieco opierał i szarpał. W jednej chwili dopomogliśmy zmęczonemu Józikowi: Żydka, który iść już nie mógł ze strachu porwał potężną swą łapą Hrehory, mrużąc:

— A tuś mi psia wiaro!

Ja kazalem dragonów rozpętać z arkana, bo się już dusili, konie porwali moi krakusi, a my oficerowie i Gąsiorrek, odbyliśmy zaraz na miejscu naradę co czynić z jeńcami.

XI.

Narada była krótka, bo Gąsiorek naglił do dalszego marszu, żeby jeszcze przed świtem okrążyć Wąsewo i dopaść lasów Gaworowskich. Ostatecznie postanowiliśmy wziętych do niewoli dragonów zostawić przywiązanych do drzewa, co oprócz krótkiej nieprzyjemności, nie groziło im żadnym niebezpieczeństwem, gdyż wcześniej czy później ktoś musi ich zobaczyć i uwolnić — Żyda zaś szpiega zabrać ze sobą, wywiedzieć się od niego po co i dokąd jechał i przy pierwszej lepszej sposobności oddać w ręce władz cywilnych, żeby się tam z nim załatwiły, bo ja nie miałem ani chęci ani czasu potemu, by się losem i sądem wstretne go szpiega zajmować.

Dwa konie dragońskie zabraliśmy ze sobą; szkapa zaś na której jechał Lejzor, uciekła, szukać mi jej nie było warto. Lejzor wsadzony na konia, oddany został pod opiekę i dozór Bajbuzy i Józika, a byłem pewny, że oni mu uciec nie dadzą. Żyd zresztą był mocno wystraszony, dygotał cały mówiąc, że to z „żymna“; w rzeczy samej noc przed świtem zrobiła się przejmująco chłodna. Nakazawszy moim zuchom zachowywanie możliwej cichości, ruszyliśmy w Imię Boże naprzód. Na szczęście, księżyc zaszedł, wielkie mgły rozlały się po nagiej płaszczyźnie, tak, że z trudnością mógł nas kto dostrzec. Maszerowaliśmy przez pola zieloną runią pokryte, wąskimi miedzami i drożynami, przeszliśmy w bród przez jakiś strumyk grzązki i po godzinie takiego marszu okrążyliśmy szczęśliwie i niepo-

strzeżenie Wąsewo. Na wschodzie niebo bieleć poczęło, gdy znaleźliśmy się na szerokim, piaszczystym gościńcu, a w dali przed nami czerniał na skraju horyzontu las duży. Gąsiorek wskazał na niego i mruknął:

— To lasy Gaworowskie.

— Chwała Bogu — rzekłem — spoczniemy sobie bezpiecznie.

— Nie trzeba krzyczyć: hop! dopóki rów nie został przeskoczony — odezwał się na to Gąsiorek — i radziłbym wielmożnym panom ruszyć teraz rysią, bo jeno patrzeć, jak dzień się robi, a do lasu jeszcze kawał drogi. Byłoby głupio z przeproszeniem, gdybyśmy przepłynawszy całe morze, u brzegu utonęli.

Uwaga była słuszna i nakazałem klusem ruszyć. Porwaliśmy się z brzękiem i chrzęstem, a wiatr, który się zerwał nad ranem całował nasze trójbarwiste chorągiewki i miotał niemi rozgłośnie. Niebo na wschodzie rumienić się poczęło i złotymi pręgami ciskać, po polach szedł jakiś świeży, szeroki oddech, budzącej się do życia natury. Niebawem skowronki wśród zielonej runi wiosennej, ćwierkać zaczęły, a za nimi cały chór ptactwa witał wschodzącą gwiazdę poranną. Mgły tylko leżały jeszcze ciężkim, białym całunem nad ziemią i ukrywały w swem wilgotnem łonie, garść naszą, garść stracenców polskich, którzy we własnej niestety! ojczyźnie, jak duchy lub widma przemykać się musieli.

Dzień już był zupełny i słońce mocno dogrzewać zaczęło, gdyśmy wreszcie dopadli lasów Gaworowskich. Odetchnąłem swobodniej, gdy się ujrzał pod cieniem olbrzymich sosen, świerków i jodeł tej wielkiej jeszcze w owe czasy puszczy, która z jednej strony nieprzerwanem pasmem ciągnęła się aż pod Śniadowo i Zambrów, z drugiej pod Ostrołękę i Łomżę. Północną jej część, w której leżała moja wioszczyzna Mokre, znałem dobrze, i bylebym

się tam dostał, już bez przewodnika mógłbym się doskonale obejść. Ileż to razy ze strzelbą na ramieniu, zaopatrzone w trochę żywności, brodziłem całymi dniami po tych borach ścigając zwierzynę. Ale tutaj, w południowej części Ostrołęckiej (bo tak się właściwie zwała) puszczy, nie dalbym sobie rady, bo jej wcale nie znałem. Ale bądź co bądź spadł mi ciężki kamień z serca, gdym się ujrzał w tych szumiących borach, bom się czuł tu zupełnie bezpieczny. Szliśmy jeszcze wąskimi ścieżkami, ciągle kręcąc, blisko milę, aż nakoniec w największym gąszczu leśnym, natrafiliśmy na obszerną, mokrą polankę, przez którą sączył się błotnisty strumyk. Nad strumykiem tym na piaszczystym wzgórzu stała chałupa leśnika, otoczona ostrokołem, ze stodółką, oborą i stogiem siana. Ogromne dwa psy owczarskie poczuły nas zdaleka, bo ujadły zawzięcie i głos ich słyszeliśmy już w znacznej od chaty odległości. Ich to szczekanie zapewne wywabiło na drogę samego leśnika, człowieka ogromnego, zarosłego jak dziki, w czapce lisiej na głowie, choć to był maj, wystrzępionej i spłowiałej. Stał na ścieżce z dwururką na ramieniu, z ręką do czoła przyłożoną, zasłaniając oczy od blasku słonecznego i wzrokiem surowym ale spokojnym, patrzył na nas zakurzonych, zabłoconych i zmęczonych mocno. Gdyśmy do niego podjechali, zdjął swą lisią i wyżółkłą czapę z głowy i stał tak milczący, a wiatr siwawe kosmyki włosów rozwiewał mu na wszystkie strony i szarpał długimi obwisłymi wąsiskami.

— Kumie Latoszku — odezwał się Gąsiorek — przyprowadzam wam gości.

— Z Bogiem! — mruknął kum Latoszek.

— Bezpiecznie tu u was? — pytał dalej Gąsiorek.

— Hm! strzeżonego Pan Bóg strzeże — odparł Latoszek.

Nadjechałem i ja bliżej, a Gąsiorek wskazując na leśnika, rzekł:

— Mój kum, Latoszek Skoraszewski, a na chrzcie świętym Kazimierz, gajowy tuteczny.

Kum Kazimierz Skoraszewski, przewzany obyczajem drobnej szlachty mazurskiej Latoszkiem, stał ciągle milczący, surowy, poważny. Te wielkie bory, życie w samotności na lonie na pół dzikiej przyrody, naznaczało leśników tutejszych piętnem jakiejś wielkiej powagi, surowości i milczenia. Na pytanie moje czy możemy bezpiecznie zaobozować koło jego chaty, po krótkim namyśle odrzekł.

— Za zupełne bezpieczeństwo nie ręczę, bo niedalej, jak onegdaj o ćwierć mili stąd, widziałem kozuniów, ale zrobi się co można. Mam dwóch chłopaków, smarkate to jeszcze, ale czuje jak trawa rośnie. Wyślę ich na zwiady. No! niech wielmożny pan każe żołnierzynom zleźć z koni i proszę za mną do izby. Czem chata bogata tem rada.

I zawrócił mrużąc:

— Gość w dom, Bóg w dom.

Rozłożyliśmy się tedy obozem na polance, a ja pytałem Latoszka czy ma obrok dla koni i żywność dla ludzi. Podrapał się po głowie i rzekł.

— Jużcie siano i koniczyna jest, ale owsa niema. Ale niech się wielmożny pan nie kłopotce. Dla swoich wszycko się znajdzie.

To rzekłszy huknął głośno:

— Franek! sam tu do mnie!

Z za węgła chałupy wypadł jak z procy chłopak może dwunastoletni, boso, z gołą głową okrutnie rozczochraną, i stanąwszy przed Latoszkiem, spytał:

— Co oni chcą?

— Biegaj zaraz w bór do somsiadów, żeby w mig dostawili, co tko ma. Owsa, sieczki, krup, kaszy, słoniny, co tko ma. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Jenó duchem!

Chłopak zakręcił się na pięcie i frunął w las pogwizdując głośno, a Latoszek kłaniając się, prosił mnie i oficerów do izby.

— Moja nagotuje mleka, zrobi jajecznicy ze skwarkami, to se wielmożni panowie podjedzą, nim ta somsiady dostawią wszyckiego.

Weszliśmy tedy na podwórze obejścia, a z izby, z otwartego okna dobiegał nas stuk i wcale miły, rzewliwy głos kobiety, śpiewający nieco monotonnaie znaną mazurską kołysankę.

„U kacóra
Srebrne pióra.
U kacuski
Złote nóżki“.

Kołysanka ta przypominała mi moje lata dziecinne, kiedy tą piosenką niańka moja usypiała mię do snu. Śpiewająca, zapewne żona leśnika, miała głos miękki, smętny i w tej ciszy majowego poranku, przy moich nerwach, nastrojonych jak struny skrzypiec do najwyższego tonu, oddziałł on na mnie tak, że łzy miałem w oczach. Ale już weszliśmy do izby i Latoszek wołał na swoją:

— Andziu, gotuj mleko i rób jajecznicę, jeno duchem, bo wielmożni wojacy są głodni.

Andzia chuda, szczupła, zawiędła kobiecina, zerwała się od kołyski i dużemi z błękitnymi jak niebo oczami, wpatrzyła się w nas z pewną trwogą, ale zaraz starła fartuchem stół i ławy obok niego i wdzięcznym giestem zapraszała nas do odpoczynku. Niebawem stanął przed nami garnek duży gorącego mleka, bułka chleba razowego, serrek i wielka miska jajecznicy. Latoszek zaś wydawał moim zuchom siano i koniczynę i rozpałał ogniska, przy których

ustawiano kotły z kaszą, bo kaszy znalazło się u leśnika dosyć, na tymczasowe śniadanie, nim Franek od „somsiadów“ sprowadzi więcej żywności. Co do nas, najedliśmy się do syta mlekiem i jajecznicą, a że byliśmy zmęczeni marszem nocnym, każdy z nas oglądał się za jakimś miejscem do spoczynku. Czulem się tu zresztą w głębi tej puszczy zupełnie bezpiecznym, zwłaszcza, że Latoszek mię zapewnił, że drugi jego chłopak Pietruś chodzi po boru i pilnuje, a też „somsiady“, jak się dowiedzą, że nasi w lesie obozują, na wszystkie strony rozesłą chłopaków i dziewuchy i sami też strzec będą, by „wojakom naszym, co się za ojczyznę biją, nijaka krzywda się nie stała“. Ubezpieczony więc w ten sposób i uspokojony, myślałem już o spoczynku, gdy Mazur Laskowski przypomniał mi szpiega, Żydka Lejzora i nagłą potrzebę wybadania go. Przyznaję się, że do wszelkich śledztw nie miałem ani chęci, ani zdolności, więc rzekłem do Laskowskiego:

— Weź ze sobą Budzilisa i Hrehorego i wybadajcie tego huncfota.

Sam zaś zaproszony przez żonę leśnika, poszedłem do alkierza i położyłem się na łóżku, pod samą niemal powalę wysłanem pierzynami i poduszkami. Ale choć łóżko było wygodne, usnąć jakoś nie mogłem. Byłem zanadto znużony, zanadto zaniepokojony tem jaki koniec moja wyprawa karkołomna weźmie i wreszcie tem, że zbyt długo ona trwa, że właściwie trzymając się ściśle rozkazu powinienem już maszerować zpowrotem. Z drugiej jednak strony wydawało mi się rzeczą konieczną dotrzeć do Łomży i wywiedzieć się, jakie tam siły nieprzyjacielskie się znajdują. Nakoniec przyznać się muszę, że pragnąłem gorąco dostać się do Mokrego, mej wioski rodzinnej, i stamtąd wysłać mego starego podstarościego do Łomży, pewny, że on wywie się o wszystkim doskonale i należytego zasięgnie języka. Z Mokrego dopiero, zamierzałem

rozpocząć odwrót, niemniej zapewne niebezpieczny i długi, jak mój marsz z Jędrzejowa pod Łomżę.

Takimi myślami byłem zajęty leżąc na miękkich poduszkach Łatoszkowej, gdy wszedł Laskowski. Miał minę poważną i jakoś niespokojną. Wszedł, rzucił czapkę na stół, usiadł na zydlu i spytał:

— Nie śpisz?

— Jak widzisz, ale czegożes taki kwaśny?

Nie odpowiedział mi wprost na moje pytanie, tylko rzekł:

— Badaliśmy tego łotra Lejzora.

— I cóż?

— Dziwne rzeczy prawi.

— Jakie? — mówże do licha!

— Opowiada, że już wczoraj rano do sztabu nieprzyjacielskiego w Wąsewie, a bawi tam teraz sam komendant gwardji, W. Ks. Michał... wyobraź sobie, jakie nam groziło dziś w nocy niebezpieczeństwo! niech лихо weźmie...

— To prawda. Anim przypuszczał... powiadasz, sam W. Ks. Michał?

— Tak mówi Lejzor szpieg.

— Do kroćset. To tam dziś musi być w Wąsewie rejwach, gdy znaleziono dragonów powiązanych i Lejzor zniknął.

— Pewnie, że musi być rejwach i dlatego radziłbym nie popasać tu dłużej.

— Wszędzie jednakowe grozi nam niebezpieczeństwo — odrzekłem chłodno — a tu w puszczy mniejsze niż gdzieindziej. Przytem ludzie i konie potrzebują odpoczynku. Ale cóż więcej od Lejzora się dowiedziałeś?

— Otóż opowiada on, że już wczoraj rano przyszła do sztabu w Wąsewie wiadomość, jakoby cała armja polska przeszła pod Serockiem Bug i maszeruje na gwardje i że przy armji znajduje się wódz naczelny, generał Skrzy-

necki. Wiadomość ta, miała w Wąsewie wyrzucić wielkie wrażenie, ale mnie się to nie wydaje być prawdą. Jak sądzisz, czy to możliwe?

— Sądzę, że możliwe.

— Na czemże opierasz twój sąd?

— Na wielu rzeczach.

Odpowiadałem półsłówkami, ale wiadomością tą byłem zaniepokojony. Uważałem ją za prawdziwą, boć przecie i na Siwem Bagnie, już mi o tym planie wyruszenia na gwardje mówił Mąciwoda, samo zresztą wysłanie mnie dla zasięgnięcia języka o rozstawieniu i sile gwardji, najlepiej świadczyło, że takie zamiary w kwatremistrzostwie polkiem żywiono i chciano je w wykonanie wprowadzić. Niepokój mój nie z tego powodu powstał, ale stąd, że ja mej misji tak szybko jak mi polecono nie wykonałem i potrzebnych sztabowi wiadomości nie przyniosłem. Co powie na to Wódz Naczelny? ale już na to rady nie było. W głębi duszy, leżąc na łóżku leśnika, postanowiłem sobie bądź co bądź, czy w rzeczy samej cała nasza armja maszeruje na gwardje, czy nie, dotrzeć do Łomży. A tymczasem Laskowski mówił:

— W sztabie rosyjskiem w Wąsewie nie bardzo wierzą tej wiadomości. Przypuszczają, że może jakiś niewielki oddział polski przeszedł Bug w celu jakiejś nieokreślonej demonstracji i nic więcej.

— A nie powiedział ci Lejzor, kto tę wiadomość przyniósł do Wąsewa?

— Pytałem go o to, ale powiada i zaklina się na wszystko, że nie wie, — że jednak zdaje mu się, że w obozie rosyjskim był jakiś łyk z Rożana i, że po jego bytności wieść o marszu armji polskiej rozbiegła się po sztabie.

— A on nie zna tego łyka?

— Nie, twierdzi, że nie zna.

— Wydaje mi się to mocno podejrzanem. Cóż dalej? Dokądże on sam jechał z dragonami?

— Do Ostrowa. Wysłano go, aby uwiadomił o tych pogłoskach jenerała Biströma, i żeby sam z Ostrowa puścił się na przeszpiegi, dla zasiągnięcia bliższych danych i sprawdzenia o ile wiadomość o marszu całej armji polskiej jest prawdziwą.

— A cóż znaczyli ci dwaj dragoni przy nim?

— On powiada, że nie wie po co mu dodano dragonów. Ale mnie się zdaje, że nie bardzo mu ufają w sztabie rosyjskim i dodano mu dwóch aniołów stróżów, żeby nie zdradził.

— Hm! hm! jeżeli go z dragonami wysłano do Ostrowa dla uwiadomienia Biströma o pogłosce, to musiano mu dać jakąś ekspedycję, jakieś pismo lub coś podobnego.

— I mnie to przyszło na myśl i pytałem go o to surowo, ale uroczyście zapewnił, że żadnego pisma, ani jemu, ani dragonom nie dano.

— Kto wie? trzeba go było zrewidować.

— Oczywiście, żem go kazał zrewidować, a Bajbuza tak się wziął do tego gorliwie, że Żyd nic ukryćby nie mógł.

— Więc nic nie znaleziono?

— Nic. Ja sędzę, że Żyd prawdę mówi. Twierdzi on, że w sztabie w Wąsewie wiedzą o pojawieniu się naszym w tych stronach...

— No, to nic dziwnego, zwłaszcza po utarczce pod Pocięchą.

— Właśnie, i choć nie mogą w żaden sposób odgadnąć celu naszej wyprawy, jednakże wydano surowe rozkazy, aby się wszędzie miano na bacności i szukano nas pilnie. Otóż, Żyd utrzymuje, że dlatego nie dano ani jemu, ani dragonom żadnego pisma do Biströma, bo lękano się by nie wpadli w ręce nasze, co się w rzeczy samej stało.

— I nic więcej Żyd nie powiedział?

— Nic więcej.

— To dobrze. Każ go ostro pilnować, a nocą po całodziennym odpoczynku, ruszymy dalej.

Laskowski przez chwilę nic nie mówił, wreszcie rzekł:

— Słuchaj Tadzik, jabym ci radził dwie rzeczy zaraz zrobić?

— A mianowicie?

— Żyda obwiesić i za godzinę stąd wymaszerować.

— Nie! ani tego, ani tego nie zrobię.

— Ha! jak chcesz, ty odpowiadasz za wszystko. Dobranoc.

Wstał, skłonił się i z miną bardzo niezadowoloną wyszedł. Zostałem sam z mojami, wcale niewesołymi myślami, zanurzony w puchy Latoszkowej. Ze dworu dochodził gwar moich zuchów, brzęczenie szabel, szum poważny boru, i oczy mi się do snu kleiły. Niebawem zabrzmiała melancholijna kołysanka Latoszkowej:

U kacóra
Srebrne pióra
U kacuski
Złote nóżki.

I przy jej monotonnym dźwięku mocno zasnąłem.

XII.

Dzień ten spokojnie przepędziliśmy. wypoczęci i nakarmieni dobrze, wieczorem wyruszyliśmy dalej. Parę mil przewodniczył nam Latoszek, ale gdyśmy dostali się w lasy Nadborskie, które znałem już doskonale, pożegnałem go i sam moich zuchów prowadziłem. Maszerowaliśmy zwykle całą noc, a dzień ukryci w jakim ostępie leśnym, odpoczywaliśmy. Nie spotkało nas nic złego, tylko drugiego dnia nad wieczorem, gdyśmy znajdowali się w okolicach Śniadowa i zamierzaliśmy iść dalej, by jeszcze nocą dotrzeć do mej wioski Mokre, od której dzieliło nas około trzech mil, przyszedł do mego szalasu Laskowski z miną zaambasowaną nieco, i rzekł:

— Wiesz Tadzik, co powiada Bajbuza?

— Cóż takiego?

— Że się gdzieś niedaleko biją, i że on słyszy huk dział.

— Huk dział?

— Tak.

— A ty słyszysz?

— Ja nic nie słyszę.

— A więc Bajbuzie troi się coś po głowie.

— Ba! mój kochany, to Tatar sprytny i ma słuch doskonały. Kto wie czy on niema racji.

W głębi duszy i ja tak myślałem. Od chaty starego Latoszka, w czasie dwudniowego naszego marszu ku Łomży, ciągle po drodze dochodziły nas głuche co prawda i nie bardzo pewne wiadomości, że cała armja polska z Wo-

dzem Naczelnym Skrzyneckim znajduje się w tych stro-
nach. Było to bardzo prawdopodobne, choć głośno temu
zaprzeczałem, bom czułem, że mojej misji nie spełniłem tak
jak mi kazano, że za dużo czasu straciłem, że na koniec
wyprawa moja wobec pochodu całego wojska, nie miała
żadnego sensu. Wszystko to doskonale rozumiałem, ale
starałem się przed sobą samym ukryć i z gorączkową
żądzą pędziłem ku Łomży, i sam nie wiedząc po co i na co.
Boć jeżeli wojsko z Wodzem Naczelnym już w tych stro-
nach się znajduje i oczywiście naciska na gwardję, to po co
ja właściwie lecę jak szalenię pod Łomżę? Istotnym moim
obowiązkiem, dotrzeć do Wodza Naczelnego i zakomu-
nikować mu te wiadomości, jakie zebrałem, choć niewąt-
pliwie będą one spóźnione. Tego głosu rozsądku nie chcia-
łem słuchać, tylko uparłem się żeby koniecznie dostać się
do Mokrego i stamtąd wysłać mego podstarościego, by
zbadał ile generał Sacken ma sił w Łomży.

— Otóż wieść, jakoby Bajbuza słyszał huk dział, była
niejako potwierdzeniem ciągle powtarzających się pogło-
sek o marszu naszej armji. Zbyłem niczem Laskowskiego
i kazałem zawezwać do siebie Bajbuzę. Gdy się zjawił
w mym szałasie, wsiadłem na niego z góry, bo byłem ciągle
zi rytowany, jak człowiek, który czuje, że źle zrobił
i w złem tem brnie coraz dalej.

— Co ty tam za plotki rozpuszczasz po obozie?

Tatar spojrział na mnie swemi ukośnymi oczami, w któ-
rych malowało się zdziwienie i spytał:

— Z przeproszeniem pana porucznika, ale nie wiem
o jakich plotkach pan porucznik mówiwszy?

— Nie wiesz? a cóż to gadają, że słyszysz jakiś huk
dział.

— Słyszę, panie poruczniku.

— Słyszysz?

— Tak.

— Gdzie?

— Tam! — i wskazał ręką ku wschodowi.

— Co ty mi tu pleciesz?

— Prawdę mówiący.

— Więc biją się gdzieś?

— Tak — od dwóch godzin się biją. Głos po ziemi słyhać dobrze. Niech pan porucznik raczy przyłożyć ucho do ziemi, a sam usłyszy.

Posłuchałem tej rady, acz z wielką niechęcią, wyszedłem przed szalas i przyłożyłem ucho do ziemi. Dzień cały był gorący i nad wieczorem obfita rosa pokryła trawy i ziola. Gdym się położył na ziemi, najwyraźniej po rosie usłyszałem huk dział i grzechot ognia karabinowego. Bito się więc niewątpliwie i to niedaleko.

Powstałem z kroplistym potem na czole. A więc wieści o marszu całej armji polskiej są prawdziwe! Więc nie czekając na moje raporta wyruszono na gwardje! i zapewne tam w sztabie głównym sądzą, że zginął lub dostał się do niewoli! jakże się mylą! Nie zginąłem, nie dostałem się do niewoli, ale włóczę się jak półgłówek i ścigam chimere, zamiast zawrócić natychmiast i połączyć się z armją. Bito się gdzieś po mej prawej; spytałem Bajbuzy, czy nie mógłby mi powiedzieć, jak daleko od mego obozu toczy się bitwa.

— Hm! — rzekł po krótkim namyśle — trudno to powiedzieć, ale widzi mi się, że niedalej jak trzy do czterech mil.

I nie mylił się. Było to d. 19 maja i bito się z tylną strażą gwardji, pod wodzą jenerała Paleszki, pod lasem wsi Rudki. Gdybym był wtedy wyruszył w kierunku huku dział, mogłem się być połączyć jeszcze w ciągu nocy z naszym wojskiem. Ale opętało mię jakieś zamglenie mego umysłu i mimo, że w szeregach moich zuchów szemrano, że oficerowie domagali się, bym ich poprowadził na pole

walki, uparłem się, kazałem się na koń i ruszyłem ku Łomży, do Mokrego.

Marsz ten nocny był bardzo dla mnie nieprzyjemny. Oficerowie boczyli się na mnie. Wicus Turski wcale się nie odzywał, tylko otulony w płaszcz, z czapką nasuniętą na uszy, jechał mroczny i gniewny. Polikarp Budzilis mruczał i co chwila powtarzał:

— Ot pokociło się wszystko!

Hrehory nucił jakąś smutną dumkę ukraińską, a Laskowski głośno kłął i wymyślał. Nawet Józik Tabęcki miał kwaśną minę i przestał żartować z Bajbuzy, który jeden uśmiechał się, pokazywał białe, wilcze zęby i obojętnie patrzył na wszystko. Na twarzach żołnierzy widziałem zniechęcenie i nieufność, ale nie zważałem na to i postanowiłem swoje robić.

Po całonocnym marszu, o świtaniu dobiliśmy do Mokrego. Widok mej wioski rodzinnej, oblanej blaskami zorzy porannej, otulonej w mgłę świtu, rozweselił mi duszę. Stary dwór błyszczał białymi ścianami zdala, a wielkie to pole włoskie chwiały się melancholijnie nad jego wysokim dachem. We wsi wszystko jeszcze spało, tylko z paru chat i kominów dym się wydobywał, świadcząc, że już ludzie się budzą. Koguty głośno piałły i psy słysząc tętę naszych koni zajadle szczeakać zaczęły. Poranek, jak wszystkie poranki był smutny i chłodny, a drzewa, bujnym, wiosennym pokryte liściem, szemrały głośno. Na szczekanie psów i stukot kopyt naszych koni, ten i ów z chaty wyszedł i przypatrywał się nam ciekawie — wielu gospodarzy poznawałem i witałem ich wesoło, a niebawem po całej wsi rozeszła się wieść:

— Panicz przyjechali!

Nim dojechaliśmy do dworu, który stał na drugim końcu wsi, już całe tłumy gospodarzy, wyrostków, kobiet i dzieci wyległy na drogę i kłaniali mi się i witali mię radośnie, a ta

i owa gospodyni wsuwała żołnierzom w ręce, to bochenek chleba, to krajankę sera, to kilka jaj. Całe to powitanie rozjaśniło mroczne twarze moich zuchów, Józik Tabęcki odzyskał swój humor i wykrzykiwał:

— Jak się mata dzieuchy!

I pytał:

— Widzieliście kiedy smoka? Jeżeliście nikiej nie widzieli, to patrzta na tego pana, który się zowie Bajbardzo, a zjada na śniadanie po pięcioro dziecków i po jednej dzieusze.

I wskazywał ręką na Bajbużę, który się krzywił szkaradnie, co miało oznaczać uśmiech, szczyrzył białe zęby i lyskał czarnymi, ukośnymi oczami i mruczał:

— Ał, plecie jak na mękach.

A kobiety wiejskie przypatrywały się ciekawie Tatarowi przerażone tem, że on zjada na śniadanie po „pięcioro dziecków i jednej dzieusze“, co żywo porywały swe pociechy, krzyczące w niebogłosy i uciekały z nimi do chłup. W szeregach moich zuchów wywoływało to głośne śmiechy i wesole żarty, z czego ja byłem bardzo zadowolony, bo tym sposobem niechętnie i kwaśne usposobienie żołnierzy zniknęło zupełnie. Nawet Mazur Laskowski, który przez całą noc słówka do mnie nie pisał, tylko ciągle kłął i wymyślał, zbliżył się teraz do mnie i spytał:

— To niby twoja habenda?

— A moja.

— Dasz nam co jeść?

— Rozumie się, że dam. Przypuszczam, że nieprzyjaciel, który z pewnością nieraz tu zaglądał, nie wyjadł mi wszystkich wołów, cieląt, baranów, kur, gęsi i kaczek, oraz nie wypił wszystkiego wina w piwnicy.

— Więc i wino będzie?

— Będzie, jeżeli go nie wypili gwardjacy rosyjscy.

— No! jeżeli oni wszystko wypili, to ich przeklnę na wieki. A dużo tam tego wina było?

— Kilkadziesiąt antalków, jeszcze po moim dziadku, podkomorzym łomżyńskim.

— I przypuszczasz, że go wypili gwardjacy?

— No! nie wiem. Piwnica była zamurowana, więc może nie trafili do niej. Zresztą oni nie lubią wina węgierskiego tylko „oczyszczonnoje i szampanskoje“, a tego u mnie niema.

— Wiesz Tadzik co?

— Nie wiem.

— Włóczysz nas po świecie licho wie po co, ale to wino i te twoje woły, barany i cielęta zaczynają mię lepiej dla ciebie usposabiać, bo, słowo daję, osłabłem z głodu i zmęczenia tak, że pierwszy lepszy papinkowaty bojarczyk gwardji rosyjskiej, mógłby mię palcem tknąwszy, obalić. A byłby wstyd!

— No! no! jakoś to będzie. Sądzę, że stary Bruzda będzie nas miał czem przyjąć.

— Co to za Bruzda?

— Mój podstarość, wyga jakich mało, żołnierz kościuszkowski jeszcze.

— No! skoro on jest żołnierzem kościuszkowskim, to odzyskuję otuchę i nadzieję. Te stare wiarusy znają dobrze Rosjan i wiedzą jak sobie z nimi radzić.

Właśnie gdyśmy rozmawiali tak z Laskowskim, zbliżył się do nas i Budzilis i Hrehory, a Laskowski wołał:

— Koledzy, uszy do góry. Tadzik oddaje nam na pożarcie wszystkie swoje woły, barany, cielęta, kury, indyki, gęsi i kaczki, oraz piwnicę, w której znaduje się moc antalków z winem po jego dziadku, podkomorzym łomżyńskim. Mości panowie! wnoszę abyśmy uczcili Tadzika okrzykiem, niech żyje! a gdy będziemy pili wino, po ś. p. podkomorzym łomżyńskim...

— Cichaj byś był Mazurze! — zaśpiewał Budzilis — nie wiedzieć co. Taki słyszałem wyraźnie, że wszystko nieprzyjaciel już wyjadł i wypiwszy, taj gdzież ty będziesz pożerał te woły i barany?

— Co ty tam wiesz! — odciął się Laskowski — boćwin-karze nie mają głosu.

Wjeżdżaliśmy już w aleję lipową, prowadzącą do dworu, więc ja spałem konia i pogałem naprzód, żeby zobaczyć mój stary i rodzinny dom, w którym się wychowałem, który tyle drogich dla mnie wspomnień w sobie zawierał oraz żeby wydać odpowiednie rozkazy dla przyjęcia mych dzielnych towarzyszy. Lękałem się przytem, czy zastanę wszystko w porządku, bo nie wątpiłem, że nieprzyjaciel, stojący w Ostrołęce, Łomży i Śniadowie, często do Mokrego zaglądał i może wszystko zniszczył i zrabował. Z biciem więc serca i łatwo zrozumiałym niepokojem pędziłem aleją, której każde drzewo znałem doskonale i z każdym z nich łączyło się miłe lub przykre dla mnie wspomnienie. Otaczała mię tu cisza; stare lipy szumiały cicho, jakby mię witały, czarny dach dworu widać było z poza ich gęstych koron a na końcu alei świeciły białe kolumny ganku. Niczem niezakłócony spokój budzącego się dnia wiosennego drzemał dokoła.

Gdym wpadł na dziedziniec, jednym rzutem oka obejrzałem wszystko i na moją wielką radość, żadnej zmiany nie zauważyłem. Wschodzące słońce przeglądało się w oknach, gromady jaskółek unosiły się nad dachem, koguty gdzieś piał, a z poza domu wypadł kudłaty brytan, strzegący nocą obejścia dworskiego i rzucił się ku mnie, ujadając zawzięcie. Ale poznał mię natychmiast, zwłaszcza gdym się do niego odezwał:

— Zabój, to tak witasz swego pana?

Pies umilkł natychmiast i lasząc się a skomlać z radości, począł lizać moje nogi, skakać koło mnie, naszczeki-

wać wesoło, biec i zawracać, okazując tem wszystkim nadzwyczajną radość. Zszedłem z konia i witałem się z niemem stworzeniem, które włożyło mi się u nóg, machało kitą, jednym słowem było w paroksyzmie trudnej do opisanania radości. Szedłem, prowadząc konia za sobą, ku gankowi, na którym nagle i szybko rozwarły się zamknięte dotąd drzwi, prowadzące do wnętrza, i ukazał się stary Bruzda, z gołą głową, na której długie białe jak śnieg włosy, wiatr rozwiewał. Stał, ręką przysłonił oczy, bo wschodzące słońce prosto padało na jego zawiędłą, pooraną zmarszczkami twarz, patrzył przez chwilę, poczem zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! panicz, panicz tu?

— A ja, w mej własnej osobie.

Wtedy stary, który mię na swych rękach wypiautował, który mię uczył konno jeździć, szablą i lancą robić, przypadł do mnie i począł mię całować po rękach, wołając drżącym od wzruszenia głosem:

— Bogu dzięki, że panicza jeszcze widzę.

— Jakto? alboż nie miałeś mię jeszcze widzieć?

— Ale bo tu różne rzeczy gadali. Nie dalej jak onegdaj, arendarz Herszek przyniósł z Łomży wiadomość, że gdzieś tam pod Wyszkwowem w jakiejś karczmie, panicza huzary ubiły. Zmartwiłem się srodze, a tu taka radość...

— Cóż tu słyhać?

— Nic, wszystko dobrze. Jenerał Sacken kazał sobie do Łomży dostawić cztery woły i dziesięć baranów. Cóż było robić, dostawiłem, pojechałem sam i musieli za nie zapłacić.

— Więc jenerał Sacken stoi w Łomży?

— Gdzie tam! Onegdaj drapnął tak nagle, że nawet chorych swoich zostawił. Nasi słyszę biją się z gwardją, ale po co ja to gadam, panicz przecie lepiej wie ode mnie.

Wiadomość o ucieczce Sackena z Łomży, przeraziła mnie i zmartwiła mocno, bo cały mój szalony marsz pod Łomżę był chybionym i zgoła niepotrzebnym. Z czemże teraz wrócę do kwatery głównej? Bruzda widać wyczytał przykre rozczarowanie na mojej twarzy bo rzekł:

— Podobno generał Gielgud zajął Łomżę. I niema się czego panicz niepokoić. Sacken ruszył na północ, mówią, że ku Tykocinowi. Wszystkie gwardje tam się cofają. No! niech panicz sobie spocznie. Jakże się cieszę, że panicza widzę.

Nadjechały też moje plutony i zaraz kazalem im rozłożyć się wygodnie na dziedzińcu dworskim, konie rozsiodłać, w stajniach je pomieścić, bo postanowiłem sobie parę dni w Mokrem wypocząć, a potem ruszyć do armji, do kwatery głównej. Oficerów zaprosilem do dworu, a już wiara różnęła woły i barany, rozpalono wielkie ogniska, nastawiono kotły i radość i spokój zajaśniał na posępnych dotąd twarzach. We dworze wszystko zastałem w porządku takim samym, jak wtedy, gdy z niego do wojska wyjeżdżał. Ze ścian patrzyły na mnie marsowe portrety mych przodków, a w moim niegdyś pokoju, znalazłem na biurku rozłożoną jeszcze powieść p. t. „Malwina, czyli domysłność serca”, którą czytałem w chwili, gdy przybiegł do dworu żyd Herszek i przyniósł wiadomość, że rewolucja w Warszawie! Mój Boże! ileż od tego czasu, od tych cichych zajęć codziennego życia, upłynęło wypadków, chwil ciężkich, bolesnych i radosnych! Jakaż różnica w tamtem mojem życiu, a terazniejszem! i czy wróci kiedy dawny mój spokój, dawna cisza i szczęście w mojej ojczyźnie!

Stary Bruzda wszystkich poruszył w domu. Gospodyni pani Balbina, niegdyś moja mamka, która mnie wykarmiła swą piersią, przybiegła do mnie i rozplakała się staruszka i krzątać się poczęła, by tak drogich gości jak należy przyjąć. Znalazły się niebawem na stole przekąski różne, wę-

dliny, masło, sery, półgęski, śliwki suszone na patyczkach i moi koledzy zabrali się do polykania tych specjalów. A potem był obiad suty, z kurczętami, kaczkami, sałata ze śmietaną, naleśnikami, pieczysem, winem po mym dziadku podkomorzym łomżyńskim, i jedliśmy i pili, i humory złote wróciły i zapomnienie głodu, zmęczenia, niewywczasów i ciągłego niepokoju. Sypały się żarty, dowcipy, grzmiała cicha dotąd sala mego dworu rozgłośnemi śmiechami, wiewatami, i tak odpoczywaliśmy w wygodach przez dwa dni, które starą Balbinę kosztowały dużo drobiu, a potem siedliśmy na koń i ruszyliśmy do armji.

XIII

Było to d. 26 Maja, dzień nazawsze pamiętny w dziejach naszych nieszczęść, gdy przenocowawszy w Nowej wsi, niedaleko Ostrołęki, kazałem memu oddziałowi gotować się do drogi, by pomaszerować do tego miasteczka, gdzie według zebranych przezemnie wiadomości, miała się znajdować nasza armja. Już od samego rana słońce mocno dogrzewało i moi krakusi, aczkolwiek doskonale wypoczęci w Mokrem, dość leniwie zabierali się do marszu, gdy nagle usłyszeliśmy donośny huk dział, coraz bardziej wzmagający się z każdą chwilą. Nie ulegało wątpliwości, że gdzieś w pobliżu bitwa się toczy. Zrazu zdawało mi się, że to od Ostrołęki idzie ten huk armatni, ale przy bliższem zastanowieniu przekonałem się, że tak nie jest. Ostrołęka leżała po mojej prawej, a bitwa wyraźnie toczyła się po lewej. Bądź co bądź, postanowiłem teraz nie zwlekać, ale wypełnić ściśle pierwszy obowiązek żołnierza, to jest iść tam gdzie się biją, a ośmdziesiąt dzielnych lanc zawsze miało swoją wartość.

Odgłos boju przebiegł po mych zuchach niby iskra elektryczna; dotąd dość ospale siodlający konie, teraz w jednej chwili byli gotowi do marszu.

— Hej chłopcy! — rzekłem do nich, stając przed frontem — pójdziemy tam gdzie się biją, a choć nas jest niewielu, sądzę, że pojawienie się nasze może przynieść pożytek. Niech żyje Polska!

Ośmdziesiąt piersi w odzew na tej mój okrzyk odpowiedziało grzmiącym „niech żyje“, zadrżały lance, zafurkały proporczyki i plutony, zwinięte w czwórki, ruszyły naprzód przyspieszonym stepem, drogą prowadzącą do wsi Zamchu i Suska, gdyż stamtąd, jak nam się zdawało, szedł huk armatni. Na twarzach moich zuchów widać było gorącą żądzę boju, a Mazur Laskowski oglądał swą szablę, czy ostra. Józik Tabęcki prawił do Bajbuzy:

— Słuchajno panie Bajbardzo, jedź ty naprzód, bo jak nieprzyjaciel zobaczy twoją małą twarz, to się tak przerazi, że da drapaką.

Tatar szczerzył zęby, krzywił się i odpowiadał:

— At, pleciesz jak na mękach. Ja taki mój arkan przygotuję.

— Gotuj, gotuj, skoro już masz taką rakarską naturę.

W miarę posuwania się naszego naprzód, huk coraz bardziej się wzmagał, ale zaczął posuwać się na naszą prawą w kierunku Ostrołęki, co mię zaniepokoiło mocno, bo świadczyło niejako, że nasi ustępują. Zresztą trudno było jakikolwiek stanowczy sąd wydać wobec braku wszelkich danych i przestałem więc myśleć o tem, tylko przyspieszyłem marsz, rozkazawszy plutonom iść kłusem. O milę może od Nowej wsi, w której nocowaliśmy, zaczął się duży, gęsty las, w który gdy wjechaliśmy, nagle z krzaków wypadł na środek drogi jakiś człowiek i stał nieruchomy przypatrując się nam pilnie. Zrazu nie mogłem pojąć co to znaczy, gdy zbliżywszy się, poznałem, że to jest nie kto inny, tylko szpieg Mąciwoda.

— A! to ty kniaziku — zawołał swoim szydersko skrzeczącym głosem — skąd u paralusza tu się wziąłeś?

— Skąd się wziąłem, to się wziąłem, ale co ty tu robisz?

— Ba! co ja robię? spełniam swoje rzemiosło.

W gruncie rzeczy niewiele mnie obchodziło, skąd się tu wziął Mąciwoda, ale rad byłem z jego spotkania, bo

mógł mi dać nieco wiadomości i objaśnić ciemne dla mnie położenie. Zapytałem więc zaraz:

— Gdzie się to biją?

— Niedaleko stąd między Ławami a Rzekuniem.

— Kto się bije i z kim?

— Jenerał Łubieński z Dybiczem.

— Jakto jenerał Łubieński?

— A tak, jenerał Łubieński.

— A gdzież Wódz naczelny?

— W Ostrołęce.

— Nic nie rozumiem. Więc się nie cała armja bije?

— Oczywiście, że nie cała. Ale co ty tu gadasz ze mną, lepiej leć z twemi krakusami, przydadzą się oni Łubieńskiemu, tylko się weź więcej na prawo, na Jaworkę, bo tą drogą idąc wpadłbyś w sam środek kolumn nieprzyjacielskich. No! kniaziku nie trać czasu na próżne gawędy i popraw jakim śmiałym czynem, twoją mocno zachwianą reputację. Ha! ha! ha! do widzenia.

To rzekłszy zwinął się jakoś w sobie i jednym skokiem znalazł się w gąszczu, skąd jeszcze jakiś czas rozlegał się jego djabelski, rzecz można, śmiech, który mię irytował mocno, a Budzilisa, tak przeraził, że się zęgnął i mówił:

— Jak Pana Jezusa Antokolskiego kocham serdeńko, to musi być sam Lucyper chyba. A kysz! a kysz! a kysz! Dalibóg to zły znak bywszy. Ki lichu! czy on tobie, kniaziu, znajomy ten człowieczek?

— Znajomy.

— No! no! no! — kiwał głową Budzilis i szeptał swoje: — a kysz! a kysz! a kysz! Z nieba chyba spadłszy i pod ziemię się zapadłszy, istny Lucyper, król piekielny. Wi-działeś kniaziu, jak jemu oczy się świeciły niby dwa karbunkuly. Zły znak!

— Nie plótlbyś głupstw boćwinkarzu — oburknął się

Laskowski — toć ja go znam, to nasz oficer... czekajno, jak on się to u licha nazywał?...

Ale ja już nie wdawałem się w dalszą rozmowę, tylko za radą Mąciwody skreśliłem drożyną na prawo i dręczony niepokojem i żądzą jak najprędszego dostania się na pole ciągle toczącego się boju, znacznie wysunąłem się naprzód, a za mną czesaly kłusem oba plutony z chrzęstem i brzękiem. Tak lecieliśmy lasem jakie dobre trzy ćwierci mili, aż konie piana się okryły, i ku końcowi już uczuliśmy zapach prochu, i dym z powodu skwarne go dnia, rozlaził się leniwie po boru. Bój toczy się widać zacięty, bo armaty nieustannie huczały i szedł gęsty ogień karabinowy, i rozlegały się sygnały trąbek i krzyki i wrzawa jakaś straszna.

Nakoniec wypadliśmy z lasu na pole, pokryte runią wiosenną i całe owinięte w kłęby duszącego dymu. Po naszej lewej gorzała jakaś wieś i czerwone płomienie buchały niby z wulkanu i czarny dym długą i wysoką kolumną wzbijał się pod błękitne, czyste jak lza, niebo majowe. Zrazu z powodu tego dymu niewiele mogłem rozpoznać, od czasu tylko do czasu przewijały się jakieś kolumny wojska, błyszczaly hełmy, bagnety i działa, ale nie mogłem rozróżnić czy to są nasi, czy też nieprzyjaciel. Przez chwilę zatrzymałem moich zuchów, raz dlatego by sobie po szalonej jeździe wypoczęli i tchu nabrali, a potem żeby się pokierować. Stałem więc nieruchomy wytężając wzrok, by coś zrozumieć z tej mętnej i okrytej dymem, niby zasłoną bitwy, gdy nagle powiał wiatr, rozdarł jak starą, zleżałą płachtę, dymy i w odległości może pięciuset kroków ujrzalem przed sobą gęste kolumny jazdy, rozwinięte w linje szwadronowe i maszerujące kłusem, a obok nich rwały dwie baterje artylerji konnej.

— Nieprzyjaciel! — zawołał nagle Hrehory.

Słońce przeglądało się w złocistych hełmach, w szablach, lancach; cała ta masa kawalerji, której mogło być

jakie parę tysięcy koni, robiła silne wrażenie, ziemia dudniała pod kopytami tylu zwierząt. Chmury kurzu wzbijały się pod niebo, ale też dlatego nie byłem pewny czy to nieprzyjaciel czy nasi. Gdym wyraził mą wątpliwość, Hrehory zawołał:

— Ale co ty mi gadasz. To pułki grénadjerskie, widzisz strzelców konnych z ich błyszczącemi hełmami, ułanów i dragonów. Poznają ich doskonale. Do kroćset jesteśmy od naszych tą jazdą odcięci!

W rzeczy samej ze wzgórza, łagodnym spadkiem spływającego ku niewielkiej rzeczce, wzgórza, na którym zatrzymaliśmy się, widać było w dolinie naszą piechotę, której żółte rabaty błyszczały jaskrawo pod słońce, jak sformowana w linje bataljonowe, żywym ogniem odpowiadała na ataki nieprzyjaciela. Jazda zaś nieprzyjacielska, złożona z dwóch pułków strzelców konnych w hełmach z czarnemi końskimi ogonami, ułanów i dragonów, znajdowała się pomiędzy mną, a naszą piechotą. I rzecz dziwna, jazda ta kłusowała w odległości może pięciuset kroków od moich plutonów i nie widziała ich wcale. Wszyscy i oficerowie i żołnierze mieli zwrócone oczy na lewo, gdzie toczyła się bitwa, a żaden z nich nie spojrzał na prawo, gdzie ja stałem z moimi zuchami pod lasem.

— Do kroćset — wołał dalej Laskowski — oni chcą naszych okrążyć od lewego skrzydła.

I zwracając się do mnie zapytał niespokojnie:

— Co robić?

Ale ja już byłem zdecydowany i wiedziałem co w takim położeniu uczynić należy. Odrzekłem więc chłodno.

— A cóż, uderzymy na nich i przebijemy się do naszych.

Zajaśniały oczy Laskowskiego, wyciągnął do mnie rękę i rzekł z widocznym wzruszeniem w głosie:

— Tadzik! dzielny z ciebie chłop!

Uścisnąłem mocno podaną mi dłoń i dobywszy szabli zakomenderowałem:

— Formuj plutony w lewo, dyrekcja na prawo, klusem marsz!

W jednej chwili plutony się sformowały, a oficerowie stanęli na ich czele i skrzydłach. Wiara poprawiła się na kulbakach, jaki taki przeżegnał się skrycie, wszyscy czapki na bakier zsunęli, Bajbuza odwiązał od lęku swój arkan, w białe zęby wcisnął kindżał, a oczy ukośne i czarne świeciły mu jak dwa zarzewia. Józik Tabęcki wspiał się w strzemiionach, pochylił naprzód i patrzył na nieprzyjaciela takim wzrokiem, jakim patrzy jastrząb, gdy ma się rzucić na zdobycz. Budzilis dobył swego prostego miecza, wyciągnął długą szyję niby żóraw i śpiewał z litewska do żołnierzy:

— Braciaszkowie, serdenki moje, trzymajcie się ostro, i na lance ich!

Tętent ośmdziesięciu koni, brzęk szabel, furkanie proporczyków u lanc, zwróciło nakoniec uwagę jazdy nieprzyjacielskiej. Wszystkie głowy i wszystkie oczy skierowały się na nas i widok gotujących się do ataku moich krakusów, widok niespodziewany, takie na tej kawalerji uczynił wrażenie piorunujące, że nagle zatrzymała się i stała przez chwilę jak skamieniała. Skorzystałem z tego oszołomienia i mignawszy szabłą w górę, rozkazywałem:

— Klusem naprzód marsz!

Było to zapewne zuchwalstwo rzucać się w ośmdziesiąt koni na parę tysięcy wyborowej jazdy, ale najprzód nie miałem innego wyjścia, chciałem moje dotychczasowe błędy okupić jakimś bohaterskim czynem, a potem liczyłem na to, że nagle moje pojawienie się wprawi nieprzyjaciela w osłupienie, a atak na jego skrzydło, które mi właśnie poddawał, udać się musi i przewagę liczebną Rosjan

wyrówna. Nie czekając więc, aż oni przyjdą do przytomności, zakomenderowałem:

— Skróć cugle, do ataku broń, pędem!

I potrząsając szablą, w której migotało mazurskie słońce wiosenne, krzyknąłem całą piersią:

— Niech żyje Polska!

Ośmdziesiąt dzielnych piersi powtórzyło ten dumny, zawsze żywy i zawsze prawdziwy okrzyk, furknęły pochylone lance, ziemia zadudniła pod kopytami koni, chmury kurzu wzbily się pod niebiosa i jak lawina spadliśmy na dragonów, którzy szli na prawem skrzydle kolumny nieprzyjacielskiej. W jednej chwili zbili się w niesforną kupę, złamani, klóci lancami, pierzchnęli jak stado spłoszonych owiec, a my rwąc dalej wpadliśmy na baterję artylerji konnej, której obsługa zrąbana, skłóta, albo padła trupem, albo uciekła. Wśród ogromnej kurzawy, bo ziemia była piaszczysta i wysuszona kilkudniową pogodą, widziałem przez chwilę jak Bajbuza chwycił na arkan jakiegoś w złotych szlifach oficera, jak go ściągnął z konia i włókł za sobą: widziałem jak długi Budzilis rąbał swym mieczem i wrzeszczał:

— A kysz! a kysz!

Jak Józik Tabęcki z rozpaloną twarzą, pokrytą potem i kurzem, z okiem iskrzącem, rozplątał jednym cięciem pałasza głowę kanoniera, który wyciorem się zasłonił, ale napróżno. Wszystko to mignęło mi przed oczami, niby wizja niknąca a sam pędziłem krzycząc ze wszystkich sił „naprzód! naprzód!” bo czułem to dobrze, że należy korzystać z nabytego pędu, z oszłomienia wroga i przerznąć się przez niego, bo wcześniej czy później on oprzytomnieje, a wtedy krucho będzie ze mną. Lecieliśmy więc jak szaleni, po dragonach wpadliśmy na strzelców konnych, którzy już tu i ówdzie słaby opór stawili, ale roztrąciliśmy ich szczęśliwie, i na-

koniec wszyliśmy się w ułanów. Ci, zdołali sformować czołem do nas parę plutonów, ale my wpadliśmy na nich jak huragan, rozgrzani bojem, dysząc ciężko, złani krwią, czarni od kurzu i w jednym mgnieniu oka przełamaliśmy tę ostatnią zaporę. Sam rąbiąc na prawo i lewo, przerznąłem się przez ułanów, którzy zbici w niesforną kupę, ściśnieni nie mogli użyć swych lanc i padali pod naszymi ciosami jak snopy na ziemię, i znalazłem się na czystym polu, nie widząc przed sobą nieprzyjaciela. Za mną biegł Hrehory i wołał:

— Do mnie, do mnie! wiara!

A wiara pędziła bezładną masą opędzając się przed ogromną watahą nieprzyjacielskich jeźdźców, zwłaszcza dragonów, którzy przyszedli do siebie i z zawziętością ścigać nas zaczęli. Przedemną płynął błotnistym korytem strumień, i nie wahając się ani chwili skoczyłem w niego pierwszy i szczęśliwie go przebyłem, a za mną inni. Tu zatrzymałem się i spojrzałem za siebie, i ujrzałem jak Budzylisa nad samym strumieniem opadli niby osy, dragoni nieprzyjacielscy, jak bohatersko się bronili, ale oskoczony dookoła padł pod ich ciosami; widziałem jak kilku naszych ten sam los spotkał, ale większość szczęśliwie przedostała się przez rzeczkę, a między nimi i Hrehory i Laskowski, cały krwią złany, i Wicus Turski bez czapki, którą gdzieś zgubił, i Bajbuza z zerwanym arkanem i czerwonym od krwi kindziałem w rękach, nakoniec i Józik Tabęcki rozogniony i krzyczący w niebogłoso:

— Panie Bajbardzo, a tośmy im dali bobu!

A Bajbuza krzywił się, pokazywał swe wilcze zęby i ze smutkiem poglądał na swój potargany arkan.

Staralem się powstrzymać moich zuchów i jakikolwiek szyk z nich sformować, by w porządku i ładzie cofać się przed ścigającym nas wrogiem, ale było to prostem podobieństwem. Strzelcy konni, dragoni i ułani nieprzy-

jacielscy w bezładnym coprawda tłumie, ale ogromną kupą kilkuset jeźdźców, rozdrażnionych zadanyim ciosem, przedzierali się już przez rzeczkę i rąbać się z naszymi poczęli, a przytem artylerja ich przyszła także do siebie, i za jeżdżając pędem z boku, odprzodkowała swe działa i sypnęła na nas kartaczami. Na szczęście w pośpiechu źle wymierzyła i pociski z szumem i świstem przeleciały ponad naszymi głowami, ale bądź co bądź jeszcze większy nieład wśród naszych szeregów wywołały.

Lecz już w walczącym korpusie naszym dostrzeżono nas i podano nam rękę. Wysunął się naprzód cały pułk jazdy poznańskiej i w strojnym porządku rwał nam na pomoc, co spowodowało, że ścigający nas zawzięcie nieprzyjaciel począł się zatrzymywać, rozległy się trąbki wzywające do szeregu, wreszcie nie czekając na atak Poznańczyków, wszystko to zawróciło i za rzeczkę napowrót się wyniosło. Z trudnością udało mi się moich zuchów sformować jako tako, ale ledwie tego dokonałem, gdy przypadł do mnie na pysznym karym bachmacie, całym w pianie, dowódzca Poznańczyków, pułkownik Mycielski z gołą szablą w garści i spytał:

— Co waćpan jesteś za jeden i skąd się tu wzięłeś?

Nie poznał mię widocznie, w czem nie było nic dziwnego, gdyż byłem cały czarny od kurzu i od dymu prochowego, bo jakiś dragon tuż pod nosem wystrzelił mi z pistoletu i twarz mi osmalił, a choć padł zaraz pod ciosem mego pałasza, jednakże zrobił mię podobnym do murzyna. Na pytanie więc Mycielskiego odrzekłem:

— Jakto? pan pułkownik mię nie poznaje?

Spojrzał na mnie uważniej i zawołał:

— Sołomerecki!

— On sam — odparłem.

— Ale skąd u kroćset wzięłeś się tutaj?

— Wracam z podjazdu i wpadłem niespodziewanie na nieprzyjaciela.

— No! no! ale dzielnie spisaliście się, ani słowa!

— Ba! cóż miałem robić? musiałem się przerznąć do swoich. Ale kto tu dowodzi?

— Jenerał Tomasz Łubiński. Proszę za mną, bo cofamy się. Ta jazda której takie ciągi zadałeś, chce nas oskrzydlić. Musimy się wycofać i to pośpiesznie z tej matni.

— A gdzie jest armja nasza?

— W Ostrołęce. Ale proszę skomenderować do marszu, bo piechota nasza wyprzedziła nas znacznie. Zaprowadzę pana porucznika do jenerała.

Ruszyliśmy więc naprzód i niebawem minąwszy naszą piechotę, cofającą się powoli i w wielkim porządku, stanąłem przed jenerałem Łubińskim.

XIV.

Jenerał Łubieński, który mię znał osobiście i który cofając się od Nura, miał na karku całą armję feldmarszałka Dybicza Zabalkańskiego, ogromnie był zdziwiony mojem pojawieniem się na placu boju. Ale nie było czasu na dłuższą rozmowę, bo nieprzyjaciel naciskał mocno i starał się oskrzydlić nasz korpusik, który aczkolwiek dzielnie się opierał i jak osaczony przez psiarnię odyniec, co chwila się odwracał i zęby pokazywał, wszakże wymagało to nieustannej baczności i przytomności ze strony jenerała. Tyle tylko mi powiedział:

— Postąpiłeś sobie bardzo dzielnie mości książe, uwiadomię o tem Wodza naczelnego, a teraz proszę ruszaj naprzód, bo jazda twoja zmęczona jest mocno i zresztą teren nie jest dla niej odpowiedni. Oddaję waćpana pod komendę pułkownika Mycielskiego.

Ruszyłem tedy z Poznańczykami na czoło kolumny cofającej się, i maszerowaliśmy już spokojnie, nie nagabywani przez nieprzyjaciela, któremu piechota nasza mężnie czoło stawiała, każde jego poruszenie odpierając i ustępując wolno krok za krokiem. Byliśmy, my krakusi, bardzo dumni z naszego, coprawda rozpaczliwie szalonego czynu, ale okupiliśmy go dość drogo. Niedoliczyłem się piętnastu poległych, drugie tyle było lekko lub ciężko rannych, ale najdotkliwszą dla nas była strata poczciwego Litwina Budzilisa, który oskoczony przez dragonów nad samą rzeczką, pomimo bohaterskiej obrony zarąbany zo-

stał. Najbardziej go żałował Mazur Laskowski i uspokoić się nie mógł. Sam cięty pałaszem w rękę, osłabiony wpływem krwi, ciągle mówił:

— Ach czemuż mnie tam nie było! Byłbym go wyrąbał, albo razem z nim poległ.

Choć ciągle żartował z Litwina, nazywał go „boćwinkarzem“, jednakże kochał go szczerze i w żalu po nim utulić się nie mógł. Sam widziałem, że gdy mówił o nim, to łzy mu jak groch padały na brązowe od słońca, czarne od kurzu i krwią pomazane oblicze. Ale trudno, gdzie drwa rąbią tam wióry lecą i wojna ludzi nie przysparza.

Co do mnie, jadąc teraz na końcu sfornych szwadronów Poznańskich, zmęczony, śmiertelnie znużony, po nadzwyczajnem nateżeniu nerwowem, zupełnie prawie omdlałem i o niczem myśleć nie byłem w stanie, pragnąłem tylko spoczynku i ciszy. A tej ciszy nie było. Walka za nami wrzała w całej sile, armaty grzmiały, ogień karabinowy towarzyszył im nieustannie, a choć nic nie było widać, bo dym i olbrzymie chmury kurzu zakrywały wszystko, jednakże czuć było, że tam za tą zasłoną toczy się bój straszny, śmiertelny. Cofaliśmy się ciągle, ale ciągle w porządku. Dzień był skwarny, słońce prażyło nielitościwie, powietrze przesycone kurzem i dymem, dławilo piersi. Na szczęście, między wsią Jaworki i Wypychy, weszliśmy w las, który z jednej strony powstrzymał nacisk nieprzyjaciela, z drugiej w cieniu niebotycznych sosen i świerków, pozwolił odetchnąć świeższem powietrzem i ochłodzić cieniem rozpalone nasze czoła.

Powoli uspokoiłem się, moje rozigrane nerwy przestały mię dręczyć i choć wraz z Laskowskim żal mi było pocziwego Budzilisa i moich piętnastu towarzyszy, jednakże szlachetnie dumny byłem z naszej zuchwałej szarży w ośmdziesiąt koni na parę tysięcy jazdy nieprzyjacielskiej, którą skotłowaliśmy jak stado owiec. Wprawdzie,

szczerze mówiąc, nie było w tem nic nadzwyczajnego. Pojawiliśmy się nagle i niespodziewanie uderzyliśmy na skrzydło nieprzyjaciela, które raz zepchnięte, nieład w całą kolumnę wprowadziło, co nam pozwoliło przerznąć ją na wskrós, jednakże fakt faktem pozostał, że dwa plutony krakusów, roztrąciły trzy pulki kawalerji nieprzyjacielskiej i stosunkowo dość cało wyszły z tej zawieruchy. Co jednak najważniejsza, bo rozumiałem to doskonale, nasz atak ocalił korpus generała Łubieńskiego od niebezpiecznego oskrzydlenia, i bądź co bądź moim zuchwałym napadem, okupiłem odrazu wszystkie moje dotychczasowe błędy i śmiało mogłem stanąć przed Wodzem naczelnym, mówiąc:

— Zbłądziłem ciężko, nie wykonałem należycie i szybko danych mi rozkazów, ale odpokutowałem za ten grzech i okupiłem go naprawdę heroicznym czynem.

Tak sobie mówiłem i nabrałem otuchy, a z nią wróciła mi rzeźwość umysłu i ciała, i począłem się interesować przebiegiem toczącego się za nami boju. Piechota nasza wielokrotnie bagnetem musiała odrzucać od siebie depczącego jej po piętach wroga; parę razy sformowana w czworoboki, niby żyjąca cytadela, gęstym i celnym ogniem odpierała szalone ataki jazdy, usiłującej napróżno rozgromić jej zwarte szeregi. Artylerja dzielnie wspomagała piechotę, jej działa nieustannie sypały gradem pocisków, a choć w końcu uledez musiała przeważnej działobitni wroga, choć wycofywała się z krwawego pobojowiska pozbawiona połowy swej obsługi i koni, mając zamiast strzaskanych kół, dragi celownicze założone, jednakże do ostatka wytrzymała i ani jednego działa, ani jednego jaszczyka w zdobyczy wrogom nie zostawiła. Patrzałem na to i duma mi piersi rozpierała i nie wątpiłem ani na chwilę, że z tych opalów wyjdziemy cało.

Tak przeszliśmy las i ujrzeliśmy przed sobą z poza

szeregu piaszczystych wzgórz, wieże i dachy Ostrołęki. Na tych wzgórzach wieńcem otaczających miasto, spostrzegłem rozwiniętą w linię bojową, w groźnej postawie brygadę generała Bogusławskiego, złożoną z czwartego i ósmego pułku piechoty linjowej, mającą w rezerwie pułk weteranów. Czwartaki i ósmaki stali spokojnie, z bronią u nogi, czekając aż my przejdziemy, by zaraz potem powitać bagnietami wroga. Widziałem ich krępe, marsowe postawy, groźne wejrzenia i myślałem sobie, że ci niełatwo ustąpią. Przed ich frontem, na srokatej kobyle, w wyszarzanym mundurze, siwy jak gołąb, stał generał Bogusławski, otoczony garstką adjutantów i oficerów i wołał do swoich:

— Trzymać się ostro! kolbą i bagnietem wiara!

Przeszliśmy koło nich, witani okrzykiem: niech żyje Polska! niech żyją krakusy! na co odpowiadaliśmy: niech żyją czwartaki i ósmaki! A zaraz też muzyki pułkowe zagrały nieśmiertelną pieśń o nieginącej Polsce i przy dźwiękach tego mazurka, którego zagłuszyć nie mógł wtedy huk dział i wrzawa boju, którego po dziś dzień długa noc ucisku i niedoli stłumić niepotrafiła, weszliśmy do miasta, gdzie stary generał Pac uwijał się żwawo i budował na ulicach barykady. Przedostaliśmy się z trudem przez miasto, bo mieszkańcy w straszliwym popłochu, zwłaszcza żydostwo pakowało na furi swój dobytek i usiłowało przedostać się przez most na drugą stronę Narwi. Ale przy mostach, jednym stałym, a drugim tymczasowym i chwiejącym się mocno, ustawiona była żandarmerja polowa i nikogo nie przepuszczała. Mnóstwo więc wózków, bryczek, wszelkiego rodzaju wehikulów wracając od mostów, spotykało się z jadącymi tamże i zagradzało ulice wśród nieopisanej wrzawy, przekleństw, płaczu kobiet i dzieci. W ten chaos i ciasnotę my wpadliśmy, a przytem pojawiła się część mocno okaleczonych dział Łubieńskiego,

które generał odsyłał za rzekę, by tam z rezerwowych parków swój zniszczony sprzęt odnowiły. Na dobitkę daleko-
nośne, ciągnięte działa gwardjackie rosyjskie, zajęchały z boku i ciskały granaty na miasto, co oczywiście popłoch
zwiększało. Z trudnością, wśród strasznego zamętu przedostaliśmy się przy pomocy żandarmerji polowej przez
miasto, przeszliśmy przez most na drugą stronę Narwi. Tu na moje wielkie zdziwienie ujrzałem, że nikt nie myśli
o boju. Broń stała w kozłach, mnóstwo żołnierzy spało, lub kąpało się w rzece, działa niezaprężone, bez obsługi,
zupełnie jak w czasie pokoju, jakby przemożny wróg był jeszcze daleko.

Ale już adjutanci Wodza naczelnego pędzili ze wszystkich stron roznosząc rozkazy. Pułkownik Mycielski do którego przypadł mój znajomy, adjutant Leon Rzewuski, otrzymał rozkaz, ażeby stanął w asekuracji baterji Bielickiego, która galopem zajeżdżała z boku mostu i przez rzekę strzelać poczęła do działobitni nieprzyjacielskiej. Podjechałem do Rzewuskiego wołając:

— Leoś, jak się masz?

— A ty co tu robisz? — zapytał.

— Wróciłem z wyprawy, na którą mię wysłał Wódz naczelny.

— Wróciłeś? prawda! przypominam sobie. Ale w takim razie, czegoż tu stoisz? Zdałeś raport Wodzowi naczelnemu?

— Nie!

— Sądzę, że twoje miejsce jest przy Wodzu. Powinieneś ruszyć natychmiast do niego. Wszystkich nas rozesał i brak jest adjutantów.

— Masz rację, zaraz jadę, tylko zamelduję się pułkownikowi Mycielskiemu, pod którego rozkazami chwilowo zostaję.

— Do widzenia więc! — zawołał Rzewuski, zawracając konia i dodał:

— Zaczyna być gorąco!

W rzeczy samej kule poczęły padać jak grad dokoła nas, i ten i ów z jazdy poznańskiej runął z jękiem, a konie wrywając się z szeregu unosiły trupa, lub rżąc boleśnie wlokły spadłego po ziemi. Bateria dział Bielińskiego, pomimo, że zasypywana była pociskami, które jej zabijały ludzi i konie, jednakże mężnie dotrzymywała placu i nawzajem słała wrogowi śmiercionośne kule. Duszący dym i kurz, przy niezwykle skwarным dniu, rozlaźił się szeroko i dławił oddech. Zanosilo się widocznie na wielką i krwawą bitwę.

Gdym podjechał do pułkownika Mycielskiego, który stał z paru oficerami na wzgórzu, tuż przy działobitni naszej, właśnie wiatr rozdarł nieco dym i oto co ujrzałem. Na moście, który stąd doskonale było widać, toczyła się straszna, ręczna walka. Jenerał Bogusławski, którego cofającego się z pobojowiska, uprzedził nieprzyjaciel na moście, przedzierał się ze swemi czwartakami i ósmakami przez chmury grenadjerów rosyjskich. Klóto się bagneta-mi, walono kolbami, duszono się rękami i do rzeki spadali w strasliwej walce i nasi i nieprzyjaciele. Miasto w tyle gorzało i kłęby czarnego dymu, unosiły się nad niem, rozświecane ponuro krwawemi językami ognia. Przez chwilę ujrzałem starego jenerała Bogusławskiego, na swej srokatej kobyle, z gołym pałaszem w ręku, otoczonego żołnierzami, jak głosem potężnym, grzmiącym ponad hukiem dział i wrzawą bojową, krzyczał:

— Naprzód! naprzód! kolbą i bagnetem wiara.

A wiara parla naprzód, roztrącała wszystko przed sobą, a choć kładła się pokotem na moście, jak zżęte kłosy na polu, jednakże przedzierała się zwycięsko na prawy brzeg Narwi. Pułkownik Mycielski stał skamieniały z okiem

wlepionem w to straszne widowisko i zgrzytał zębami w bezsilnym gniewie; komendant zaś baterji, Bielicki, spokojny, chłodny jak na paradzie na Saskim placu, komenderował tylko ciągle:

— Nabij! ognia!

I grzmiała nasza baterja nieustannym ogniem, zasypując granatami nieszczęsne miasteczko, w którym co chwila w różnych miejscach wybuchał ponury pióropusz dymu i krwawe błyski pożaru.

Przerażony i wstrząśnięty do głębi tem straszny widowiskiem, zbliżyłem się do pułkownika Mycielskiego i zameldowałem mu, że muszę jechać do Wodza naczelnego. Długi czas, zaabsorbowany walką brygady Bogusławskiego na moście, nie mógł mię zrozumieć.

— Czego u diabła pan porucznik chce? — pytał.

— Chcę jechać do Wodza naczelnego.

— Po co?

— Jestem jego adjutantem i moje miejsce jest przy nim.

— A pańskie krakusy?

— To nie są moje krakusy, dowodzi niemi porucznik Turski.

— Więc czego pan porucznik chce do kroćset bataljonów?

I znowu musiałem mu tłumaczyć, zaczynając od początku, że jestem adjutantem Wodza naczelnego i że moim obowiązkiem jest być przy nim. Zdaje się, że do końca nie zrozumiał, czego ja chcę od niego, ale widocznie znudzony mojem nagabywaniem, zawołał nareszcie w gniewie:

— A więc jedź sobie na złamanie karku!

Ogarnął mnie gniew i chciałem już ostro odpowiedzieć, gdy nagle, otoczony garścią oficerów, przypadł pędem do baterji Bielickiego, sam Wódz naczelny. Miał na sobie płaszcz wojskowy i furażerkę na głowie, cały był rozognio-

ny, oczy jego ciskały błyskawice i wołał do Bielickiego głosem rozkazującym:

— Mości komendancie, masz waćpan natychmiast ruszyć naprzód i na bliski dystans kartaczami zasypać wroga!

Na chłodnej twarzy Bielickiego odmalowało się zdziwienie i salutując Wodza naczelnego, odrzekł głosem spokojnym:

— Bateria moja zajmuje wyborną pozycję, z której ostrzeliwa i miasto i most.

W rzeczy samej, brygada Bogusławskiego już przeszła za rzekę, tak że Bielicki część swej działobitni skierował na most i zmiatał z niego wszystko, co się tylko ośmieliło nań wkroczyć. Ale wódz naczelny w uniesieniu, jakiego nigdy u niego nie zauważyłem, spał konia i podnosząc rękę do góry, krzyknął głosem drżącym od gniewu:

— Waćpan, mości komendancie, masz słuchać a nie rozumować!

Bielicki nic nie odrzekł, tylko sklonił się w milczeniu i zwracając się do swej baterji, komenderował:

— Zaprząż dział!

W jednej chwili armaty zaprzodkowane i zaprzężone, cwałem ruszyły we wskazanym przez Wodza naczelnego kierunku, a za nimi ich asekuracja, jazda Poznańska i moje dwa plutony krakusów Sandomierskich. Gdy przejeżdżali na swych mocno zmęczonych koniach, żegnałem ich ręką, wołając:

— Bądźcie zdrowi!

Nie wiem czy mię zrozumieli, ale Józik Tabęcki dopadł do mnie i zapytał:

— Jakto? pan porucznik nas opuszcza?

— Muszę, jestem adjutantem Wodza naczelnego.

Zawahał się chwilę, pomyślał, obejrzał na odjeżdżające plutony, i rzekł:

— To i ja z panem porucznikiem pojedę.

— To być nie może, wszak wstąpiłeś do pułku krakusów Sandomierskich?

— Co miałem wstąpić? przecie nie jestem zapisany, jestem wolontarjuszem, jak powiada mój pociot kapitan Kokoszka Michałowski herbu Jasieńczyk. Co to gadać panie poruczniku! przywiązałem się do pana i chcę przy panu służyć. Żal mi trochę kamratów, bo to dzielne chłopcy, a nawet tej mały tatarskiej Bajbardzo, ale cóż robić? Życie składa się z powitań i pożegnań, jak powiada mój pociot kapitan Karaś Peplowski herbu Gozdawa. No! nie ma co, jadę z panem porucznikiem. Ale też huncfoty prażą!

Rozmowa powyższa toczyła się na uboczu, wśród gradu kul zasypujących nas dokoła, wyrzucających całe snopy piasku i darniny, z głuchym stukiem uderzających o ziemię. Wódz naczelny stał przez chwilę nieruchomy patrząc jak baterja Bielickiego cwałowała ku mostowi, poczem zawrócił i pędem pognał na pobojuwisko, a my za nim. Skierowaliśmy się ku wzgórzu, zarosłym niskimi krzakami choiny, gdzie stała piękna brygada jenerała Węgierskiego, złożona z pułku weteranów i legji wołyńsko-litewskiej, i głosem grzmiącym nakazał jej ruszyć naprzód i nieprzyjaciela bagnetem poza Narew wyrzucić. Nadmienić mi tu wypada, że jeszcze stojąc przy baterji Bielickiego, widzieliśmy jak masy piechoty nieprzyjacielskiej przechodziły przez most i sadowiły się poza szosą, która zrazu biegnąc prostopadle do rzeki, potem nagle załamywała się pod kątem prostym i szła równolegle do Narwi. Ponieważ grunt tu był bagnisty, więc gościniec ten zbudowano na wysokim nasypie, poza którym jak za szansem sadowiły się pułki nieprzyjacielskie. Wyrzucić ich z tej pozycji było rzeczą bardzo trudną, to też jenerał Węgierski, któremu zapewne ta sama myśl przyszła do głowy, z miną dość kwaśną począł formować swą brygadę do ataku, gdy nagle

zjawił się na wysokiej, chudej jak śmierć szkapie, generał Prądyński. Furażerkę miał zepchniętą na tył głowy i twarz jego brzydka, ziemistej barwy, miała minę mocno zaambarasowaną. Trzymał się pochyło na koniu, i wyglądał nie na generała, ale na kupczyka, który w niedzielę wynajął sobie konia, by się przejechać trochę. Przez chwilę cicho coś rozmawiał z Wódcem naczelnym, ale potem głośno, że słyszeliśmy wszyscy, rzekł, wskazując na wysuwającą się z zarośli brygadę Węgierskiego:

— Atak ten jest za słaby i zawczesny. Trzeba najprzód nieprzyjaciela zachwiać ogniem armatnim, a dopiero wtedy, nie wcześniej, gęstemi masami uderzyć.

— Ale tymczasem, — zauważył Wódz naczelny — co-raz ich więcej przejdzie przez most.

— To nic nie szkodzi — odrzekł Prądyński — przeszczeń jest tam niewielka i w ciasnocie wzajem szkodzić sobie będą i maskować ogień swych baterji.

Uwagi te wydawały mi się słusznymi i sam Wódz naczelny widocznie uznał je za takie, bo po krótkim namyśle, zawołał:

— A więc dobrze! niech pan generał jedzie i zatrzyma Węgierskiego.

Zaledwie jednak Prądyński zdołał swoją chudą szkapę (na którą patrząc Leos Rzewuski szeptał: „i na ogromnym smoku jeździć będziesz“) zmusić do biegu i zaledwie kilka kroków ujechał, gdy Wódz naczelny począł wołać:

— Czekaj pan generał!

A gdy Prądyński zatrzymał konia, Skrzynecki rzekł:

— Niech Węgierski idzie, może mu się przy Bożej pomocy powiedzie!

Brygada więc Węgierskiego przy biciu w bębny, ruszyła naprzód śmiało a Wódz naczelny zwracając się do nas, spostrzegł mię i zawołał:

— Sołomerecki, ruszaj mi natychmiast na drogę do

Rożana, zatrzymaj parki artyleryjskie i niech cwałem wracają tutaj. Rzewuski, leć by wszystka piechota formowała się w kolumny atakowe! Sanguszek niech mi sprowadzi tutaj wszystką jazdę.

Wódz widocznie był nadzwyczajnie podrażniony i wzruszony, bo twarz mu się zmieniła, głos drżał i miał ton gniewny i surowy. Zdziwiło mię bardzo, że spostrzegłszy mnie nie pytał skąd się tu wziąłem, ale wprost rozkazywał, jakgdybym był ciągle przy nim, jakgdybym nigdzie nie wydalął się od niego. Przypisuję to niesłychanemu uniesieniu i zdenerwowaniu, wyłącznemu zajęciu rozpoczynającą się krwawą walką, której zapewne wcale się nie spodziewał.

Milcząc skłoniłem się, spiąłem ostrogami mego biednego, zmęczonego konia i cwałem popędziłem na drogę do Rożana, a za mną pogalopował Józik Tabęcki.

XV.

Upłynęło kilka godzin nim dogałem parki artyleryjskie, których, nie znając okolicy i nie wiedząc dobrze gdzie się udały, musiałem szukać, i nim je sprowadziłem zpowrotem na plac boju. Na czele pędził ze swą artylerją konną złożoną z dwunastu dział, pułkownik Bem, i ciągle mnie się w drodze pytał:

— Co u licha tam się stało?

Nie wiele mogłem mu odpowiedzieć, bo nie wiele wiedziałem. Uwiadomiłem go tylko, że generał Łubieński musiał się cofać do Ostrołęki, że zasłaniająca go brygada generała Bogusławskiego, mocno przez nieprzyjaciela naciskana, wraz z nim wkroczyła na most i z trudnością drogę sobie otworzyła, że grenadjerzy rosyjscy przeszli most i silnie usadowili się niby za wałem, za zagięciem szosy, że nakoniec w chwili gdy odjeżdżał, brygada generała Węgierskiego ruszyła do ataku, by wyrzucić grenadjerów za Narew, prawdopodobnie ten atak się nie udał, skoro bitwa dalej wre.

Jakoż w rzeczy samej dochodził nas nieustanny huk, niby daleki grzmot burzy, który w miarę naszego zbliżania się do placu boju, wzrastał się z każdą chwilą. Kłęby czarnego dymu, pochodzącego z gorejącej Ostrołęki, unosiły się ciężkimi chmurami nad horyzontem, i co kilka kroków spotykaliśmy rannych żołnierzy, wlokących się ciężko, albo niesionych przez towarzyszy. Pytani odpowiadali z niechęcią, że bitwa się toczy, ale że z naszymi jest

źle. Nie umieli objaśnić na czym właściwie to zło polega, klęli, skarżyli się i zdradzali zachowaniem się swoim zupełnie zniechęcenie. Oddziaływało to na mnie, znużonego śmiertelnie, bardzo ujemnie, a Józik Tabęcki kłusujący obok baterji pułkownika Bema, łamał ręce i szeptał:

— O, mój Boże! mój Boże!

Gdyśmy nakoniec przybyli na plac boju, zaraz z boku zasypała nas kartaczami ogromna działobitnia, którą nieprzyjaciel ustawił na lewym brzegu rzeki, i korzystając z jej zagięcia, całe pobojowisko zasypywał pociskami. Na szczęście szkody nam żadnej nie zrobił, bo kartacze poszły górą, ale widok bitwy, najcięższe nerwy mógł wstrząsnąć. We wszystkich kierunkach przerzynała tę ciasną, piaszczystą płaszczynę, istna ulewa kul, kartaczy i granatów, które z hukiem pękały raniąc i zabijając dokoła. Dym, pędzony przez wiatr z gorejącej Ostrołęki, poziomemi płachtami rozścielał się leniwie dokoła, a ziemia, gdzie tylko spojrzeć, pokryta była trupami, rannymi i umierającymi. Mnóstwo jaszczyków potrzaskanych, czapek, kasków, kaszkie-tów, broni, najrozmaitszych szczątków, wałało się dokoła. Były miejsca gdzie trupy naszych żołnierzy, których rozpoznać można było po żółtych rabatach, zwłaszcza koło wału szosowego, tworzyły całe warstwy. Widok ten wstrząsnął mię do głębi i taki żal mię ogarnął, bo zdawało mi się, że patrząc na konanie ojczyzny, żem powstrzymać się nie mógł i głośno zalkałem. To samo zrobił Józik Tabęcki i obydwa płakaliśmy tak przez chwilę w niemej, głuchej rozpacz. Pułkownik Bem jednak nie płakał, stał nieruchomy na koniu i okiem sokoła poglądał po polu bitwy i widocznie namyślał się nad czemś, bo nagle zwracając się do swej baterji, głosem donośnym zakomenderował:

— Za mną!

Baterja naśladując swego komendanta cwałem ruszyła naprzód i niebawem zniknęła nam z oczów w dymie i ku-

rze. Zostaliśmy sami z Józikiem, który wciąż płakał, a łzy mu jak groch po opalanej twarzy spływały. Przez chwilę nie wiedziałem co robić i gdzie się obrócić, gdy nagle pojawił się pędzący na spienionym koniu, znany mi adjutant generała Kickiego, nazwiskiem Jabłoński.

— Gdzie Wódz naczelny? — spytałem.

— Tam! i wskazał mi ręką na gęste krzaki, obrastające dokoła tę straszną płaszczyznę, na której bitwa się toczyła. Adjutant pocwałował dalej, a ja zwracając się do Józika rzekłem:

— Jedźmy!

Ruszyliśmy naprzód kłusem, bo nasze zmęczone konie ledwie nas niosły, i znaleźliśmy się przed frontem dywizji generała Małachowskiego i Rybińskiego, szykujących się w kolumny do ataku. Za nimi, w rezerwie niejako, stała brygada pułkownika Krasickiego, oraz 20 pułk piechoty i pułk drugi ułanów, którego białe konie, białe czapki i rabaty zdala już było widać. Przed frontem tej długiej linii piechoty, pędził cwałem Wódz naczelny, rozogniony, z wzrokiem ciskającym błyskawice, wołając, z całych piersi:

— Małachowski naprzód! Rybiński naprzód! wszyscy naprzód!

Wzburzony był straszliwie, miotał się na koniu i głosem ochrypłym od krzyku i kurzu, którym cały był obsypany, wołał nerwowo:

— Naprzód! naprzód! wszyscy naprzód!

Za nim pędziło kilkunastu wyższych oficerów i adjutantów, do których i ja się przyłączyłem.

Tymczasem dowódcy stawali na czele kolumn, wyznaczonych do ponownego ataku, na ukrytego za wałem szosowym nieprzyjaciela, i biegiem wysuwali się z gęstwiny krzaków, na to straszne pobojowisko, zasłane trupami, krwią ludzką nasiąkłe. Zasypywał je zaraz grad pocisków,

ale muzyki pułkowe grać poczęły mazurka „Jeszcze Polska nie zginęła“, tysiące piersi żołnierskich podchwyciło tę nutę, i przy tej pieśni, tylekroć Polaków wiodącej do boju, kolumny biegly naprzód, nie zważając na to, że kule i granaty, straszliwe bruzdy ryły w ich szeregach. Było coś wspaniałego, coś majestatycznego w tym rzutkim, rzeźkim, męskim ruchu, w tej fali głów ludzkich i bagnatów, toczącej się jak lawina naprzód, i cwałując w orszaku Wodza naczelnego patrzyłem na to, a pierś mi dumą rosła i otucha we mnie wstępować zaczęła.

Wśród tego Wódz naczelnny przybiegł przed brygadę Krasickiego i rozkazywał jej tym samym nerwowym, ochryplym głosem, by także ruszyła naprzód.

— Tu, wołał — musimy wszyscy albo zwyciężyć, albo zginąć, tu los Polski się rozstrzyga!

Słowa te budzą w żołnierzach entuzjazm, krzyczą: niech żyje Polska! potrzásają bagnetami, muzyka gra mazurka i brygada rusza do ataku. Gdy obok Wodza przebiegał pułk 20-ty piechoty, on wita go słowami:

— Naprzód wiara; naprzód! pokażcie, żeście żołnierzami z pod Liwu!

Ten zapał, z jakim wszystkie te kolumny ruszyły do ataku, z jakim parły przez ulewę pocisków, wzbudził we mnie przekonanie, że tym razem zwycięstwo padnie na naszą stronę, że wróg zostanie wyrzucony z poza wału szosowego, zmuszony do odwrotu za Narew i most. Stańliśmy wszyscy, my adjutanci na piaszczystym wzgórzu, skąd widok rozścielał się na całe pobojowisko, bo Wódz naczelnny szykował roztraconą brygadę generała Langermana i po cichu naradzał się z kwatermistrzem jeneralnym Prądyńskim, i patrzyliśmy w milczeniu, jak dywizje Małachowskiego i Rybińskiego, oraz brygada Krasickiego, ciągle wśród śpiewu „Jeszcze Polska nie zginęła“, dotarły do wału szosowego i wdzierać się nań poczęły. Powstała

tam straszna, ręczna walka, w której bagnet i kolba główną rolę odgrywały, ale szczegółów jej widzieć nie mogliśmy, bo niebawem chmury kurzu i dymu zakryły ją przed nami zupełnie.

— No, chyba nasi wezmą górę! — szeptał za mną Józik Tabęcki.

Nic nie odpowiedziałem, ale w głębi duszy żywiłem to samo przekonanie. Jakże się omyliłem! jaki straszny zawód wszystkich nas spotkał! Nie upłynęło nawet pół godziny, gdy nagle z pośrodku dymu poczęli się pośpiesznie wysuwać najprzód pojedynczy żołnierze, potem całe ich tłumy w bezładnym tumulcie, wreszcie stary Małachowski, na koniu, zlany krwią, otoczony resztkami swej dywizji, na którą wróg masą napierał, a ona cofając się wolno i metodycznie, czoło mu stawiała. To samo dywizja Rybińskiego w nieładzie, na pół rozbita, ustępowała pośpiesznie a za nią brygada Kamińskiego.

Gdym to ujrzał, rozpacz mię głucha ogarnęła. Wszystkie krew mi uderzyła do głowy, dobyteł pałusza i zawolałem:

— Idę zginąć! nie mogę przeżyć upadku ojczyzny.

To rzekłszy, zaślepiony jakiś, spałem mego biednego konia ostrogami, który resztką sił rzucił się naprzód, i cwałowałem z mocnem postanowieniem wszycia się w kupe wroga i oddania życia na całopalną ofiarę za ojczyznę. Kule mi świszczały koło uszów i słyszałem tylko rozpaczliwy głos Józika, który wołał co miał sił:

— Panie poruczniku! panie poruczniku, co pan robi?

I byłbym zapewne dokonał swego rozpaczliwego zamiaru, gdy nagle koń podemną zachwiał się, zrobił parę szalonych skoków, spał się dęba i runął na ziemię. W jednej chwili odzyskałem przytomność, zeskoczyłem z kulbaki i spojrzałem na mego nieszczęśliwego towarzysza, który w tyłu był ze mną bojach, który mię z Jędrzejowa zawiódł aż pod Łomżę i zpowrotem, a teraz leżał z roz-

prutym brzuchem i drgał konwulsyjnie, brocząc dokoła posoką. Podniósł jeszcze raz głowę, zarżał żałośliwie, powiódł po mnie łzawemi oczami i skołał.

Stałem przez chwilę nad zwłokami mego dzielnego konia, zapominając o wszystkim, o kulach, które świszczały dokoła, o granatach, które tuż koło mnie ryły się w ziemi, wyrzucając w górę całe snopy piasku i darni, i żal mi wielki ścisnął serce i lzy jak grad potoczyły mi się po twarzy.

— O mój biedny towarzyszu! — wołałem i ukląknem przy jego zwłokach i przyłożyłem twarz do jego martwego łba i płakałem gorzko, serdecznie. Wszystek ból ostatnich dni, wszystek żal i zgryzotę, wszystką rozpacz, która mi szarpała duszę, wlałem w lzy moje nad zwłokami biednego stworzenia, które mi dzielnie służyło i z tyłu bojów zawsze cało wyniosło. I nie wiem, jak długo byłbym siedział i płakał przy nieruchomym trupie ukochanego zwierzęcia, co prawdopodobnie skończyłoby się moją śmiercią, bo istna ulewa kul padała dokoła mnie, a cofająca się nasza piechota już przeszła, chroniąc się przed pociskami wroga w zarośla na wzgórzu, tak że ja sam prawie jeden sterczałem na tem krwawem pobojuwisku, gdyby nie nadbiegł Józik Tabęcki, cały przerażony, wołając ze wszystkich sił:

— Laboga, co pan porucznik robi? czy pan chce zginąć?

Podniosłem głowę i niezupełnie jeszcze opanowawszy żal, przejmujący mię na wskrós, rzekłem:

— Widzisz, zabili mi konia.

— Bał panie poruczniku, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, jak powiada mój pociot imćpan Jadźwina Jankowski herbu Ogończyk.

Józik odzyskał swą dawną fantazję, czapkę miał na bakier zasadzoną i śmiał się czegoś głośno i znów prawił o swoich rozmaitych „pociotach“ z taką swobodą, jakgdy-

by nie znajdował się na pobojowisku, zasłanem trupami, pełnem krwi, jęków, westchnień i skarg, wśród formalnego gradu kul, ale gdzieś, na wyspie Siwego Bagna, wśród bezpieczeństwa i spokojnej pogawędki. Ten jego ton i zachowanie zrazu przykrem mi było; rzekłem więc wskazując na zwłoki konia:

— Żal mi go bardzo.

— Eh! panie poruczniku gdzie tylu ludzi padło, tam nie czas żałować konia. I niechno pan porucznik wstanie i pójdzie, bo kule do kroćset, brzęczą dokoła, jak muchy w izbie mej ciotki Barbary Grzywacz Szaniawskiej.

W rzeczy samej kule nieustannie gwizdały, a Józik kręcił się niespokojnie na koniu, co chwila głowę schylał i rękami trzepał, jakby odpędzał jakiś owad natrętny.

Wesoły, swobodny ton jego mowy oprzytomnił mnie nieco, ale prawdopodobnie nie byłbym usłuchał jego rady, gdy nagle z pośrodku dymu i kurzawy wyłoniła się krępa, pochylona postać Tataru Bajbuzy Hrybunowicza. Szedł on wolno, niezgrabnie stawiając swe kabłąkowate nogi, przeskakując lub omijając ostrożnie liczne trupy i dźwigając na plecach kulbakę. Gdy zobaczył mnie i Józika, wytrzeszczył swe czarne, ukośne oczy, wyszczerzył białe, wilcze zęby i skrzywił się szkaradnie, co, jak wiadomo, uśmiech u niego znaczyło. Józik zobaczywszy go, zawołał:

— Bajbardzo! a skądś się tu poganinie wziął?

— Łoszaka mi ubili.

— A twój pluton gdzie?

Tatar machnął ręką niechętnie i rzekł z płaczem w głosie:

— Gładki był łoszak, ale Bóg tak chciał.

I półgłosem dodał:

— *El akbar Allah!*

— Co ty tam mruczysz w twym psim języku? — krzyk-

nał Józik — ot lepiej pomóż panu porucznikowi wstać i zmykajmy stąd, bo djabeł nie śpi, a kule jak osy gwizdzą.

W istocie tak nie było. Bitwa w tej chwili ucichła, widocznie wskutek znużenia i nadaremnych wysiłków obu stron, bo nasi nie mogli, pomimo kilkakrotnych szalonych ataków wyrzucić nieprzyjaciela za Narew, nieprzyjaciel zaś nie mógł kroku postąpić, poza osłaniający go wał szosowy. Na niewielkiej płaszczyźnie między tą szosą i zaroślami na wzgórzu, gdzie się chroniły nasze, mocno rozstrojone nieudanemi atakami dywizje, niebyło nikogo, prócz nas trzech, stosów zwłok ludzkich i zwierzęcych i niezliczonych szczątków sprzętu wojennego. Działobitnia nieprzyjacielska ucichła i tylko zrzadka i pojedynczo dawała ognia, grzmiały tylko od czasu do czasu strzały karabinowe, a i te powoli ustawały. Zdawało się, że to koniec tego krwawego boju, który obie strony znużył i zmęczył straszliwie.

Bajbuza zbliżył się do mnie, dopomógł mi wstać i szczerząc zęby, rzekł:

— Pójdźmy!

Spojrzałem jeszcze raz na zwłoki mego biednego konia i powlókłem się ku zaroślom, a za mną szedł ciężko Bajbuza wdychając jakoś żałośliwie, a Józik lękając się zapewne, by go nie wzięto na cel, bo sterczał wysoko na swej ogromnej, jasnokościstej szkapie, zlął z niej, i szedł nalegając na nas byśmy śpieszyli.

— Ki licha! mówił — dać się zabić jakiejś kuli, bez żadnego pożytku, to już głupstwo nad głupstwami, jak peda mój pociot Jagielka Wysokiński herbu Pobóg. Czego się oglądasz pogańska małpo?

Słowa te oczywiście zwrócone były do Bajbuzy, który w rzeczy samej, niewiem dlaczego oglądał się ciągle, wolno się posuwał, jakby się czegoś ociągał, wreszcie zawołał:

— Pan porucznik! pan porucznik!

— Co takiego? — zapytałem.

— Patrz pan porucznik tam! tam!

I ręką wskazał w kierunku mostu.

Właśnie weszliśmy na niewielkie wzgórze piaskowe, z którego widać było doskonale całe pobojuwisko, i nieprzyjaciela stłoczonego za wałem szosowym, i most i gorejącą Ostrołękę. Wiatr, który się pod wieczór zerwał, rozpuścił dym i kurz zalegający okolicę i wszystko jasno i wyraźnie się przed oczami rysowało. Gdym więc spojrział w kierunku, wskazanym mi przez Bajbuzę, ujrzałem ogromne, czarne masy piechoty nieprzyjacielskiej, debuszujące z miasta i wchodzące na most dla poparcia swoich, walczących dotąd za wałem. Odrazu zrozumiałem grożące rozstrojonym naszym szeregom niebezpieczeństwo. Jeżeli te nowe masy nieprzyjaciela, najeżone bagnietami, które lśniły się zdala przy zachodzącym krwawo słońcu, zdołają przejść przez most i uderzyć na nasze śmiertelnie znużone i na pół rozbite wojsko, to wszystko przepadnie, bitwa będzie stanowczo przegrana i straszliwa klęska nieunikniona. Śmiertelny dreszcz wstrząsnął mną na myśl o tem i biegnąc zawołałem:

— Śpieszmy donieść o tem Wodzowi naczelnemu, bo może on nie wie co mu grozi.

— Ja sam panie poruczniku jestem za tem, żeby pośpieszyć, bo się wlecemy jak z przeproszeniem dziady na odpuście, wedle słów mego pociota Gorczyca Maleszewskiego herbu Godziemba, ale żeby Wódz naczelny nie widział tego, co się dzieje na moście, na to się nie zgadzam.

— Hi! hi! zaskwierczał Bajbuza szpetnie się krzywiąc — zali idzie o to, co taki smyk jak on (tu wskazał palcem na Józika) gada?

— Smyk, nie smyk poganinie jakiś, a co gadam, to dobrze gadam. Tam między zaroślami są góry i stamtąd dobrze widać i most i miasto i Wódz naczelny z pewnością

wie na co się zanosi, i ręczę, że dobrze przywita nieprzyjaciela. O! widzę nawet jakiś ruch między naszymi. Ale śpieszmy, bo znów kule gwizdać zaczynają.

Nie trzeba było na mnie nalegać. Poczucie grożącego niebezpieczeństwa dodawało mi skrzydeł, biegłem jak szalony, potykając się o trupy, przewracając się, znów powstając i zdyszany, zmęczony, obłany potem przypadłem przed formującą się na nowo brygadę pułkownika Krasickiego i wołałem:

— Gdzie Wódz naczelny? gdzie Wódz naczelny?

4

XVI.

Józik Tabęcki miał rację, bo Wódz naczelny z miejsca, na którym stał doskonale widział przewalanie się mas rosyjskich przez rzekę. Szykował on brygadę Krasickiego do nowego, potężnego ataku. Był teraz spokojny, poważny i groźny. Z tych wzgórz piaszczystych, porośniętych chojkami, cała przestrzeń walki, dymiąca Ostrołęka, marsz kolumn rosyjskich rysował się jak na dłoni. Ogromne, czerwone, przesłonięte kurzem i dymem, prawie miedziane słońce, chylące się ku zachodowi rzucało ponure, krwawe blaski, na cały ten obraz, pełen nieopisanej grozy i majestatu, lśniło w tysiącach bagnetów nieprzyjacielskich, w śpiżowych działach, które na chwile umilkły, nie chcąc razić swoich. Na pobojuwisku, po strasznej niedawno, wrzawie i huku, zaległa względna, prawie martwa cisza, przypominająca posępne milczenie natury, przed mającą się zerwać burzą. Tę ciszę klóciło tylko dudnienie po moście tysiąca nóg piechoty nieprzyjacielskiej, głuchy łoskot dział kłusem pędzących, odgłosy sygnałów trąbkowych i rzadkie strzały karabinowe tyralierów polskich i rosyjskich, rozrzuconych po różnych załamaczach pobojuwiska.

Pocziwy Bajbuza, pamiętający o wszystkim, sam z siebie, bo ja o niczem myśleć nie mogłem, tylko jak martwy stojąc przy brygadzie pułkownika Krasickiego, patrzyłem na tłoczącą się na moście piechotę rosyjską,

pelen najgorszych przeczuć, przyprowadził mi konia i szczerząc, zwyczajem swoim zęby, rzekł:

— Przyprowadziwszy panu porucznikowi loszaka.

Podziękowałem mu za to i nie patrząc na ofiarowanego mi konia, na pół nieprzytomny, wsiałem na niego i przyłączyłem się do orszaku adjutantów i sztabowców, otaczających Wodza naczelnego. Ciągłe wpatrzony w czarne masy nieprzyjaciela, najeżone iskrami bagnetów, jakby zahipnotyzowany tym widokiem, nie zważałem na to, co się koło mnie dzieje, dopiero ocknąłem się na głos Józika, który podjechawszy tuż do mnie szepnął mi do ucha:

— Niech no pan porucznik patrzy.

— Gdzie?

— Tam dopieroż to zada im bobiu, jak powiada mój stryjec, imćpan Kołowrotek Tabęcki, herbu Dąbrowa.

Spojrzałem w kierunku, wskazanym mi przez Józika i nagle serce moje przepelnione zostało uczuciem radości, dumy i triumfu. Na lewo od nas, z gęstwiny leśnej, niby strzała wyrzucona z procy, wypadł na białym jak śnieg koniu, pułkownik Bem ze szpicrutą w ręku, a za nim cwałem pędziła jego baterja konna. Widać było, oblanych purpurowym blaskiem zachodzącego słońca, jego dwanaście armat, lecących co koń wyskoczy przez pobojowisko ku nieprzyjacielowi. Ziemia dudniała pod tą działobitnią, migwały się szable oficerów, pryskały iskry od lontów zapalonych, biły niby mętne wodotryski ku górze całe chmury kurzu, konie z pochyłymi łbami jak mityczne centaury, rwały co sił jeno w nich było. A wódz tej garści straceńców, co chwila na swym białym koniu wyłaniał się i zapadał w chmury kurzu i ciągle na przedzie cwałował.

I była chwila taka, coprawda bardzo krótka, w której na ten widok wszystko zmartwiało na polu bitwy, jak gdyby czarodziej jaki rzucił na te gromady ludzi i koni sen-ziele. Wszyscy wlepili oczy w tę pędzącą niby huragan

działobitnie, w tego wodza na białym koniu, co jak duch jakiś, jak wizja poetyczna leciał przez pole, obficie krwią ludzką zroszone, cały w blaskach czerwonego słońca, w nimbie jego purpurowym, w obłoku złocistej kurzawy. Wszystko ucichło, wiatr nawet ustał i żaden liść na drzewach nie zadrgał. Tłoczące się mostem przed chwilą czarne, ponure masy piechoty nieprzyjacielskiej, nagle, niby na skinienie jakieś tajemnicze, zatrzymały się skamieniałe, jakby w strasznym przeczuciu czekającej ich klęski.

A Bem pędził i pędził i przypadł może na pięćdziesiąt kroków od załamu szosy i tu jednym skinieniem swej szpicruty, sprawił, że baterja nagle zawróciła, odprzodkowała i żygnęła ulewą kartaczy w zbitą masę nieprzyjaciela na moście. W obłokach czerwonej od czerwonego słońca kurzawy, mignęły nagle błyski ognia, prysnęły w górę srebrzyste pióropusze dymu, rozległ się huk potężny, szum przerywających powietrze pocisków i straszliwa zaraz potem wrzawa na moście, śmiertelny krzyk rażonego tłumu ludzkiego. Co się tam działo, któż to zdoła opisać? Wszystko skłębiło się, zakotłowało i jak kiedy swawolny chłopiec zatrząsie gruszą i owoc z niej sypać się pocznie na ziemię, tak z mostu leciały ciała ludzkie do spokojnie toczącej swe wody rzeki. Z tej czarnej, wrzeszczącej nie-ludzko masy, co chwila niby z procy wyrzucone, pryskały w górę ciała ludzkie, bagnety, helmy, szczątki jakieś niezdecydowane a krwawe. Narew pokryła się głowami ludzkimi, rękami usiłującemi chwycić się jakiego przedmiotu i w bezsilnej walce ginącemi w jej nurtach, a purpurowe smugi krwi barwić ją okropnie poczęły. A Bem stał na swym białym koniu, niby sztandar śnieżny, a za każdym skinieniem jego szpicruty, leciała nowa ulewa pocisków na most miażdżąc wraże tłumy w krwawe błoto. W szalonym popłochu, wszystko co żyło jeszcze, uciekać poczęło ku góracemu miastu i w pół pacierza może, most opustoszał

zupełnie, tylko krwi strugi spływały z niego do rzeki, tylko stopy trupów zalegały go wszędzie, tylko mnóstwo rannych z przerażającym jękiem pelzało po nim uciekając przed śmiercią. A działa Bema grzmiały i grzmiały ciągle, zwróciwszy teraz, po oczyszczeniu mostu, swe paszcze na miasto i na słońce za wałem szosowym dywizje grenadierów nieprzyjacielskich, siejąc tam straszliwe spustoszenia.

Z tego, tak okropnie skutecznego ataku działobitni Bema, Wódz naczelny postanowił skorzystać i jeszcze jednym, rdzennym uderzeniem, wyrzucić nieprzyjaciela za rzekę. Do tego wznowienia ucichającego boju, stała już gotowa, w kolumny uszykowana brygada pułkownika Krasickiego, którą Skrzynecki wzmocnił dywizją generała Kamińskiego i jazdą Łubieńskiego, na czele której stał dzielny Mycielski i garść moich krakusów Sandomierskich z poczciwym Wicusiem Turskim, jako komendantem. Stojąc w otoczeniu Wodza naczelnego, który ostatnie rozkazy wydawał, widziałem jak Mazur Łaskowski, zakurzony, czarny od dymu, z lewą ręką przewiazaną jakąś zakrwawioną szmatą, osadzał się silnie na siodle i uśmiechał się zdaleka do mnie. Obok niego wyprostowany na kulbace, z okiem wpatrzonem w krwawe widowisko, tam na moście, stał Kozak Hrehory Huryło Chocimski ściskając mocno w rękę nagą szablę. Na jego twarz opaloną, czarną, padały czerwone odbłaski zachodzącego słońca i był podobny do posągu, do owego średniowiecznego Alhanrykowego barbarzyńcy, który szedł ze stepów ukraińskich, deptać starą cywilizację rzymską. Ujrzałem też Tatarą Bajbużę jak wynalazłszy gdzieś nowy arkan, zwijał go i rozwijał i przymocowywał jednym końcem do łęku swej kulbaki. Chciałem pobiec do tych moich towarzyszy tyłu przygód, ucisnąć im ręce, ale nagle na skinienie Wodza naczelnego zawarzały bębny, rozległy się rozkazy:

„naprzód!“, muzyka zagrała mazurka Dąbrowskiego i przy śpiewie „Jeszcze Polska nie zginęła“, piechota nasza w kolumny bataljonowe zwinięta, potoczyła się jak lawina na wroga.

Wódz naczelny spał konia i popędził także, a my wszyscy za nim, starając się go osłonić przed pociskami. Nieprzyjaciel bowiem, na chwilę oszołomiony pojawieniem się na pobojożywie działobitni Bema, odzyskał przytomność i jego baterje, ustawione na lewym brzegu rzeki, poczęły ryczeć i zasypywać ogniem i żelazem cały plac boju i dwanaście działek Bemowskich. Nie ustępowały one jednak, ale z nadzwyczajną zwinnością, możliwą tylko wśród takiej artylerji i pod takim wodzem, co chwila zaprzęgały, pędem zmieniały pozycję, odprzodkowywały i znowu słały gromowe pociski na nieprzyjaciela, powtarzając nieustannie te swoje ataki szalone i straszne.

A my, wśród tego okropnego huku, wrzawy, dymu i kurzu, biegliśmy za wodzem, zasypywani kulami, które całe szeregi obalały biegliśmy naprzód i naprzód, przy głośnym śpiewie o Polsce nieginącej. Gdy pułkownik Krasicki, pędzący na czele swej brygady, padł przeszyty dwoma kulami, i szeregi jego na ten widok zachwiały się i zmieszały, Wódz naczelny skierował się ku nim i nie mając dobytej szpady, czapkę z głowy zerwał i nią w powietrzu potrząsając, wołał:

— Naprzód wiara! naprzód!

Kule koło niego jak grad padały, jak osy brzęczały, granaty z hukiem pękały, płaszcz miał w dwóch miejscach porwany jakimś pociskiem, mimo to biegł naprzód, głosem i swą wyniosłą postawą zachęcając żołnierzy, stercząc na tem krwawem pobojożywie, niby dumny, wyniosły sztandar konającej Ojczyzny.

I nakoniec kolumny nasze krwią zlane, straszliwie przezedzone, dopadły do wału szosowego i wdzierać się nań

poczęły. Już teraz ucichły strzały, tylko działobitnia Bema, okaleczona mocno, zamiast potrzaskanych kół, drągami celowniczymi podparta, nieustawała prażyć granatami miasta i przeważnej artylerji nieprzyjacielskiej, tutaj zaś na wale bagnety i kolba tylko pracowały ciężko. Piechota nasza zdołała w ostatnim, rozpaczliwym skoku wdrzeć się na wał i rozpoczęła tu śmiertelny, ręczny bój z wrogiem. Zaległa tu względna cisza, słychać było tylko głuche uderzenia, ciężkie oddechy, przekleństwa, czasem krzyk lub jęk rozpaczliwy, świst przeryniającej powietrze w potężnym rozmachu kolby, nic więcej. Trup szedł gęsto, bito się zawzięcie, duszono się rękami, gryziono zębami, nieproszono ani o łaskę ani o życie. Człowiek stawał się dzikiem zwierzęciem i łaknął tylko krwi, krwi jak najwięcej.

I mnie jakaś czerwona plachta przesłoniła oczy, ogarnęła mnie wściekłość i klując bezlitośnie konia ostrogami, zdołałem wskoczyć na wał i szablą rąbać na prawo i lewo. Co chwila jakiś giwer grenadjerski padał pod ciosem moim, jakaś twarz śmiertelną grozą zdjęta, oblewała się krwią i w tył padała. Krzychałem jak szalony: „Jeszcze Polska nie zginęła! naprzód! naprzód! hej kto Polak na bagnety!“ i parłem konia i rąbałem, rąbałem nieustannie. I w tem zaślepieniu mojem, mając oczy krwią zalane, już nie wiem jak daleko wdarłem się w szeregi wroga, ale musiałem dość głęboko się w nie zanurzyć, bo nagle otoczyły mnie bagnety, uczułem silne bolesne uderzenie w nogę, koń się począł spinać i rzucać, i byłbym zapewne poległ, bo naraż kilka bagnatów ujrzałem wymierzonych w moje piersi, gdyby nagle nie ukazała się tuż przy mnie czarna, dzika twarz Tatara Bajbuzy, z błyszczącym kindżalem w zębach, a za nią czerwona, jastrzębia figura Józika Tabęckiego, który jednym ciosem odrzucił bagnety, a Bajbuza schwyćwszy mego konia za cugle, pociągnął go wstecz. We

trzech, przyczem niebawem przyłączyło się do nas kilku strzelców konnych Łubieńskiego, wyrąbaliśmy się szczęśliwie z pośrodku nacierających na nas grenadjerów nieprzyjacielskich, wdrapaliśmy się na wał, a raczej przebyliśmy go potężną wyrwą, jaką uczyniły w nim granaty naszej artylerji, i znaleźliśmy się na czystem polu.

Tu jednak uderzył mię, gdym się obejrzał dokoła, rozpaczliwy widok. Piechota nasza kupkami, pojedynczo, bezładnie, rozbita zupełnie, cofała się od wału szosowego. Napróżno komendanci jej usiłowali ją sformować w szeregi i jeszcze raz zawrócić na wroga; napróżno sam Wódz naczelny potrząsając czapką pędził i wołał: naprzód! naprzód! Żadna już siła ludzka nie zdolną była tej zdziśiatkowanej, wyczerpanej do cna, zmęczonej i zdemoralizowanej garści mężnych przed chwilą wojowników polskich do nowego boju zachęcić. Tu i ówdzie tylko pojedynczy oficerowie gromadzili koło siebie kupki czy waleczniejszych, czy też wytrwalszych i zasłaniając ten bezładny odwrót, wszelkie pokusy wroga, ścigania odpartych, udaremniiali. Dzielnie w tym dopomagał im pułk strzelców konnych i garść moich krakusów Sandomierskich, którzy nieustannemi szarżami na wysuwających się z poza wału grenadjerów rosyjskich, powstrzymywali ich chętkę pościgu i groty swych lanc posoką wrażą obficie zafarbowali.

Patrzałem na to wszystko zmartwiałe zupełnie. Po nagłem natężeniu wszystkich sił, wszystkich nerwów, ogarnęło mię śmiertelne znużenie, obezwładnienie i obojętność. Już mię nie wzruszył nawet widok przebiegającej tuż obok mnie mężnej działobitni Bema, która okaleczona mocno, pozbawiona połowy zaprzęgu i obsługi swojej, z potraskanemi kołami, utykając, kulejąc, wlokąc się na drążkach celowniczych, cofała się pod gradem pocisków artylerji nieprzyjacielskiej. Na szczęście słońce zaszło i mrok padał na to straszne pobojowisko, a od rzeki pod-

nosiły się wielkie, białe mgły i osłaniały ten odwrót rycerzy polskich. Co do mnie, powtarzam, obojętne już mi to było zupełnie, i pragnąłem tylko spoczynku, ciszy, spokoju. Byłem ranny, nogę miałem przebitą dwukrotnie bagnietem, krew ze mnie upływała i pełny but już jej miałem, tak że czułem, iż omdlewam. Podpierał mię z jednej strony niezmeńczony Józik Tabęcki, z drugiej Bajbuza, popędzali konia, który także raniony, co chwila potykał się i chwiały się podemną. Lechtali go nieustannie pałaszami, chcąc mię jak najprędzej uprowadzić z tego pobojowiska, które pociski nieprzyjacielskie ryły teraz nieustannie we wszystkich kierunkach. Ale nie miały mię oszczędzić kule nieprzyjacielskie. Nagle uczułem silne uderzenie w lewe ramię, ból dotkliwy, zachwiałem się i runąłem z koniem na ziemię tracąc jednocześnie przytomność...

Obudziłem się w małym, jasnym, o bielonych ścianach pokoiku, do którego przez na pół osłonięte okno wdzierał się wesóły promień słońca i kładł złocistą plamę na pomalowaną na czerwono, podłogę. W promieniu tym igrało tysiące pyłków i wielka cisza dookoła mnie leżała. Z poza okna tylko, jak mi się zdawało, dobiegała mię stłumiona muzyka harmonijki, grającej melancholijną, monotonną nutę, którą gdzieś już słyszałem, ale której w żaden sposób przypomnieć sobie nie mogłem. Dopiero, gdy ktoś głosem przyciszonym począł śpiewać:

U kacóra
Srebrne pióra
U kacuski
Złote nózki.

Przypomniałem sobie, że czasu mojej wyprawy pod Łomżę, kołysankę tę słyszałem śpiewaną, przez żonę leś-

nika Gąsiorka. Ale kto teraz śpiewał nie mogłem odgadnąć, choć zdawało mi się, że głos ten znam. Poruszyłem się na pościeli, ale dotkliwy ból nogi i ramienia, wywołał mimowolny jęk z mych ust. Na ten jęk, gdzieś z kąta podniosła się jakaś postać i zbliżyła się do mego łóżka. Jakież było moje zdziwienie, gdy w tej krępej, nabitej figurze poznałem Mąciwodę. Stał nademną, podparł się pod boki i śmiejąc się spytał:

- A co kniaziku, odzyskałeś przytomność?
- Mąciwoda! skąd się tu wzięłaś?
- Ba! ja sam nie wiem, skąd się biore!
- Ale gdzież ja jestem?
- Na Pradze, w lazarecie. Byłeś ciężko ranny i wątpliśmy o twem życiu, ale chwała Bogu, przyszedłeś do siebie.
- A wojsko?
- Także na Pradze.
- Rozbite?
- Gdzie tam! Dybicz takie dostał cięgi, że ścigać naszych nie śmiał. Pociesz się, wszystko jest dobrze.
- Długo ja chorowałem?
- Tydzień dopiero.
- Tak, przypominam sobie... padłem ranny pod Ostrołęką, któż mię uprowadził z pola bitwy?
- Tatar Bajbuza i Józik Jurczyk Tabęcki.
- Niech im Bóg wynagrodzi. Ale kto to śpiewa?
- A któżby jak nie Józik. Siedzi pod oknem i z nutów nuci mazurskie piosenki.
- Zawołaj mi go.

Dzielny Józik zjawił się zaraz uradowany mocno, że odzyskałem przytomność, a ja mu dziękowałem serdecznie, że mi życie ratował, ale tych podzięków on słuchać nie chciał i rumienił się jak panienka. Niebawem zmęczony rozmową zasnąłem snem zdrowym i posilnym

i drzemiąc, slyszalem, jak Józik grał na harmonijce i pół-
glosem nucił:

Postój kacko
Dam ci cacko
Nie postoję
Bo się boję..

Ojców-Kraków, Lipiec, Sierpień 1907 r.

K O N I E C.

POWIEŚCI HISTORYCZNE DLA MŁODZIEŻY
W ALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

Wydania nowe, poprawione i opatrzone przedmowami
PROF. HENRYKA MOŚCICKIEGO
czytać należy w następującej kolejności:

- * CHROBRY
MADEJOWE ŁOŻE
GRUNWALD
WIDMO IBRAHIMA
SZWEDZI W WARSZAWIE
- * NAMIOTY WEZYRA
- * MEODY KONFEDERAT BARSKI
RACŁAWICE
- * GROM MACIEJOWICKI
MŁODZI GWARDZIŚCI
JAK PRUSACY UCIEKALI Z WARSZAWY
SZWOLEŻER STACH
NA SAN DOMINGO
BEREK POD KOCKIEM
BYŁO TO POD JENĄ
PRZYGODY ADAMKA
AUSTRJACY W WARSZAWIE
ZDOBYCIE SANDOMIERZA
ROK KRWI I NIEDOLI
BEREZYNA
BÓG MI POWIERZYŁ HONOR POLAKÓW
RYCERZ BEZ SKAZY
- * POD STOCZKIEM
- * ADJUTANT NACZELNEGO WODZA
- * OLSZYNKA GROCHOWSKA
REDUTA WOLI
NOC STYCZNIOWA

Wszystkie książki wydawane są z rycinami i barwnymi okładkami
znakomitych malarzy polskich, w pięknych, trwałych oprawach

NAKŁADEM DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ
WARSZAWA, PLAC TRZECH KRZYŻY 8

* oznaczone gwiazdką są już wydane.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

SP. AKC. W WARSZAWIE, PLAC TRZECH KRZYŻY 8

Augustynowicz Jan. KSIĄDZ PROT. Historia ludzka. Wydanie trzecie, na nowo przez autora opracowane	Zl. 4.80
Augustynowicz Jan. PIEKŁO. Pieśń życia i śmierci.	8.—
Bartkiewicz Z. TRZY OPOWIEŚCI	6.50
Boy-Żeleński T. dr. patrz: Żmichowska.	
Conrad Joseph. KORSARZ. Wyd. II.	7.40
— MŁODOŚĆ. JĄDRO CIEMNOŚCI	6.—
— MURZYN Z ZAŁOGI „NARCYZA”. Wyd. II.	6.—
— MIĘDZY LADEM A MORZEM. Wyd. II.	7.—
— NOSTROMO. Pow. z wybrzeża morskiego, 2 tomy	18.—
— OCALENIE, 2 tomy	15.—
— OPOWIEŚCI ZASŁYSZANE	4.—
— SMUGA CIENIA. Wyd. II.	4.80
— SZALEŃSTWO ALMAYERA. Wyd. III.	8.—
— TAJFUN. Przekład B. Rychlińskiego. Wyd. II.	3.80
— WŚRÓD PRADÓW	6.—
Gąsiorowski Wacław (Wiestaw Sclavus). BEM. Powieść historyczna z czasów powstania listopadowego. Wyd. III	8.—
— CZARNY GENERAŁ. Powieść historyczna. Wyd. II.	9.—
— EMILJA PLATER. Powieść z 1831 r. Wyd. II.	9.—
— HURAGAN. Powieść historyczna w 3 tomach. Wyd. V.	18.—
— KRÓLOBÓJCY. Historia carów rosyjskich. Wyd. IV.	10.—
— KSIĘŻNA ŁOWICKA. Powieść hist. w 2 tomach. Wyd. II.	10.—
— ROK 1809. Powieść historyczna w 2 tomach. Wyd. IV.	10.—
— SZWOLEŻEROWIE GWARDJI. Powieść hist. Wyd. III.	7.—
Giżycki K. PRZEZ URJANCHAJ I MONGOLJĘ	7.—
Górski Artur. GLOSSY O LUDZIACH I IDEACH	10.—
Jeleńska E. DWÓR W HALINISZKACH. Powieść współczesna. 2 tomy. Wyd. II.	10.—
Kozicka-Dunin. M. BURZA OD WSCHODU. Wyd. II z ryc.	7.—
Kudliński T. SMAK ŚWIATA. Powieść	7.20
Łubieński H. RYCERZE ŚMIERCI. Powieść z 1863 r.	8.—
Marion. ROZBITE GNIAZDA. Opowieść o szarych ludziach	4.80
Nikorowicz I. NIEŚMIERTELNY KOCHANEK	3.—
Pollak J. Dr. ZBŁĄKANY PIELGRZYM. Powieść	7.50
Relidziński J. POWRÓT Z TAMTEGO ŚWIATA	9.—
Rzewuski A. hr. ZE STRZELBĄ NA RAMIENIU	8.—
Szaniawski J. ADWOKAT I RÓŻE. ŻEGLARZ. PTAK.	6.50
Witkiewicz St. Ig. NIENASYCENIE. Powieść. 2 tomy	18.—
Wyrzykowski St. MOSKIEWSKIE GODY. I. WILKI POD MURAMI KREMLA	10.—
— Cz. II i III. ZWYCIĘSKIE SŁOŃCE. KRWAWE ZMIERZCH	12.50
Zaborowski St. W SERCU KNIEI. Opow. myśliwskie. Wyd. II.	7.20
Zaborska A. (Savitri). TRUCIZNY. Powieść współczesna	6.60
Żmichowska N. CZY TO POWIEŚĆ? Z przedmową Boy'a	6.50
— BIAŁA RÓŻA. Powieść z przedmową Boy'a	4.80
— POGANKA. Powieść	3.—
— NARCYZA I WANDA. LISTY DO WANDY GRABOWSKIEJ. Wydał i wstępem poprzedził T. Żeleński (Boy).	12.—

WYDAWNICTWA DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ

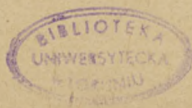
ZATWIERDZONE

PRZEZ MINISTERSTWO WYZNAŃ R. I OŚWIECENIA P.

DO BIBLIOTEK SZKOLNYCH

	Zł.		Zł.
Conrad Joseph. KORSARZ. Wyd. II.	7.40	w ozd. opr.	10.40
— MIĘDZY ŁĄDEM A MORZEM			
Wyd. II.	7.—	„ „	10.—
— OPOWIEŚCI ZASŁYSZANE	4.—	„ „	7.—
— MURZYN Z ZAŁOGI			
„NARCYZA“. Wyd. II.	6.—	„ „	9.—
— TAJFUN. Wyd. II.	3.80	„ „	6.80
— WŚRÓD PRĄDÓW	6.—	„ „	9.—
Kozicka-Dunin M. BURZA OD			
WSCHODU. Wyd. II, z ryc.	7.—		
Przyborowski W. CHROBRY. Powieść			
histor. dla młodzieży z ryc. A. Ga-			
wińskiego		„ „	7.50
— GROM MACIEJOWICKI. Powieść			
histor. dla młodzieży z ryc. St. Ba-			
towskiego		„ „	7.50
— MŁODY KONFEDERAT BARSKI			
Powieść histor. dla młodzieży z ryc.			
J. Świrysz-Ryszkiewicza		„ „	7.50
— OLSZYŃKA GROCHOWSKA.			
Powieść histor. dla młodzieży z ryc.			
K. Sopoćki		„ „	7.50
Zaborowski St. W SERCU KNIEI. Opo-			
wiadania myśliwskie. Wyd. II.	7.20	„ „	10.20
Żmichowska N. POGANKA. Powieść przy			
komnkowym ogniu opowiedziana		„ „	3.—

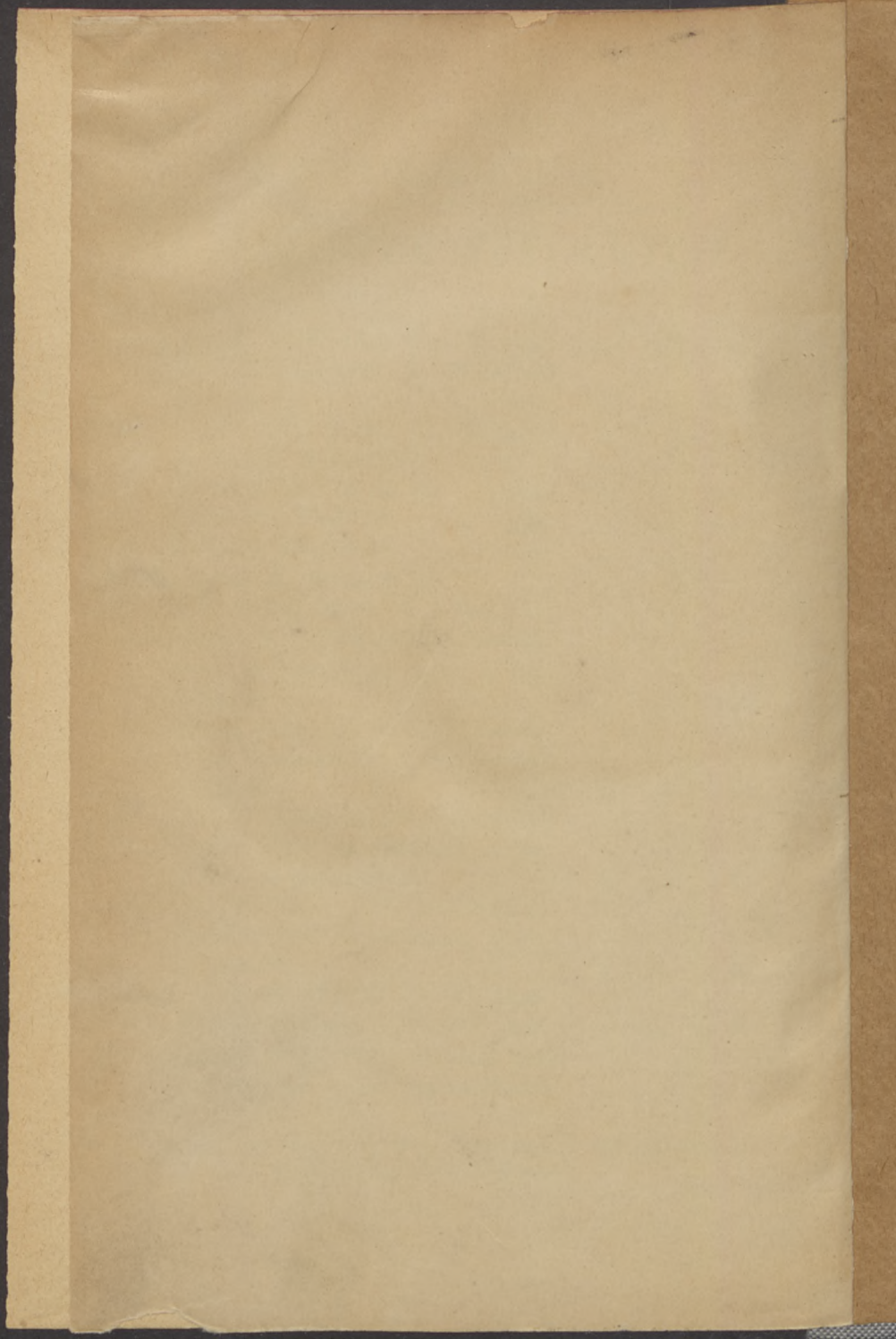
KSIĄŻKI TE POWINNY BYĆ WE WSZYSTKICH BIBLIOTEKACH
SZKOLNYCH I DOMOWYCH.

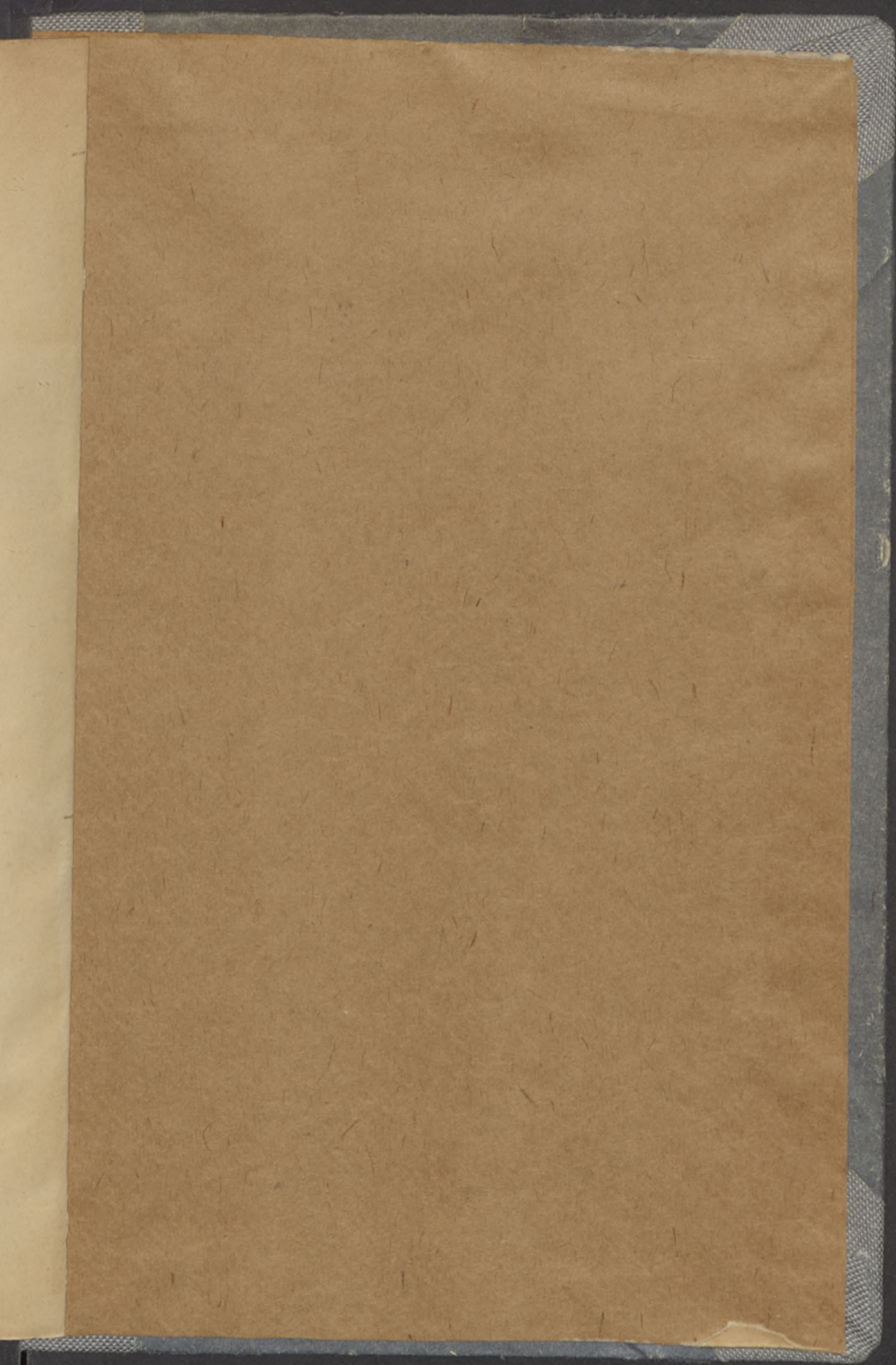


Biblioteka Główna UMK



300040962608





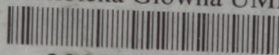
Biblioteka Główna UMK



300040962608

201157 P. L. ... ADRIAN MACZURA

Biblioteka Główna UMK



300040962608

